PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIWERSUM METRO 2033

W RUINIE

OPOWIADANIA POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

W RUINIE

WYBÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADAŃ POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

insignis

W ruinie

Wybór najlepszych opowiadań polskich fanów

Uniwersum Metro 2033 | IV edycja konkursu

Autorzy

Rafał Szponarski, J. Urbańczyk, Piotr Jedliński, Szymon Muszyński, Filip Laskowski, Piotr Dudek, Paweł Hamanowski, Marcin Wójcik, Bartosz „Bartosh" Majorczyk, Starszyk , Marta Wnorowska, Krzysztof Gniady

Pomysł serii Uniwersum Metro 2033

Dmitry Glukhovsky, 2009–2017

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2017

Przewodniczący komisji konkursowej

Robert J. Szmidt, Paweł Podmiotko

Redakcja i korekta

Urszula Gardner (z wyjątkiem opowiadania M. Wronowskiej)

Zespół redakcyjny wydawnictwa Insignis

Pracownia 12a

Koordynator projektu

Admin_uniwersum

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Projekt okładki

Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii

Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Mapa

Leonid Dobkacz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65743-32-9

Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media (@insignis_media)
instagram.com/insignis_media (@insignis_media)
Snapchat: insignis_media

Rafał Szponarski

Lek na całe zło

Laureat IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

1

– Celik, to szaleństwo – sprzeciwił się przyjacielowi Staszek. – Ja jestem od drążenia tuneli. Trzymam kilof, nie broń. Automatu nie miałem w rękach od czasu szkolenia.

– Stary, nie rób mi tego. Mamy być tylko obstawą na tych negocjacjach. Już wszystko załatwione, broń i przepustki. Nawet z twoim kierownikiem gadałem, żeby dał ci wolne.

Wolne? Staszek zmarszczył brwi. Nie ma czegoś takiego jak „wolne”. Nie przysługiwał mu urlop. Zresztą dzień bez pracy to dzień bez płacy.

Stali pośrodku pierwszego, wydrążonego przed piętnastu laty korytarza, noszącego dumną nazwę „Przymierze”. Na ścianach słabo skrzyły się poprzyczepiane do ciągu kabli lampy. Staszek czuł, jak panująca w tunelu wilgoć powoli osadza się na jego nosie i wargach.

Celik spojrzał na niego z chytrym uśmiechem.

– Rudiger wcale nie chciał cię brać, dopiero jak powiedziałem, że bez ciebie nie idę, to się zgodził.

– Liczysz na podziękowania? – burknął Staszek.

– Powinieneś całować mnie po rączkach.

– Mogłeś przynajmniej zapytać, czy chcę.

Z twarzy Celika zniknął uśmiech.

– Tępy jesteś, wiesz? – zgromił go. – Pomyśl, jaka to szansa. Grupa kwatermistrzów jest przerzedzona jak sito. Dwóch stalkerów choruje, trzech w ogóle nie wróciło z powierzchni. Tylko Rudiger został na chodzie. Lada dzień będą musieli kogoś wziąć na przyuczenie. A my będziemy akurat pod ręką, i do tego już z jakimiś doświadczeniem, czaisz?

– Czaję – zgodził się Staszek. – Ale dlaczego on ciebie chce do tej obstawy? Masz ledwo czternaście lat, szczylu.

– Mówiłem już. – Uwagę o wieku Celik zbył, mrużąc oczy. – To poważna sprawa i bez asekuracji się nie obejdzie. Ktoś musi iść, nie?

– Ale żeby ty? – Staszek nadal się dziwił.

– Tak. Ja – odpowiedział już wyraźnie zniecierpliwiony.

Rudiger był stalkerem i tak się składało, że pozostawał w dosyć bliskiej relacji z matką Celika. Staszek dowiedział się o tym na długo przed tym, zanim przyjaciel odważył się w zaufaniu zdradzić mu swój „sekret”. W tym podziemnym miasteczku ludzie wiedzieli o sobie wszystko.

Celik od zawsze zachwycał się stalkerem, chyba nawet dostrzegał w nim materiał na ojczyma, ale najwyraźniej wstydził się krótkotrwałych, parogodzinnych związków matki. Ilekroć Rudiger zjawiał się w ich boksie, odlewał Celikowi pół butelki przyniesionej wódki, kazał spieprzać i nie pojawiać się do porannego włączenia świateł. Zdarzało się, że Celik nocował u Staszka. Nieraz nawet pili tę wódkę razem, jeśli tylko nie zachodziła potrzeba wymiany jej na coś w danym momencie ważniejszego.

– Zaraz, zaraz. A twoja matka wie? – zapytał nagle Staszek.

Celik wzruszył ramionami.

– Chyba to ona go namówiła. Stwierdziła, że pora, abym został mężczyzną.

W to Staszek już ani trochę nie mógł uwierzyć.

Przed oczyma pojawiła mu się przyjazna twarz matki przyjaciela. Staszek wiedział, że na całym świecie nie ma lepszego przykładu podwójnej kobiecej natury. Nadia była prawdziwą strażniczką domowego ogniska –

istotą delikatną, ciepłą i opiekuńczą, która gdy tylko zachodziła potrzeba, w mgnieniu oka stawała się dominująca i nieznosząca sprzeciwu. Najchętniej wybudowałaby schron w schronie i umieściła tam swojego ukochanego Marcelika.

– Niepodobne do niej – skwitował Staszek.

– Wiem, ale ostatnio w ogóle jakoś dziwnie się zachowuje.

Nagle rozległ się potrójny dzwonek i przygaszone na noc lampy, obudziwszy się do życia, zaczęły z pełną mocą rozświetlać wąski korytarz.

– To jak? Wracasz do rycia w ziemi czy idziesz ze mną? – rzucił nastolatek. – Tylko następnym razem nie jęcz, że bolą cię nadgarstki albo że reumatyzm wykręca ci kolana.

– Idę – zgodził się Staszek. – A o co właściwie te negocjacje?

– O leki na gruźlicę– odparł z powagą Celik. – To już podobno epidemia.

2

W wąskich korytarzach komunikacyjnych powoli narastał tłok. Zaczął się dzień i ludzie ospale podążali do swoich obowiązków. Staszek i Celik starali się przepchnąć w kierunku bunkra oznaczonego numerem 1 – do głównego włazu.

Schrony Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Oleśnicy wybudowano jeszcze przed drugą wojną światową, kiedy tutejsze ziemie były częścią Trzeciej Rzeszy. W czasach konfliktu zbrojnego służyły za ochronę przeciwlotniczą dla pracowników fabryki. Gdy skończyła się wojna, ludzie nie musieli się już obawiać ataku z powietrza, Bunkry nie były nikomu potrzebne. Wielu mieszkańców miasta nawet nie zdawało sobie sprawy z ich istnienia. Musiało minąć sześćdziesiąt osiem lat, by ludzie przypomnieli sobie o tonach betonu uwięzionego pod ziemią, albowiem kiedy w oddalony o trzydzieści kilometrów Wrocław uderzyły głowice atomowe, Oleśnica oberwała rykoszetem.

Trzy schrony połączono siecią tuneli. Przez dwa największe, oznaczone numerami 1 i 2, poprowadzono dziesiątki metrów ścianek działowych,

tworząc boksy mające imitować niewielkie lokale mieszkalne.

Bunkier numer 1 dodatkowo przedzielony był w jednej trzeciej wysoką ścianą z wąską bramką, za którą mieściła się strefa buforowa i wartownia. Za nimi znajdowało się jedyne wyjście na powierzchnię. Przy bramce stał barczysty strażnik z przewieszonym przez ramię karabinem. Celik wyciągnął z kieszeni przepustki i dopiero wtedy mężczyzna wpuścił ich do zamkniętego sektora, gdzie czekał już na nich Rudiger.

Palący spokojnie papierosa przed akcją stalker ubrany był w swój wyjściowy kombinezon, na który zwykł narzucać mięsistą skórzaną kurtkę. Przy jego pasie dyndała zawieszona na szlufce maska. Mógł mieć około czterdziestu lat. Na pokrytej siecią zmarszczek twarzy uwagę przykuwał haczykowaty nos.

Strefa buforowa była niewielkim, prostokątnym pomieszczeniem. Wokół włazu na półokrągłych stelażach zawieszono grube zasłony z brezentu. Na niewielkim, ustawionym pod ścianą stoliku stał telefon, przeznaczony zapewne do łączności z naczelnikiem, a obok niego umieszczono panel nadawczy radiowęzła, maski i broń. Oparcie odsuniętego od stołu krzesła nakrywały kombinezony. Cyfrowy wyświetlacz wiszący na ścianie wskazywał temperaturę na zewnątrz: dwanaście stopni Celsjusza.

Rudiger zauważył, że Staszek i Celik przyglądają się ekranikowi.

– Nie miejcie złudzeń, dzieciaki. – Uśmiechnął się, wypuszczając dym z płuc. – Na zewnątrz jest zimniej. Licznik zawyża co najmniej o pięć stopni.

Zimno, pomyślał Staszek, wiedząc, że nie ma na sobie nic oprócz kiepskiej jakości cienkich spodni, podkoszulka i flanelowej koszuli.

Rudiger musiał wedrzeć się do jego myśli albo przynajmniej dobrze się przyjrzał ich marnemu ubiorowi. Podszedł do siedzącego przy stole wartownika i podał mu wypalonego w połowie skręta.

– Wysłałeś kogoś po te ciuchy dla chłopaków?

– Wysłałem, wysłałem… – Strażnik przytaknął, delektując się wciąganym

do płuc dymem.

– To gdzie one są? Za dziesięć minut wyłazimy.

– Będą, będą. – Mówił wolno, przeciągając sylaby, jakby jednoczesne palenie i formułowanie myśli kosztowało go wiele wysiłku. – Negocjacje nie zając.

Staszek zwrócił wzrok na wartownika, który miał zasuszoną płaską twarz i dwie poziome szramy pod lewym okiem. Celik zdążył po drodze nakreślić mu problem związany z negocjacjami i sprawa ta zdawała się gardłowa. Tymczasem strażnik sprawiał takie wrażenie, jakby tkwił w błogiej nieświadomości, jakby nie było na świecie nic ważniejszego od intymnej relacji z zawiniętą w bibułkę szczyptą tytoniu.

Problem z pertraktacjami rozbijał się o cenę leków przeciwgruźliczych będących w posiadaniu jednej z zewnętrznych osad. Istniał jeden jedyny surowiec, którego jej mieszkańcy chcieli w zamian. Zażądali ni mniej, ni więcej, tylko stałych dostaw wody przez pięć lat.

Naczelnik znał się na uzdatnianiu wody jako prawdopodobnie ostatnia osoba w powojennej Oleśnicy. Jakimś cudem z gównianej radioaktywnej cieczy potrafił zrobić zdatny do picia płyn i, o dziwo, bardzo chętnie się nim dzielił. Ceną była władza – absolutna i niepodważalna. Usunięcie go ze stanowiska oznaczało śmierć. Nie tylko ludności zamieszkałej w sieci schronów ZNTK, ale i wszystkich zewnętrznych osad kupujących od nich wodę.

Na surowiec naczelnik zgodził się bez większego problemu, ale mieszkańcy osady mieli teraz na tyle silną kartę przetargową, iż mogli domagać się czegoś więcej – gwarancji. Na te pięć lat miał u nich zamieszkać jego najstarszy syn. Oczywiście niepodzielny władca sieci schronów na to już nie mógł przystać.

– Po wyjściu na powierzchnię kierujemy się schodami w lewo – Stalker zwrócił się do chłopców, gdy ci zbliżyli się do stolika. – Ja pierwszy, młody w środku, Staszek zamykasz. Przecinamy chodnik i jezdnię, a potem

idziemy w prawo wzdłuż ogrodzenia jakieś trzydzieści kroków i schodzimy na drugą stronę ulicy, gdzie znajduje się wejście do kanałów. Tam dostaniecie resztę instrukcji. Aha, zapomniałbym… – Szturchnął nogą leżące pod stolikiem plecaki. – Macie to wziąć. Naczelnik stwierdził, że w akcie dobrej woli ofiaruje naszym przyjaciołom z zewnątrz kilka butelek wody. Pytania?

– No, ja mam – powiedział Celik po chwili wahania. – Skąd pewność, że oni w ogóle mają te leki?

– Eh, dzieciaki – westchnął Rudiger, wyciągając z metalowej papierośnicy nowego skręta. – Pewna w życiu jest tylko śmierć, jak to mówią. Nasi przyjaciele mieli przed dwudziestu laty dostęp do wielu lekarstw. Jeśli teraz ich nie mają, nikt ich nie ma.

Zapalił papierosa.

Staszkowi nie podobało się, że Rudiger zwraca się do niech per „dzieciaki”. Celik i owszem, był gówniarzem – podnieconym perspektywą wyjścia na zewnątrz czternastolatkiem – ale on bywał tam nie raz i nie dwa, a kilkakrotnie nawet w towarzystwie Rudigera.

Powiększanie przestrzeni życiowej wiązało się z ryciem coraz większej liczby tuneli, czego efektem ubocznym były niezliczone kilogramy zbędnej ziemi, której należało się w jakiś sposób pozbyć. Ładowano ją więc do olbrzymich wiklinowych koszy, by następnie po skończonej pracy wynieść je na zewnątrz pod okiem doświadczonych stalkerów.

– Ale skąd je wzięli? – dopytywał, nie uzyskawszy konkretnej odpowiedzi.

– Po wojnie, kiedy państwo praktycznie upadło, do władzy dorwali się ci, którzy mieli dostęp do broni, znaczy głównie policja i wojsko. Policjanci i żołnierze tworzyli małe grupki i rabowali wszystko co najpotrzebniejsze. Zaraz po monopolowych wzięli się do aptek. – Zaśmiał się, odsłaniając pożółkłe od palenia zęby. Później uderzył dłońmi o kolana i podniósł się z krzesła.

W tej samej chwili do strefy buforowej wszedł strażnik z ubraniami. Staszek znał go z widzenia i – o ile się nie mylił – miał on na imię Karol. Gdy mężczyzn rzucił na stół płaszcze i czapki, wzrok Staszka przykuły dwie pary pięknych, neoprenowych stalkerskich rękawic.

Tymczasem siedzący przy stole wartownik skończył palić papierosa i zbliżył do siebie stojący na nim mikrofon. Nacisnął przełącznik, zapaliła się dioda. Po chwili z głośników radiowęzła w mieszkalnej części schronu oznaczonego numerem 1 rozległ się głos:

– Wszyscy mieszkańcy proszeni są o opuszczenie schronu i udanie się do tuneli. Po trzecim dzwonku nastąpi otworzenie włazu.

Strażnik zgodnie z regulaminem powtórzył komunikat, po czym wyłączył nadajnik i podszedł do Rudigera.

– Wpół do ósmej – powiedział szorstkim głosem, który przed chwilą dobiegał z głośnika radiowęzła. – Hasło na powrót: trzy szybkie, trzy długie i na koniec dwa szybkie. Po minucie powtórka. Zapamiętasz?

– Trzy szybkie, trzy długie, dwa szybkie. I jeszcze raz – odparł stalker.

Do rozmowy włączył się Karol.

– Ledwieś, chłopie, z powierzchni wrócił. Kiedy ty śpisz?

– Taka robota. Ktoś musi nie spać, żeby ktoś inny mógł grzać dupę na takim przytulnym posteruneczku – stwierdził Rudiger.

Strażnik się uśmiechnął.

– W tobie jedyna nadzieja. Ludzi dopadła jakaś psychoza, patrzą na siebie wilkiem. A niech no tylko któremuś kaszlnąć się zdarzy. Może i naczelnik miał rację, zwlekając tak długo z ogłoszeniem stanu wyjątkowego.

– Już ogłosił?

– W ciągu godziny to zrobi.

– A ilu choruje?

– Mówi się o kilkunastu. Mają robić obchód po całym schronie.

Stalker nie odpowiedział. Zamyślił się.

– No nic. – Strażnik klepnął go w ramię. – To powodzenia życzę.

– Dzięki.

Rudiger odwrócił się w stronę Celika.

– Jak założysz maskę, to zaraz sprawdź szczelność. Łapą zatkaj otwór wlotowy i weź wdech.

Staszek włożył kombinezon, płaszcz i rękawice, złapał leżący pod stołem plecak i nasunął go na plecy. Opadające na czoło blond włosy zarzucił do tyłu, ugładził ręką, po czym nałożył maskę.

Karol – ubrany, jakby razem z nimi miał opuścić schron – odsłonił brezentowe kotary, wpuścił za nie grupkę, po czym sam także za nie wszedł i zasunął suwak aż do samej góry. Ściągnął kłódkę z zasuwy i złapał za koło do otwierania włazu.

Wybrzmiał potrójny dzwonek.

Rudiger raz jeszcze popatrzył na towarzyszy.

– Spiąć zwieracze i idziemy!

3

Kiedy opuścili schron, przyciemniane szybki wizjerów masek gazowych niewiele dały. Światło dnia wdarło się przez nie bez problemu.

Już po kilku krokach Celik zatrzymał się, nie dając żadnego sygnału. Biegnący w szeregu zaraz za nim Staszek popchnął go.

– Rusz dupę.

Niebo go zahipnotyzowało, uświadomił sobie. Smarkacz pierwszy raz opuścił schron, a może i pierwszy raz w życiu oderwał się od matczynej spódnicy.

Szybko dołączyli do czekającego na nich pod ogrodzeniem Rudigera. Zaledwie kilka chwil wystarczyło im na dotarcie do wyznaczonego kanału. W porastających gęsto pobocze krzakach Rudiger wygrzebał hak, którym bez większego problemu podważył właz studzienki kanalizacyjnej.

– Teraz słuchajcie – powiedział nosowym, zniekształconym przez filtry głosem. – Wrzućcie tutaj całą zawartość swoich plecaków.

– A negocjacje? – Staszek nic nie rozumiał.

– Nie idziemy na żadne negocjacje.

Musieli mrugnąć powiekami kilkadziesiąt razy, zanim ich oczy przyzwyczaiły się do światła dnia.

Maszerowali środkiem ulicy, zachowując między sobą – tak jak kazał stalker – około piętnastu metrów odstępu. Staszkowi wydawało się, że nie mogła minąć więcej niż godzina. Ale może się mylił. Nie potrafił na niczym się skupić.

Świat był w kolorze ognia, żółto-czerwony. Otoczenie intrygowało go, przyciągało jego wzrok. Staszek starał się temperować i patrzeć głównie przed siebie, ale nie przychodziło to łatwo. nawet asfaltowe szpary wypełniały chwasty i dorastające do wysokości kolan trawy. Matka Natura szybko wróciła do równowagi, po tym jak ludzie niemalże ją zamordowali.

W głowie miał kotłowaninę myśli. Wyrzucał sobie, że nie zareagował tam przy włazie, że nie zawrócił razem z Celikiem, póki byli jeszcze blisko domu. Na samo wspomnienie stalkera do twarzy napłynęła mu krew.

Popatrzył na idącego przed nim Celika. Nadal nie pojmował, czemu stalker chciał go widzieć w swojej obstawie.

Nieprzyzwyczajonemu do zbyt długich wędrówek chłopakowi nogi plątały się ze zmęczenia. Kilka razy ledwie uchronił się przed upadkiem. Z czasem dystans między Celikiem a Rudigerem znacznie się zwiększył, w rezultacie czego Staszek znajdował się już tylko kilka metrów od nastolatka. Droga była pełna zakrętów i skrzyżowań. Chcąc zachować umówione piętnaście metrów dystansu, musiałby stracić Rudigera z pola widzenia.

Celik szedł zgarbiony, gapiąc się pod nogi. Kiedy po raz kolejny się potknął, Staszek zignorował zalecenie stalkera, rozgniewany przyśpieszył kroku i złapał przyjaciela pod łokieć.

– Chodź, głąbie – wycharczał przez filtry maski przeciwgazowej. – W coś ty nas, kurwa, wplątał?

– Musimy… mu… zau… – Celik z trudem łapał każdy oddech.

– Już lepiej się zamknij.

Staszka irytowało, że kolega nawet w tej sytuacji nie potrafi się zdobyć na chociaż odrobinę samodzielnego myślenia.

Po kilku minutach Rudiger zatrzymał się i odwrócił. Celik nie mógł tego zobaczyć, ponieważ przez cały czas wpatrywał się pustym wzrokiem we własne buty. Stalker machnął do nich ręką, po czym przebiegł trawnikiem i wszedł do obskurnego czteropiętrowego budynku na skraju niewielkiego parku.

Kiedy wreszcie doczłapali do czekającego na nich Rudigera, ten palił papierosa.

– Tacy młodzi, a siły nie mają? – rzucił rozbawiony.

Staszka naszła nieodparta ochota, żeby zdzielić go lufą karabinu przez ryj. Powstrzymał się jednak.

Celik usiadł pod ścianą wąskiego korytarza.

– Gdybym wiedział, że tak się zmachacie, to bym nie kazał wam wyrzucić całej wody do kanału – podjął Rudiger. – A ty co taki nadąsany?

Staszek nie wytrzymał. Zerwał maskę z twarzy.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy? Co ty odpierdalasz? – Zaraz skarcił się w duchu za nadmiernie impulsywną reakcję. – Gdybyś nam powiedział…

– Gdybym wam powiedział, to ktoś by doniósł naczelnikowi.

– To bym się na to nie pisał. – Staszek z rozpędu dokończył przerwane zdanie.

Rudiger położył swój automat na ziemi.

– Chodź ze mną, pogadamy. Zostaw broń. Ty, młody, stań na czatach… – Spojrzał na ciężko łapiącego każdy oddech Celika. – Albo lepiej siedź – zreflektował się.

Stalker otworzył drzwi. Oczom Staszka ukazały się prowadzące w dół schody. Zeszli po nich i ruszyli dalej wąskim piwnicznym korytarzem.

Staszkowi nagle rozjaśniło się w głowie.

Najstarszy syn naczelnika mógł mieć jakieś czternaście lat i to jego

mieszkańcy osady chcieli na zakładnika. A co będzie, jeśli Rudiger ma podać Celika za syna naczelnika? Jeśli stalker ich okłamał i jednak zmierza na negocjacje? Nie potrzebował „aktu dobrej woli”, który wylądował w kanale. Potrzebował nastoletniego chłopaka. Potrzebował Celika.

Uświadomił sobie, że sam jest tylko piątym kołem u wozu. Przypomniały mu się słowa przyjaciela. Rudiger nie chciał brać go ze sobą, to Celik nalegał. Staszek pomyślał, że popełnił olbrzymi błąd, wchodząc ze stalkerem do tej piwnicy.

Rudiger podszedł do okna, wokół którego na podłodze zamykał się wąski krąg światła. Zatrzymał się i zgasił latarkę, wędrując dłonią do kieszeni.

Pod Staszkiem ugięły się nogi. Jego broń została na górze.

– Musimy zdobyć te leki, sam rozumiesz. Skala problemu wymaga nieszablonowych działań– zaczął Rudiger. – Nie miej mi za złe, ale…

– Ty skurwysynu! – krzyknął Staszek przez zaciśnięte zęby w przypływie niespodziewanej odwagi.

– Co? – Mieszanina rozbawienia i zdziwienia pojawiła się na twarzy Rudigera.

– Prowadzisz na wymianę młodego, bo jest w podobnym wieku jak syn naczelnika?

– Odwaliło ci? – Stalker się zaśmiał.

Jego spokój zbił Staszka z tropu. Już myślał, że udało mu się wszystko rozgryźć, że wszystko ułożyło się w logiczną całość. Tymczasem znowu nic nie rozumiał.

– Ale…

– Pozwól, że coś ci wytłumaczę. Między innymi dlatego cię tu przyprowadziłem – powiedział stalker, opierając się o ścianę. – Kosma, Zawalski, Szczerski. Kojarzysz ich, nie?

– Zaginieni stalkerzy…

– E tam, zaginieni. Spieprzyli od naszego kochanego władcy. Od jego pieprzonej sieci schronów i durnych zasad. Naczelnika gówno obchodzą

ludzie. Kwarantannę i stan wyjątkowy trzeba było wprowadzić pół roku temu. – Przerwał na chwilę. – Właśnie dlatego nie mógłbym zrobić podmiany z Celikiem. Nie żebym rozważał taki plan… Oni wiedzą o nas wszystko. Konflikt będzie eskalował, bo naczelnik nigdy nie zgodzi się na ich warunki.

Staszek starał się przetrawić to, co właśnie usłyszał. Stalker patrzył na niego, spodziewając się przytaknięcia, odpowiedzi, pytania. Czegokolwiek. Ale Staszek milczał.

– Chodź, coś ci pokażę – powiedział wreszcie Rudiger i ruszył korytarzem, oświetlając posadzkę pod nogami. – Musimy zdobyć te leki – podjął po paru krokach. – Do tego jesteś mi potrzebny: żeby je dostarczyć naszym.

– Ja? Sam?

– Tak, sam. Celika i mnie czeka jeszcze jedno zadanie.

Wyciągnął papierosa zza ucha i odpalił go od gasnącego niedopałka, po czym skręcił w prawo i otworzył czerwone drzwi.

Kiedy weszli do pomieszczenia, nozdrza Staszka uderzył okropny smród. Odór ekskrementów unosił się w zimnym powietrzu. Ale nie to najbardziej oszołomiło Staszka.

W rogu niewielkiej piwnicznej salki na przechodzących pod sufitem rurach podwieszony był młody mężczyzna. Gruby sznur wrzynał mu się w nadgarstki, a pozbawione obuwia stopy zwisały bezwładnie nad kałużą szczyn.

Dźwięk, który wisielec wydał po otwarciu drzwi, wywołał ciarki na plecach Staszka. Mężczyzna nie miał ani maski, ani kombinezonu. Rozpięta koszula odsłaniała nagi tors. Na zewnątrz było jakieś dziesięć stopni, tutaj niewiele więcej.

– Złapałem go wczoraj – poinformował Rudiger, uśmiechając się psychopatycznie.

Co tu się, kurwa, dzieje? – pomyślał Staszek. Celik, durniu, w coś ty mnie

wplątał?

Do tej pory tylko nie ufał stalkerowi. Ten jeden uśmiech sprawił, że zwyczajnie zaczął się go bać.

Rudiger podszedł do skrępowanego mężczyzny, a ten ponownie wydał pozbawiony choćby krzty człowieczeństwa jęk.

– Eee… aaeea… ee…

– Cicho, cicho – powiedział z czułością Rudiger.

Kim, do cholery, jest ten człowiek?

Staszek zrobił krok w jego kierunku i nagle zdał sobie sprawę, że nazywanie go mężczyzną jest sporą przesadą. To był dzieciak w wieku zbliżonym do Celika. Szczeniak miał wygoloną po bokach głowę, z pozostawionym pośrodku czerwonym irokezem. Łyse płaty na jego czaszce zdobiło kilka pieprzyków. Nos miał nienaturalnie skrzywiony, z całą pewnością złamany. Na młodej twarzy Staszek dostrzegł zaschnięte strużki krwi. Dopiero teraz zwrócił uwagę na okrągłe ślady po przypaleniach na gołym torsie. W tym samym momencie zrozumiał, że to one zdobią łysą głowę.

– Błaagam, puuść mniee. Robaki mnie oblaazły – zanosił się płaczem szczeniak.

– Bądź mężczyzną, no – powiedział Rudiger i wyciągnął w jego kierunku papierosa.

Chłopak cicho zawył, spodziewając się bólu, ale skręt wylądował w jego ustach. Stalker pozwolił mu się zaciągnąć, po czym rzucił papierosa w żółtą kałużę.

– Błaagam.

– Słuchaj, powiem ci prawdę, bo i tak nie ma sensu kłamać. Cokolwiek wyśpiewasz, i tak zostaniesz na tym haczyku.

– Dlaaczego, przecież wszystko…

Stalker nie pozwolił mu dokończyć.

– W twoim interesie jest współpracować.

– Oni mnie zaabijąą…

– Cicho. Jedno mogę ci obiecać: tak czy siak, ktoś po ciebie wróci. Widzisz tego faceta przy drzwiach? – wskazał. Czując na sobie wzrok chłopaka, Staszek poczuł się dziwnie zmieszany. – Jeśli wszystko nam ładnie opowiesz, przyjdziemy cię uwolnić. Jeśli się zdarzy, że nie znajdę prochów lub, co gorsza, zginę, ten facet wróci tutaj, żeby otworzyć piwnicę. A wtedy do dupy dobiorą ci się znacznie gorsze zwierzątka niż robaki.

Szczeniak nieco się uspokoił.

– Dobrze, powiem – zgodził się zrezygnowany.

– Gdzie są leki? – zapytał stalker.

– W skrytce. W kościele.

– Którym? Starym?

– Taak.

– A co z tym dziwem, które tam mieszka?

– Zabiliśmy. Kosma zwabił… Zwabił w zasadzkę i wysadził. – Dzieciak mówił powoli, przerywając przy każdym oddechu.

Rudiger popatrzył na Staszka triumfalnie.

Miał rację. Kosma. Czyli to jednak nasi stalkerzy tym trzęsą, pomyślał.

– Gdzie ta skrytka?

– W krypcie. Pod ołtarzem.

– Ilu waszych jej pilnuje?

– Dwóch. Patrole zaglądają tam co godzinę.

Rudiger uśmiechnął się do wisielca.

– No? Chyba nie było tak źle, co? – Złapał za guziki koszuli i zapiął je jeden po drugim. – Jeszcze się przeziębisz.

Poklepał chłopaka po policzku i odwrócił się do wyjścia. Moment później stalker zasunął rygiel u drzwi.

– Jeden z nich? – spytał Staszek.

– Tak. Postaramy się podpieprzyć im zasoby.

– Skoro nie wrócił wczoraj ze zwiadu, w obwodzie będzie się kręcić

kilkunastu strażników, a nie dwóch.

– Kazali mu trzymać gębę na kłódkę aż do dzisiaj. Miał ich zawiadomić jedynie w razie, gdybym coś kombinował albo opuszczał schron przed negocjacjami.

– Skąd to wiesz?

– Powiedział mi wczoraj.

– A reszty nie?

– Mówił, ale wczoraj mu nie uwierzyłem. Poza tym uznałem, że skoro będziesz w obstawie, wypada cię wtajemniczyć.

Dzięki, nigdy ci tego nie zapomnę, pomyślał Staszek.

Rudiger z uśmiechem na ustach odwrócił się na pięcie. Pogwizdując, ruszył w głąb pogrążonego w mroku korytarza. Staszek ruszył za nim, nie zwlekając. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć ani jak powinien się zachować. W głowie miał mętlik. Wiedział, że pozostaje mu tańczyć, jak zagra Rudiger.

Wyszli z korytarza i znów znaleźli się na schodach.

– Zaczekaj! – rzucił Staszek do idącego przed nim stalkera.

Rudiger przystanął i oparł się plecami o poręcz.

– No?

– Celik ledwo lezie.

– Zauważyłem.

– Daleko do tego kościoła?

– Co najmniej drugie tyle, pewnie więcej, ale spokojnie. Zaufaj mi.

– Dużo wymagasz – mruknął Staszek do siebie.

Rudiger poprowadził ich obu na zewnątrz do stojącego za budynkiem garażu. Zbliżył się do bramy i szarpnął za zasuwę. Przerdzewiały metal zaskrzypiał, a po chwili – wydając podobne odgłosy – drgnęły zawiasy otwieranych drzwi. Pośrodku pomieszczenia stał niewielki czerwony samochód osobowy.

– Co to jest? – zapytał Celik, szczerząc zęby.

– Maluch – odparł Stalker. – Na takim uczyłem się jeździć.

Celik obszedł samochód dookoła.

– Ale brzydki. Na ulicach stoi milion ładniejszych. Nawet bez foteli i drzwi wyglądają lepiej.

– Tyle że nie jeżdżą – burknął stalker.

Podszedł do szafki wiszącej na ścianie i wyciągnął z niej klucze, którymi zaraz otworzył drzwi kierowcy. Zwolnił mechanizm, po czym odchylił oparcie w przód, tak że zagłówek fotela oparł się o kierownicę.

Kiedy Celik usadowił się z tyłu, Rudiger usiadł za kierownicą. Wyciągnął rękę do drugich drzwi i otworzył je. Staszek podał plecaki, maski i swój automat siedzącemu pośrodku tylnej kanapy Celikowi, a następnie sam wsiadł do auta. Poczuł, że pod pośladkami ma coś twardego.

– Uważaj. Kasety zniszczysz – powiedział Rudiger.

Staszek wsunął rękę pod siedzenie i wyciągnął dwa nieduże plastikowe prostopadłościany. W ich środku wypatrzył szpule z nawiniętą na nie błyszczącą taśmą.

– Kasety?

– Kasety, kasety… Włóż tę jaśniejszą. Stroną „A” do góry. – Wskazał palcem na umieszczony w centralnej części deski rozdzielczej odbiornik.

– Chcesz powiedzieć, że to działa? – zdumiał się Celik.

Stalker prychnął.

– No raczej. – Przekręcił kluczyk w stacyjce, przygazował, ale silnik nie zaskoczył. Pociągnął w górę jakąś wajchę umieszczoną obok drążka zmiany biegów i spróbował raz jeszcze. Samochód przydusił się, zakaszlał, ale zapalił.

Całe nadwozie zawibrowało w rytm pracującego silnika.

Rudiger wdusił na odtwarzaczu przycisk, na którym namalowane były dwa trójkąty wierzchołkami skierowane w lewo. Radio zaczęło wydawać dziwny i nieznany Staszkowi piskliwy dźwięk.

Stalker złapał za drążek i wrzucił wsteczny.

– Mam fajną składankę, jak się przewinie, to wam puszczę.

4

Miasto gniło jak niepogrzebane zwłoki. Przyroda wdzierała się na cywilizacyjne pozostałości po człowieku. To nie było to samo miasto, które Staszek zapamiętał z krótkiego pobytu nad ziemią, a jednak nie potrafił oderwać oczu od migających za szybą obrazów. Przeczesywał wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu niebieskich, często pordzewiałych tablic z nazwami ulic. Daszyńskiego, Moniuszki, Reja.

W pewnym momencie zaczęło mu się wydawać, że zawracają. Jechali w przeciwnym kierunku do tego, w którym wcześniej szli. Miejscami drogi były nieprzejezdne. Zalegał na nich przede wszystkim różnego pochodzenia złom i konary połamanych drzew. Chcąc je wyminąć, Rudiger musiał wjeżdżać na obrośnięte mchem i trawą chodniki.

Nagle skręcił w jakieś podwórze i zaparkował.

– Reszta na piechotę – powiedział. – Przez te dwa cylindry i tak słyszało nas pół miasta.

Przebiegli między stojącymi ciasno kamienicami. Po prawej minęli wysoki gmach i pasaż, na którego fasadzie wśród zamieszczonych szyldów Staszek wyczytał nazwy banku, jubilera i apteki.

Kiedy opuścili otoczoną budynkami drogę, ich oczom ukazał się pomnik w stalowym kolorze, osadzony w niecce wyłożonej kamieniem brukowym.

Metalowa bryła przedstawiała elementy porozcinanych kul, które wzajemnie nakładały się na siebie. Staszek pomyślał, że monument wygląda tak, jakby stał pośrodku gigantycznego talerza. Zdawało się, że w parze z wyłożonym kocimi łbami zagłębieniem tworzy całość.

– To pomnik ery kosmicznej – oznajmił Rudiger. – Na cześć kosmonautów i pierwszego lotu w kosmos.

Staszek nie potrafił odgadnąć, jaki związek z kosmosem ma monument.

Celik zakaszlał. Ściągnął maskę.

– Przeklęci naukowcy – powiedział i splunął zieloną flegmą w kierunku

pomnika, po czym z powrotem włożył maskę. – Oni latali w przestworza, my zdychamy pod ziemią.

Rudiger przez moment bardzo uważnie przyglądał się nastolatkowi.

– Teraz w lewo. Za mną – rzucił po chwili i wskazał im odchodzącą w bok drogę.

Ponownie wbiegli w jar wyznaczony przez niewysokie bloki mieszkalne.

Byli na miejscu. Jak na wyciągnięcie ręki mieli po prawej kościół, a po lewej zamek. Rudiger obejrzał się przez ramię, po czym zbliżył wyprostowany palec wskazujący do filtropochłaniacza.

Staszek skinął lekko głową. Czuł, że serce wali mu jak szalone.

Powolnym krokiem przeszli pod naziemnym przejściem łączącym zamek i kościół. Skręcili w prawo i znaleźli się przed głównym wejściem do świątyni. Nad framugą widniał napis „Bazylika Mniejsza”. Rudiger gestem dłoni kazał im zostać, pchnął masywne drzwi i wszedł do środka.

Wrócił bardzo szybko.

– Chodźcie. Jest czysto – powiedział.

Staszek i Celik udali się za nim. Minęli spowity w ciemnościach przedsionek. Przez kolejne drzwi dostali się do nawy głównej.

Staszek od razu się zorientował, że w pobliżu bazyliki musi znajdować się jakaś osada. Kościół był pusty. Dosłownie. Na ścianach można było jeszcze dostrzec prostokątne przejaśnienia po ściągniętych obrazach. Miejsca, w których stały wcześniej ławki, także różniły się od reszty podłogi ułożonej z kafelków w czerwone i czarne kwadraty na przemian. Okoliczni mieszkańcy zabrali wszystko na opał. Przedmioty, których ze względu na gabaryty nie dało się wynieść w całości, jak fragmenty ambony czy schody, zostały obłupane.

Uwagę Staszka zwróciła wisząca po lewej stronie drewniana rzeźba ukrzyżowanego Chrystusa w skali jeden do jednego. Nietknięta. Może ludziom plądrującym to miejsce głupio było ją zabrać czy rozrąbać. Realizm figury uderzył go jak otwartą dłonią w twarz. Grymas bólu,

napięcie mięśni, wystające żebra rozpostartej na krzyżu postaci przedstawione zostały w najdrobniejszych szczegółach. Koronkowe odwzorowanie cierpienia przypomniało mu chłopca podwieszonego na metalowych rurach gdzieś w głębi tego miasta. „Skala problemu wymaga nieszablonowych działań”, przypomniał sobie słowa stalkera i spróbował w nie choć trochę uwierzyć.

– Bierzmy, co nasze, i chodźmy stąd, tu jest kilka stopni mniej niż na zewnątrz – powiedział Rudiger.

Staszek niechętnie przyznał mu rację, poruszając cierpnącymi z zimna palcami w zbyt dużych rękawicach.

Ruszyli środkiem w kierunku ołtarza. Staszek dziwnie czuł się w kościele, jak nieproszony gość, jak złodziej.

Zatrzymali się.

Dwa schodki oddzielały ich od podwyższenia, na którym znajdował się ołtarz. Rudiger ściągnął maskę, po czym położył ją i swój automat na drugim stopniu.

– To na pewno tu. – Wskazał palcem na rozścielony zaraz za schodami dywan, umieszczony pomiędzy rozchodzącymi się na lewo i prawo balaskami. Chwycił go i odrzucił na bok.

Pod brunatnoczerwoną wykładziną ujrzeli wyłom w posadzce przykryty kilkoma przyciętymi na wymiar deskami. Ułożono je w podmurowanym zagłębieniu w taki sposób, że znajdowały się na tym samym poziomie co podłoga. Przez dywan nie można było zauważyć różnicy. Gdy Rudiger zdjął pierwszy kawałek drewna, odkrył nieprzeniknioną ciemność bijącą z pustej przestrzeni.

Staszek i Celik spojrzeli po sobie. Rudiger odrzucił resztę desek.

– A niech cię szlag – powiedział Staszek. – Miałeś rację.

– To się jeszcze okaże – odpowiedział bez entuzjazmu stalker i poświecił latarką w głąb krypty. – Celik, właź tam.

– Co? Czemu ja?

– Przydaj się na coś wreszcie.

Celik chciał się sprzeciwić. Zrobił groźną minę i już miał się odezwać, kiedy Rudiger z wolna podniósł na niego wzrok. Chłopak uświadomił sobie, że dyskusja ze stalkerem nie ma najmniejszego sensu, zanim ten zdążył choćby mrugnąć. Usiadł posłusznie na skraju dziury, włożył do niej nogi i zeskoczył. Nisza nie mogła mieć więcej niż dwa metry głębokości. Rudiger rzucił mu drugą latarkę, czołową, którą wygrzebał z plecaka.

– Podaj mi automat – powiedział Celik, gdy już założył lampkę na głowę.

– A po co ci tam automat? – zdziwił się Staszek.

– Dawaj.

Staszek podał mu broń. Rudiger tylko zaśmiał się pod nosem.

Tunel kierował się w prawą stronę kościoła, a następnie skręcał w lewo. Wkrótce Staszek stracił przyjaciela z pola widzenia.

– Kurwa, tu są trumny! – po chwili dobiegł z otworu gwałtowny głos Celika.

– A czegoś ty się w krypcie spodziewał? – odpowiedział mu Rudiger.

– Nie mówiłeś, że to grobowiec!

– A tam, zaraz grobowiec. Krypta książęca – wyjaśnił stalker. – Umarli nic ci nie zrobią. Gadaj, co widzisz.

– Trumny, kurwa! – krzyknął z wyrzutem Celik.

– Uspokój się – poprosił, tracąc powoli cierpliwość. – Coś poza trumnami?

– W rogu jest cała kupa skrzyń i jeszcze dwie, odstawione na bok.

– Najpierw obejrzyj te dwie.

Przez chwilę z krypty dobiegał szmer przerzucanych papierów.

– Kilka map, jakieś gazety. Pod gazetami – powiedział wreszcie – jakieś pudełka, chyba leki.

– Przynieś jedno.

Celik wyłonił się zza zakrętu po krótkiej chwili. Rzucił Rudigerowi biały kartonik.

Stalker otworzył go i wyciągnął złożony wielokrotnie kawałek papieru. Rozwinął go i skierował na niego punktowe światło latarki.

– Skład, działanie, skutki uboczne… – mruczał pod nosem. – Isoniazidum. Mamy to.

Staszek uśmiechnął się. Celik także wyszczerzył zęby.

Rudiger rzucił stojącemu w krypcie nastolatkowi plecak.

– Zapakuj wszystkie leki, a potem zobacz, co jest w drugiej skrzyni. Pewnie naszykowali je dla nas, na wymianę.

Gdy Celik znowu zniknął w otchłani krypty, Rudiger usiadł na schodku, wyciągnął nogi, krzyżując je w kostkach, i sięgnął do kieszeni po papierośnicę. Staszek przebiegł spojrzeniem wysoki sufit aż do umieszczonego nad głównym wejściem dwupoziomowego balkonu. Nagle dostrzegł niewielki ruch na pierwszej kondygnacji. Nie mógł być jednak pewien, czy mu się nie przywidziało. Świątynię wypełniał mrok, trudno było dostrzec, co się dzieje w przeciwległej części. Zmrużył więc oczy i wytężył wzrok. Coś znowu nieznacznie się poruszyło.

– Rudiger… Tam chyba coś jest.

– Gdzie?

– Nad wejściem.

Stalker wpatrzył się w milczeniu w przeciwległy kraniec świątyni. Po dłuższej chwili zgasił papierosa i podniósł się, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów.

– Zdaje się, że to coś, co zabił Kosma, zdążyło wydać potomstwo – szepnął. – Musimy być cicho. Całe to postapokaliptyczne gówno jest ślepe. Reaguje tylko na ruch i…

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

– …hałas – dokończył stalker.

Przeraźliwy, niemalże dziewczęcy wrzask przeszył głuche i zimne powietrze wypełniające kościelne mury. Pisk, który Staszek mógłby sklasyfikować jako odgłos towarzyszący zarzynaniu kilkuletniej

dziewczynki, dobiegał z krypty, niósł się echem po całym gmachu i z całą pewnością należał do Celika.

– KURWAAA! – wydzierał się Celik. W jednej chwili zagłuszyła go dolatująca także z krypty seria z karabinu maszynowego.

Cichy dotychczas kościół wypełniło echo rezonujące w jego pustych ścianach.

– Więcej tego jest. Zauważyli nas. Kurwa! – wrzasnął Rudiger, doskakując do otworu w podłodze. – Co ty wyrabiasz?! – krzyknął do Celika.

– Tu, tu, tuu… tu coś jest. By, by, byy… było w skrzyni i wyskocz… cz… cz… czyło prosto na mnie.

Promień światła latarki Staszka powędrował na mokrą plamę, która została z karłowatego czarnego stworzenia wielkości kilkuletniego dziecka.

– Skurwysyny zostawiły niespodziankę. Jak oni to złapali i wcisnęli do skrzyni? – Rudiger wyprostował się. – Weźcie się w garść! Idą na nas.

Staszek obejrzał się przez ramię. Dziwne człekokształtne stworzenia przemieszczały się bocznymi nawami kościoła, chowając się za szerokimi kolumnami.

– Rusz się, podam ci rękę! – wrzasnął Staszek do przyjaciela, ale ten nie odpowiedział. Nawet nie spojrzał w górę. Stał oparty obiema dłońmi o ścianę.

– Co z nim? – zapytał stalker.

– Rzyga.

Rudiger pokręcił głową.

– Siedź tam! – zawołał do Celika. – Staszek, chodź!

Staszek odwrócił się i zobaczył, że zza kolumn wyłania się około dziesięciu czarnych istot. Stwory poruszały się, używając wszystkich czterech kończyn. Wyglądało to tak, jakby zgarbiony człowiek próbował opierać się na kostkach dłoni. Jednakże ich ręce były dłuższe od nóg.

Raz-dwa rozlokowali się na całej szerokości kościoła.

– Co mam robić? – zapytał Staszek stojącego nieopodal stalkera.

– Wal serią od lewej do prawej – odpowiedział Rudiger, nie spuszczając wzroku z powoli zataczającej półkrąg hordy. – Ja pociągnę od prawej do lewej. Na mój sygnał… – Byli już tylko dwadzieścia metrów od nich. – Teraz! – zawołał Rudiger.

Równocześnie nacisnęli na spusty. Grad ołowiu przeszył wątłe czarne ciała. Staszek zdążył powalić trzy potwory stojące z lewej strony szyku, nim rozpętało się piekło.

Cztery istoty znajdujące się w środku, do których nie zdążyła dotrzeć ani prawa, ani lewa śmiertelna seria, rzuciły się do ataku. W kilku susach zmniejszyły dystans o połowę. Posturą przypominały karłowatych ludzi o zbyt długich rękach i za krótkich nogach, ale poruszały się z prędkością dla człowieka nieosiągalną.

Lufa karabinu Rudigera szybko zmieniła kierunek i krótka seria powaliła biegnącego na czole stwora. Grupa nacierała w chaotycznym ataku, szybko zmieniając swoje położenie. Staszek nie był żołnierzem. Wypuszczał serię za serią, ale przeciwnicy zawczasu uskakiwali z linii strzału.

W mgnieniu oka nacierająca z olbrzymią szybkością sfora rozdzieliła się, prowadząca dwójka zaatakowała stalkera, a przyczepiony z tyłu jak cień potwór oderwał się i przypuścił szarżę na Staszka. Ten uniósł automat i walił przed siebie na oślep. Rozległ się przeciągły, przepełniony bólem wrzask, stwór jednak dalej leciał wprost na niego. Staszek trafił, ale siła rozpędu niosąca cielsko zbiła go z nóg. Pozbawiona życia istota przygniotła go do posadzki. Głowa w niekontrolowanym odruchu dziko wierzgała tuż przy jego klatce piersiowej. Staszek miał przed sobą coś, co powinien nazwać twarzą, ale nie mógł. Szybko zrzucił stwora, nie chcąc mu się przyglądać z tak bliska. Ten przewalił się na plecy, a z odsłaniającego kły otworu gębowego wypłynął gęsty żółtozielony śluz.

Staszek podniósł wypuszczony w chwili zderzenia automat. Odwrócił się w stronę Rudigera i zauważył, że ten poradził sobie z atakiem, choć teraz

ledwie trzyma się na nogach i niepewnie, jakby po pijaku, zatacza się między porozrywanymi czarnymi ciałami.

Staszek ruszył w jego kierunku. Znalazłszy się kilkanaście metrów od niego, zawołał:

– Ej, Rudiger!

Nagle stalker padł na ziemię, a jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Staszek podbiegł do niego, kucnął i ułożył brudną od krwi i zgniłozielonego śluzu głowę Rudigera na swoich kolanach. Zauważył, że gumowy kombinezon i skóra zostały rozszarpane, odsłaniając mięśnie na klatce piersiowej. Z rozległej rany na szyi gwałtownie lała się krew.

– ZABIERZ…yygh… ZABIERZ… GO…yygh… – Rudiger się szarpał. Dłonią starał się wyciągnąć coś z wewnętrznej kieszeni kurtki. – DWORZEC… KOLEJOWY… DWOOOO…

Dławił się własną krwią. Wypływająca z rozdartego ciała gęsta ciecz mieszała się na posadzce ze śluzem dziwnej, zastrzelonej przed chwilą istoty. Staszek nie miał czym zatamować lejącej się krwi. Ściągnął rękawice i rozpaczliwie starał się przykładać je do rany, ale była zbyt rozległa.

– Rudiger, ja… ja nie wiem. Nie rozumiem.

– ZABIERZ… – Krew buchnęła stalkerowi z ust. Napięta dotychczas szyja zwiotczała, a głowa opadła bez życia.

Staszek siedział przez chwilę z głową martwego stalkera na kolanach.

W kościele dawno zapadła cisza, ale w umyśle Staszka wciąż panował hałas. Gwar splątanych słów nakładał się na siebie, tworząc histeryczny głosowy kolaż.

Wydawało mu się, że minęły całe wieki, zanim doszedł do siebie.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki stalkera, z której ten tak nerwowo starał się coś wyciągnąć. Pod palcami wyczuł, że kilka szwów puściło. Włożył dłoń w zagłębienie i znalazł kartkę papieru złożoną we czworo. Nie wytarł rąk z krwi. Czerwony odcisk jego linii papilarnych odbił się na białym papierze. Zsunął głowę Rudigera z kolan, ciało ułożył prosto.

Strużki krwi wokół nosa i ust poległego zaczęły powoli zastygać.

Odwrócił się i zauważył, że Celik wyszedł z krypty i siedzi teraz na schodach prowadzących do ołtarza, niedaleko zabitej przez Staszka kreatury.

Usiadł obok niego, ale nie wiedział, co ma powiedzieć.

Rozłożył kartkę. Od razu rzucił mu się w oczy piękny, wyraźny charakter pisma. Przeczytał nagłówek: *Synu.*

List był skierowany do Celika. Przez chwilę Staszek zastanawiał się, czy ma prawo go przeczytać. Spojrzał na przyjaciela. Do Celika prawdopodobnie nawet nie docierało, że jest tak blisko niego. Nastolatek siedział z nieobecną miną i z łokciami opartymi na kolanach. Głowę trzymał w dłoniach. Patrzył w jeden punkt na posadzce.

Staszek doszedł do wniosku, że powinien znać treść. Czuł się odpowiedzialny za Celika. Zresztą od tego listu mogło zależeć ich życie.

Synu!

Kocham Cię najbardziej na świecie.

Umieram, mój synku. Choruję bardzo ciężko. Od dawna pluję krwią, ale nie tracę nadziei. Jeżeli znajdą się leki i jeżeli zaczną działać, Rudi wróci po mnie i już zawsze będziemy razem. On zrobi wszystko, by zapewnić Ci bezpieczeństwo. Obiecał mi. Wszystko zorganizował. Zaopiekuje się Tobą.

Nie gniewaj się, że przez ostatnie tygodnie Cię unikałam. Robiłam to dla Twojego dobra.

Ufaj od teraz Rudiemu. Już zawsze.

Kocham Cię,
Mama

Staszek gapił się w poplamiony krwią list. Przeczytał go kilka razy.

Potem przeniósł spojrzenie na sztywne ciało stalkera, leżące w kałuży krwi, a następnie na Celika.

Wstał. Postanowił nie wyjaśniać na razie niczego przyjacielowi. Tego byłoby zbyt wiele. Dzieciak nie kontaktował, nie miało sensu dodatkowo

go przygnębiać.

„Dworzec kolejowy”. To musiała być ta druga misja Rudigera. Pewnie jest tam jakaś osada, tam powinni pójść.

Wszedł do krypty. Pozbierał rozrzucone leki i mapy. Włożył je do plecaka. Wróciwszy, zabrał jeszcze broń i maskę Rudigera.

– To moja wina – odezwał się nagle Celik. – Mogłem nie otwierać… Mogłem nie otwierać tej skrzyni…

– Idziemy, wstawaj! – powiedział Staszek, ale jego słowa jakby nie docierały do przyjaciela.

– Mogłem jej nie otwierać. To coś oślepiła latarka, ale ja nie, nie, niee… nie mogłem trafić – jąkał się.

– Chodź, idziemy.

Celik podniósł się i popatrzył na ciało Rudigera.

– Co… co z nim? – zapytał.

Staszek zastanawiał się, na ile może uchronić Celika przed tym wszystkim. Czy chłopak był dostatecznie skołowany, aby go zapewnić, że będzie dobrze?

Nie wiedział przecież, czy będzie dobrze.

– Nie żyje – powiedział tylko.

EPILOG

Staszek spędził noc w opuszczonym mieszkaniu.

Zgubił drogę. Ludzie z osady na dworcu kolejowym poinstruowali go co prawda, że idąc torami, dotrze do ZNTK. Wszak do Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego muszą prowadzić tory, ale Staszek najpierw chciał odszukać czteropiętrowy budynek stojący na skraju niewielkiego parku.

Wraz z Rudigerem złożył obietnicę torturowanemu dzieciakowi.

Około południa natrafił wreszcie na znajomą ulicę. Skręcił w nią, a potem w następną. Miał dziwne uczucie, że to właściwa droga, że mniej więcej w tym miejscu złapał przyjaciela pod łokieć i pomógł mu iść.

Przyśpieszył kroku. W masce ciężko się oddychało, miał takie wrażenie, jakby jego płuca wypełniał balon.

W końcu dostrzegł znajomy czteropiętrowy budynek. Wszedł do niego, otworzył drzwi do piwnicy i zbiegł po schodach, pokonując kilka stopni naraz. W podziemiach budynku odnalazł czerwone drzwi. Były otwarte, a pomieszczenie… puste.

Światłem latarki spenetrował niewielką przestrzeń. Na początku myślał, że się pomylił, że to nie to pomieszczenie, nie ten budynek, ale potem zauważył przecięte więzy leżące w środku plamy po wyschniętej kałuży.

Zszedł z szosy i znalazł się na prowadzących w dół schodach. Skręcił w prawo.

Stanął przed obdartym z farby włazem.

Zacisnął dłoń w pięść i załomotał: trzy szybkie, trzy długie i dwa szybkie. Zapamiętał hasło, które Rudigerowi podał strażnik w strefie buforowej. Teraz musiał odczekać minutę. Żałował, że nie zabrał stalkerowi zegarka. Nie pomyślał o tym. W zasadzie to nawet nie wiedział, czy Rudiger miał zegarek.

Policzył do sześćdziesięciu.

Ponownie odwrócił się twarzą do drzwi. Powtórzył hasło.

Plecak z lekami zdjął i rzucił obok wejścia.

Zza pleców dobiegł go metaliczny głos nawołujący ludzi do schowania się w tunelach.

Gdyby zaczekał jeszcze chwilę, usłyszałby potrójny dzwonek wybrzmiewający za grubą blachą włazu.

J. Urbańczyk

Nim wszystko znów pójdzie w pierony

Drugie miejsce w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

– Szanowni koledzy, nie będę przed wami niczego taił. Główny Audytor nie żyje.

Po olbrzymim stole obsadzonym przez grono dojrzałych mężczyzn przemknął niemrawy pomruk.

– Chyba wszyscy spodziewaliśmy się, że do tego dojdzie.

Nastała chwila ciszy. Dziesiątki oczu, w różnych fazach dojrzałości, wlepiały się w brodatego mówcę.

– Nie oznacza to, niestety, że byliśmy w stanie się na to przygotować… – Staruszek zawahał się, ważąc słowa. – I nie mówię, rzecz jasna, w sensie emocjonalnym. Najważniejsze dla nas są procedury Bractwa, a w tym wypadku wydają się one co najmniej niejasne.

– A nad czym tutaj deliberować? – rzucił ktoś z zebranych. – Trzeba przeprowadzić głosowanie na następcę w trybie natychmiastowym!

– Zaraz, zaraz – odezwał się ktoś równie brodaty jak przedmówca i staruszek przewodniczący zebraniu. – Kategorycznie odmawiam dyskusji na temat nowego przywódcy, dopóki nie przyjrzymy się okolicznościom zgonu. Skąd u Audytora zatrucie radem, ja się pytam.

– Dopóki Rada Elektorów nie ustali jasnego grona kandydatów, nie mamy nad czym debatować – uciął kolejny z braci. – Moim zdaniem należy też bezzwłocznie powołać komisję, która każdego z wytypowanych oceni pod

kątem sprawności intelektualnej i zdolności do wykonywania powierzonych mu zadań.

– Nonsens, bracie Antoni. A Prawo Starszyzny?

– Prawo Starszyzny to przeżytek. Nie dziwię się, że słyszę o nim od takiego, za przeproszeniem, tetryka, jakim jest wasza ekscelencja…

Przepychanki trwały w najlepsze.

W rogu pokoju siedział mężczyzna wyraźnie różniący się od reszty. Nie miał on bowiem bujnego zarostu i w przeciwieństwie do większości zgromadzonych na nikogo nie pohukiwał. Nieobecnym wzrokiem wędrował po suficie, licząc pęknięcia w zagrzybionych kasetonach. Ze stanu medytacji wytrącił go szturchaniec wymierzony prosto w żebra – typowa zaczepka ze strony jego jedynego rówieśnika na sali, podchodzącego pod trzydziestkę.

– Co jest, Jacenty, nie włączysz się w dyskusję? Zbrzydły ci debaty jajogłowych?

– Alfredzie – zabrzmiał głos z głębi sali – co nam rzekniesz?

Uczony poprawił na sobie szatę.

– Toż to kwestia, *par excellence*, elementarna. Zgadzam się z bratem w nauce Antonim, jednakże komisję należy powołać, zanim elektorzy przystąpią do pracy. Ustalanie kandydatów natomiast winni zacząć od najstarszych stopniem, z pełnym poszanowaniem Prawa Starszyzny. Dopóki proces ten się nie dopełni i nie przeprowadzimy wyborów, będziemy mieli do czynienia ze swoistym interregnum!

– I to jest wreszcie jakaś… racjonalna odpowiedź, szanowni koledzy! Bierzcie przykład z brata Alfreda.

– Jesteś głupcem, Jacek. Teoria prawdopodobieństwa nie sprzyja głupcom.

– Śmiem się z tobą nie zgodzić, przyjacielu. Dopóki nie zostanie wybrany następca Głównego Audytora, nikt nie zablokuje mojej ekspedycji, a gdy już wrócę, nowy Audytor otrzyma z niej pełną relację. Czy to brzmi jak

plan głupca?

Brat Alfred zmarszczył brew, puszczając pytanie Jacka mimo uszu.

– Czy nie robi to na tobie wrażenia – kontynuował Jacek – że mija druga dekada, odkąd ludzie z dołu zamknęli się na resztę świata, a my nadal nie wiemy, co się tam dzieje?

– Aż tak cię ciągnie do tego grobowca?

– A czym jest – rozłożył ręce Jacek, obejmując tym gestem najbliższe otoczenie – ta ruina, jeśli nie cholernym grobowcem? Niby jesteśmy lepsi, bo nie musimy się chować pod ziemią? Bo mamy w oknach witraże ze szkła ołowiowego i zgrywamy zakonników? Ile jeszcze będziemy gnuśnieć w tym patriarchalnym grajdołku, wszechwiedzący i nic niemogący? Nadejdzie dzień, w którym my też w końcu trafimy pod ziemię.

– Może i stoimy jedną nogą w grobie – zauważył starszy kolega – ale w naszym przynajmniej jest znacznie wygodniej. I mamy co poczytać na dobranoc.

– To chociaż raz poczytaj sobie Verne’a – prychnął Jacek. – Dobrze ci zrobi na twój brak wyobraźni.

– Wiem, że cię nie odwiodę – westchnął Alfred, nie kryjąc niepokoju. – Żegnaj więc, bracie, i wracaj w jednym kawałku. Niech Newton będzie z tobą.

– Byle nie Grey ani Sievert – zaśmiał się gorzko brat Jacek.

Przez witraże, znalezione i zamontowane tu po urządzonej dwadzieścia lat temu wystawie architektury sakralnej, wpadła pierwsza od tygodnia smuga zbłąkanego światła. Jacek zauważył ją, gdy ściskał przyjaciela na pożegnanie.

Założył maskę gazową, narzucił kaptur prochowca i skinął głową do uzbrojonego po zęby przewodnika.

Na monumentalnych niegdyś schodach Biblioteki Śląskiej rozbijały się krople kwaśnego deszczu.

Niepokój, jak tchnienie wiatru, przypływa falami. Chłód muska moją

potylicę. Jego cichy szept stawia mi włosy dęba na całym ciele. Przede mną, jak okiem sięgnąć, rozpościera się tunel. Nie sposób domyślić się, gdzie się kończy ani dokąd prowadzi.

Staram się wyobrazić sobie wyjście z tego miejsca, gdy nagle uderza mnie przerażający obraz tunelu, który ciągnie się i ciągnie, wijąc w nieskończoność.

Ja stoję w środku tej oślizgłej żmii.

Jednak nie samotnie. Rozglądam się na boki i zauważam sylwetki dwóch mężczyzn. Bijące od nich ciepło stanowi dla mnie pocieszenie, choć tylko na krótką chwilę. Widzę, że nasze ścieżki splatają się i biegną w jednym kierunku.

Nagle chłód zaczyna uderzać zza pleców ze zdwojoną siłą, a lodowaty szept w ułamku sekundy przekształca się w trwożący jęk. Przeszywa on nasze ciała i zatrzymuje się w nich, by zaraz je opuścić i kontynuować wędrówkę w głąb korytarza, coraz dalej i dalej… Tam, dokąd zmierzamy. Ku wolności.

Rzucamy się jak najdalej za tym powiewem, w pośpiechu, bezmyślnie, by uciec z wnętrza uroborosa. Wiatr ustaje niespodziewanie, gdy z kłębu dymu naprzeciwko, niczym odbicia w lustrze, wyłania się trójka zamaskowanych postaci. Siedzą w bezruchu przy wielkim, podłużnym pulpicie oświetlonym blaskiem lamp karbidowych. Cienista istota pośrodku wstaje, poprawia krawat i przemawia, a głos, niby zjawy, wydobywa się z otchłani przy akompaniamencie wietrznego wycia.

Doskonale znam ten niecierpliwy ton. Jego chropowatą, suchą jak pył węglowy barwę.

– Czas już wstawać. Wstawaj, moja Jutrzenko.

– Wstawajże, cholera jasna! – warknął.

Blondwłosa Jutrzenka wyrwała się ze snu jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Oczy miała wytrzeszczone i dyszała jak szalona.

– Znowu te nocne wariactwa. Wyrosłabyś z tego wreszcie – wychrypiał

poirytowany Daniel.

Odkąd tylko pamiętał, jego młodsza siostra przeżywała swoje co realistyczniejsze koszmary jak ataki epilepsji. Jakkolwiek było to uciążliwe, zazwyczaj starał się nie karcić dziewczyny za jej wybujałą wyobraźnię. Nieraz, gdy byli młodsi, okazywała się ona lekiem na pełną nudy rzeczywistość. Wtedy właśnie, na jego własne życzenie, Jutrzenka opowiadała mu zmyślone na poczekaniu historie.

Daniel często nabijał się z durnych pomysłów siostrzyczki, ale zawsze wysłuchiwał jej do końca. Nie zastanawiał go fakt, że siostrze nigdy nie będzie dane przeczytać elementarza ani książki z prawdziwego zdarzenia. Pod ziemią lekturą były głównie ostrzeżenia na ścianach i popularne wśród staruszek skarbczyki z modlitwami.

Gdy opowieści Jutrzenki zaczęły się robić niepokojące, chłopak przestał podpuszczać siostrę.

Smutna historia rodziny Rotów zaczyna się po tygodniu rozpaczliwych prób odkopania feralnego korytarza 32, niefortunnie zakończonych śmiercią państwa Rotów. Zanim jednak ich czas dobiegł kresu, brzemiennej pani Rot uwięzionej z małżonkiem w ciasnym korytarzu udało się sprowadzić na świat żywe maleństwo rozmiarów bochenka chleba. Anemicznego noworodka udało się uratować, zawijając go w chustkę, przewiązując sznurem i wyciągając na wolność przez rurociąg. Ten nie dalej niż dwie dekady temu nie służył do transportu ludzkich istot, lecz materiału podsadzkowego w stronę wyrobiska.

„Szczęście w nieszczęściu”, przyjęło się mówić, ilekroć opowiadano historię niezwykłego ocalenia. Po paśmie niepowodzeń nękających społeczność Podziemia odratowanie niewinnego dziecka zaczęto uznawać za dobrą wróżbę; rozjaśniającą mroki sztolni oznakę, że po długiej nocy nareszcie przyjdzie dzień. Jak ktoś trafnie zauważył, zjawisko przejaśnienia zaraz przed wschodem słońca nazywa się po niemiecku „Morgenrot”. Po polsku, jak zwykle, piękniej: „Jutrzenka”.

Powód tragedii nigdy nie został wyjaśniony, gdyż badania specjalistów nie wykazały niczego, co mogłoby wywołać tak ogromny zawał. Ostateczny werdykt głosił: „Anomalia tektoniczna”.

Podczas gdy uwaga całego Podziemia skupiała się na cudownie odratowanej siostrze, młody Daniel wciąż wracał pamięcią do skalistego muru, który w wieku dziesięciu lat oddzielił go od reszty rodziny. Odtąd jego młodzieńcze życie zdefiniowane było przez jeden powracający dylemat – jak przekazać umierającym rodzicom, że ich się kocha, gdy jedyną odpowiedzią jest niesiony metalową rynną stukot.

W błękitnych oczach Jutrzenki wciąż malował się strach. Rozejrzała się po ścianach kamiennego chodnika wokół i westchnęła skrycie. Nie zanosiło się na to, żeby koszmar, choć oswojony, miał w najbliższym czasie ustąpić.

Przewróciła się więc na drugi bok i zakryła głowę słomianą poduszką. Zaczęła się modlić, by przyśniła jej się Powierzchnia…

Na brudnych katowickich ulicach panowała cisza, a w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Jacek i jego przewodnik przycupnęli pod na wpół zawalonym wiaduktem. Była dobra pora na odpoczynek, co wcale nie oznaczało, że jest bezpiecznie. Deszcz ustał dobry kwadrans temu, więc braciszek, biorąc przykład z przewodnika, zdecydował się zdjąć silikonową maskę i uciąć sobie pogawędkę z towarzyszem eskapady.

– Rajmundzie? Czy jak cię tam wołają… Perlik? Pyrlik?

Dwumetrowy mężczyzna odciągnął kaptur, obnażając łysą, asymetryczną głowę. Na skroni malował się zatknięty za ucho papieros, przedstawiony w dwóch wymiarach w formie tatuażu.

– Skończ beblać, bo żem głuchawy jest! – zabrzmiał niski, przesiąknięty akcentem głos. – Jeszcze roz, a pomału!

– Jak to jest, że wreszcie wpuszczą nas na dół? Tyle lat próbowałem to zaaranżować i wszystko jak krew w piach!

– Po piyrsze – zaczął powoli olbrzym – to mnie wpuszczają, nie ciebie. Jo tam kupa lot jako szishajer, wróć, górnik strzałowy przerobił, to i paru

richtig sztajgrów znom. Z jedną taką bandą żech się kolegowoł, zanim żech się u wos, rechtory, zatrudnił. Mianowalimy się Brygada Aszynbecher. Ech, dobre to były czasy… Jeden z nich na dole urzęduje, Cysorz mu godają. Pobożny synek, ale rojber piyrszyj wody. Był naszym hersztem, ale w końcu mu się zbrzydło i pedzioł: fajrant. Jo trefiłem do wos, a on pod ziemia. Stary zbereźnik liczył pewno, że tam babów wiyncyj! No i tak to siedzi w tyj ciemnicy i szeryfa z Bonanzy udaje. Godoł mi, że się do polityki nie mieszo, ale się go tam trocha słuchają te towarzysze z Zarządu. No i beztoż nos wpuszczają. Znaczy się mnie wpuszczają, a tyś jest na doczepka. Coś jes niyjasne czy mom powtórzyć?

– Prawdę powiedziawszy, to nadal nie wiem…

– COŚ JES NIYJASNE CZY MOM POWTÓRZYĆ?! – zagrzmiał potężny hanys.

– Wszystko jasne, panie Pyrlik! Jasne jak ta wasza glaca, co mnie aże blinduje!

– To mi się trefił poliglota, basztard pieroński…

Dziennik Ekspedycji, I wpis na dole

Szanowni koledzy, zrobiłem to.

Mówiliście, że to niemożliwe. Mówiliście, że nie warto. Teraz proszę, zamilknijcie.

Miejsce: dół, inaczej: Podziemie. Główny dystrykt nosi nazwę „Nowy Bytom”, ale czy na cześć miasta, czy na cześć dzielnicy Rudy Śląskiej, tego nikt nie wie.

Na przywitanie wyszedł nam Klaudiusz Knap vel Cysorz, stary znajomy Pyrlika – postawnego przewodnika, bez którego pomocy niechybnie wpadłbym w cyklon lub inną śmiercionośną ulewę – wszak nuklearne przedwiośnie trwa w najlepsze. To niesamowite, że zawodowi rajzerzy bez kompasu i mapy są jak miejscy szamani, co bezpieczną trasę wróżą z kłębów pyłu na niebie i ziemi.

Rodzina. Bóg. Praca. Tak z grubsza rysuje się hierarchia wartości typowego śląskiego górnika i nawet koniec świata nie był w stanie tego zmienić. Mieszkańcy, którzy znaleźli schronienie w zakamarkach kopalń, to w znacznej mierze górnicze familie, których mężczyźni znają te korytarze jak własną kieszeń. Przymusowa, pozwolę sobie na grę słów, emigracja wewnętrzna nie rysuje się przed nimi jako okropne brzemię.

Warto zauważyć, że nic tak nie cementuje społeczności jak więzy rodzinne.

Oczywiście nie każdy członek naszego zakonu przyjmie treść tej prawdy na słowo. Jestem w stanie to zrozumieć – rodzina to dla wielu z nas pojęcie niemalże abstrakcyjne. Tę garstkę kobiet, które przetrwały z nami apokalipsę, trudno nazwać czyjąkolwiek rodziną.

Inkubatory? Tak, to określenie lepiej opisuje ich rolę w Bractwie.

– Moniczko… dość tego. Naprawdę nie ma o czym dyskutować. Skoro tyle lat wdychania śląskiego powietrza mnie nie zabiło, to taka dawka promieniowania nie zrobi na mnie żadnego wrażenia. To zresztą nie jest mój pierwszy raz, wiesz o tym dobrze.

– Kaziu, ja cie podziwiom. Ja od zawsze wiedziała, żem wyszła za prawdziwego wojaka. Poradzisz sobie, wierzę w ciebie. Razem sobie poradzymy. – W kąciku oka młodej kobiety zadrżała samotna łza. – A teraz… dej mi dzióbka!

– No już, kochanie… – Niedogolony mężczyzna w średnim wieku pogładził policzek szlochającej małżonki, ocierając kroplę spływającą po jej policzku. – A ty, Jacuś, opiekuj się mamą. Liczę na ciebie. Pamiętasz, co mi obiecałeś? Gdyby tak miało mnie kiedyś zabraknąć… wiesz, co robić.

– Boże świynty, Kazik! – zaszlochała pani Monika. – Godosz, jakbyś szoł na front i mioł już nigdy nie wrócić. Wszystko bydzie dobrze, zoboczysz. To nie koniec świata. Słyszysz, Jacuś? Nie mosz się czym przejmować. Tata nikaj nie idzie.

W oczach siedmioletniego chłopca szklił się smutek. Choć malec nie był do końca świadom, co działo się w jego rodzinie przez ostatnie tygodnie, widoczne na twarzach rodziców emocje udzieliły mu się ze zdwojoną siłą. Akurat w tej chwili za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć treści złożonej ojcu przysięgi.

– Pan Urbańczyk? Zapraszam. Radiolog już na pana czeka.

– Buhahaha! – Rzężący rechot Cysorza i rubaszny śmiech Pyrlika zwracały uwagę wszystkich pobliskich osób, wypełniając kamienną salę dudniącym echem. Dolnicy nie bez kozery nazywali ją Karczmą;

z łatwością mieściła pięćdziesiąt osób i to tutaj najczęściej świętowano uroczystości pokroju Wigilii lub Barbórki.

– A pamiętosz, Klaudek, jak my gorolowi dali kibel i dyspozycja, coby lecioł po sztrom ?

– Genau tak było, Mundziu. Twoje zdrowie! – wzniósł toast Klaudiusz, drugą ręką zasłaniając medalik z Matką Boską.

– No, to pyrsk, panie komendant! – zawtórował mu Pyrlik.

Na sygnał obydwaj wychylili kubki z podejrzaną perłową cieczą.

– Ach, jerona – zaklął górnik strzałowy, krzywiąc twarz. – Skąd wy tu, dolniki, gorzołka mocie?

– Widzisz, Mundziu… Jakby Rumcajs cię nie przekonał, żeby się odłączyć od grupy, to i ty byś czasem czegoś posmakował. Trzeba się było w porę opamiętać, że bibliotekarze do wybitnie pijących nie należą!

– Mosz recht – przyznał mu rację rozbawiony Ślązak. – Zobocz ino tego oślimtusa – tu wskazał na milczącego zakonnika – flaszka stoi, okazja jest, a on ani myśli, żeby dziób utąkać. Chopie, mosz ty rozum? – zapytał retorycznie.

– Podziękuję – uśmiechnął się Jacek. – Po latach bez chociażby grama czystej człowiek mógłby zdziczeć. Ale patrząc na kolor i konsystencję trunku, zastanawia mnie metoda jego produkcji…

– Tajemnica zakładu, synuś. Ale jedno ci powiem: jak czujesz, że z brzucha wyrasta ci trzecia ręka, to pomaga wypić kubek z kropelką płynu Lugola. Żeby zdobyć coś lepszego, najpierw trzeba zorganizować raby, a że ostatnimi czasy pozwolenie na wyjście mamy już tylko ja i Zeflik, to i coraz rzadziej chce nam się wychylać.

– Żyje jeszcze tyn boroczek?! – obudził się Mundek. – Stoł się już cosik bardzij wymowny czy durś z gęby ino dymki wypuszczo?

– A kaj tam! Jak kopcił, tak kopci. A do tego jak na korytarzach ludzie dojrzą po ciemku takiego kurdupla, to za Skarbnika go biorą! Przy naszych poziomach metanu bydzie z tego kiedyś tragedia, ale póki Złomiorze

przynoszą nam tytoń, to kurzy. Regularnie z nimi handlujemy, ale blank na dół nikogo nie wpuszczamy. Ale i bez handlyrzy byśmy sobie poradzili. Są szklarnie, więc i warzywka, i kury, i świnki się czasem wyszabruje. Niektóre nawet nie mają dwóch łebów! – zażartował kiepsko. – Do tego wszystko zasilane prądem… czyli sztromem właśnie. A to z kolei zasługa naszych chwalebnych inżynierów!

– Tacy z nich bohaterowie? – pociągnął go za język Jacek.

– Bohaterowie to za mało powiedziane. Prawdziwi męczennicy! Gdyby nie wysiłek i trud ojców założycieli, dzisiejsze Podziemie nie byłoby w stanie funkcjonować. Zaraz po tym jak wszystko poszło w pierony i było już po ewakuacji, na ochotnika zgłosili się kable ciągnąć i generatory montować, żeby tylko zapewnić dołowi ludzkie warunki. Kiedy niebo zasnuło się czarnym dymem, oni nie przestawali. Na nic się ni patrzyli, nawet jak z tych kłębów spadał im na łeb dyszcz, czarny choby antracyt. Dzień i noc pracowali w pocie czoła, bez ustanku, żeby ich rodziny mogły jakoś przetrwać. Roboty całkiem nie dokończyli, bo do teraz na wschodnich chodnikach zdupczona wentylacja ludziom chce łeb urwać, ale dało się już żyć. Dla nich niestety było za późno.

– Co się stało? – zapytał Jacek raczej z grzeczności niż z czystego zainteresowania. Przeczuwał, że w tym momencie historia zmieni kierunek i, koniec końców, okaże się kompletnie nieprawdopodobna.

– Nikt nie wi. Niektórzy twierdzą, że straszliwy deszcz, co się zerwał na sam koniec ich roboty, czorny był jak święta ziemia i zalał ich od stóp do głów. Ciała mieli pokryte w mazidle jakby ze smoły. Wtedy też zerwał się wicher i szarpał nimi okropnie, a ich straszliwe wycie niósł do najdalszych chodników kopalni. Wtedy wszyscy zrozumieli, że już po nich. „Pomocy”, krzyczeli, „wpuśćcie nas!”, ale nikt nie odważył się wysłać po nich szoli.

– Ekhm… czego? – wybił Cysorza z opowieści Jacek.

– Jak by ci to pedzieć… takiejsik górniczej windy – wytłumaczył Pyrlik. – O mało co żeś się do niej nie posroł, jak na dół zjeżdżała. Klaudek, nie

przejmuj się krojcokiem, ino opowiadej, kaj oni się podziali!

– Jedni twierdzą, że stopnieli; wsiąkli w ziemię i zostały po nich tylko plamy… cienie na betonie, jak po ludziach w Hiroszimie.

– Niymożliwe… – skonsternował się Rajmund. – Wszystkich ich tak, o, wsiąkło do zola?

– Co lepsi bajkopisarze rozpowiadają, że w ostatnich chwilach świadomości zdziczeli robotnicy zapałali wielką nienawiścią do ocalonych za to, że nie pozwolili im zjechać na dół. W przeraźliwym jazgocie stu topniejących gardeł wielu z ocalonych dosłyszało się przekleństw i pogróżek, że jeszcze po nich wrócą. Legenda głosi, że od dwudziestu lat, jak kopalniane szczury, bez chwili przerwy gryzą ziemię, żeby ino się dokopać do swoich oprawców i wymierzyć im sprawiedliwość. A kiedy już tu dotrą, wyjdą naraz, czarni jak sam węgiel, rozszarpać żyjących, których winią za swój los.

– Jezderyny, Cysorz – skwitował Pyrlik. – Co jak co, ale w pociskaniu pierdół to ni mosz sobie równych.

– A mało sie beboków nastrzelaliśmy z resztą Aszynbechra? – obruszył się Klaudiusz. – Moja Kropielniczka tylu ich prześwięciła, byłoby ze trzy dziesiątki różańca – mówiąc to, pogłaskał oparty o stół karabinek, jakby chciał pochwalić go za dobrą pracę. Na kolbie poniemieckiego sturmgewehra wyryta była sentencja: „Bez Boga ani do proga”.

– Takim to roz kropniesz i mosz spokój na wieki – zauważył z powagą Rajmund.

– Ale mniejsza tam beboki – ciągnął Cysorz – kiedy jeszcze gorsze plagi nas nękają. Młodzież nam się buntuje!

– Brawo dla niej – zlekceważył gospodarza Jacek. – Najwyższy czas. A teraz przepraszam panów, bo mam do pomówienia z pewną niewiastą.

– No, no! – pogroził mu palcem na pożegnanie komendant. – Ino tam nie szalej! Żeby ten dupcyngier panienek nom nie zaczął bałamucić – ostrzegł Pyrlika.

Znużony opowiastkami podchmielonych górników zakonnik wstał od stołu i udał się w stronę długiego jak promenada kontuaru. Jakiś niewidomy siedział na skrzyni nieopodal i na dziurawym akordeonie wygrywał melodię *Głęboka studzienka*, gubiąc przy tym co drugą nutę.

Stojąc przy barze, Jacek kątem oka zauważył, że ktoś mu się przypatruje.

Była to dziewczyna o niemal przezroczystej skórze i długich po pas blond włosach. Jacek nigdy nie widział podobnej istoty – smukłej jak łania, o łagodnych rysach i zagubionym spojrzeniu. Albinoska? Nie był tego pewien. Być może tak wyglądają ludzie, którzy nie zaznali promieniowania światła słonecznego, pomyślał.

Ze stanu chwilowej kontemplacji wytrącił go niezapowiedziany zefirek. Nagle ktoś gwizdnął, młódka odwróciła wzrok i odeszła.

Niewiastą, której szukał, okazała się Truda. Pięćdziesięcioletnia babka z trwałą ondulacją, działaczka socjalna w miejscowym przytułku „Starzyk" dla wiekowych obywateli. Wołała do niego z daleka, wymachując w powietrzu laską.

– I jak, pani Gertrudo? Sprawdziliście to, o co was wczoraj pytałem?

– Syneczku, dyć możesz mi za jedno godać. Nie jestem chyba zaś tako staro? – zaświergoliła staruszka. – Ta kryka – wskazała na dzierżony w ręku ociosany kijek – to tak dla parady. No, może czasym mojego Rudolfa po garbie wyzgrzytom, ale…

– Trudzia, do rzeczy! – ponaglił ją Jacek. To, co miał właśnie usłyszeć, mogło odmienić jego los, dlatego wstrzymał oddech i pozwolił kobiecie się wygadać.

– Dziwiłam ci się, jak żeś z tym do mnie przyszoł, ale okazuje się, że dobre miołeś przeczucie. Była tu tako jedna Monika, co by pasowała. Ani chopa, ani dzieci… godom ci, nie miała żodnego. Sześćdziesiąt jeden lot na karku i samiuśko jak palec. Włosy rudawe, troszka przy kości. Roz wspominała Gryjcie coś o swoim synku, ale nie uwierzyłbyś… – Potrząsnęła głową zasmucona. – Podobno jako mały bajtel poszeł oddać

książki do biblioteki po świętyj pamięci ojcu i tyla go widziała. Cołki mi jej było szkoda… Ino, rozumisz – zaczęła ostrożnie – kajś tak z sześć miesiączków temu… wzięło się bidulce i zmarło. Zapalenia płuc się nabawiła. Abo to była pylica? Kilku starzyków łoroz nom wtedy umarło. Myślałam, że to od tych przeciągów na wschodnich chodnikach, ale przecież do tamtych labiryntów żaden żywy duch się nie zapuści. No ale powiedz ty mi lepiej, czymu cię to tak zainteresowało? Co, Jacuś? Godej ze mną, co jest?

Dziennik Ekspedycji, II wpis na dole

W percepcji przeciętnego człowieka dobrze wykorzystana nauka jest w efekcie nie do odróżnienia od boskiej interwencji. Posiada ona jednak pewną przewagę nad opatrznością, o jakiej prymitywny człowiek nie ma bladego pojęcia: nie jest tylko bujdą.

Wierzyłem w to, naprawdę. Chciałem uwierzyć, że jesteśmy w stanie odbudować z gruzów świat, kawałek po kawałku. Bóg Ojciec jednak umarł, a Matka Natura dogorywa. Samiśmy się osierocili.

Dla przykładu załóżmy jednak, że w kilkanaście generacji zbudujemy nową cywilizację, mądrzejszą i silniejszą. Naturalnie, by utrzymać w niej porządek, zbudujemy kolejną broń: jeszcze większą i znacznie, znacznie skuteczniejszą. A gdy wszystko wróci do punktu wyjścia, przyjdzie czas na Ostatnią Wojnę. Po niej nie będzie już wojen. Nawet takich na patyki i kamienie.

Czas spojrzeć sobie prosto w twarz i przyznać, że niezależnie od tego, jak potoczy się historia, dla mnie świata już nie ma. Jedyne, co mi po nim zostało, to wspomnienia.

Mój świat miał na imię Monika.

Tato… przepraszam, że nie dotrzymałem obietnicy.

– Psst… To ty jesteś Jacek?

– A kto pyta?

W środku regularnie wywoływanego wyłączeniem lamp zmroku do wnętrza namiotu powierzchniowca wkradło się chude, drobne dziewczę o łabędziej szyi. Choć długie złote włosy chowała pod poplamioną chustką, Jacek od razu ją rozpoznał po wędrujących niebieskich oczach.

– Nie chciałam przeszkadzać. Widzę, że piszesz – uśmiechnęła się do

niego nieśmiało.

– Zauważyłem, że przyglądałaś mi się w karczmie. Czy my się znamy?

Zawstydzona dziewczyna weszła do środka i zrobiła krok w stronę rozmówcy.

– W pewnym sensie. Mam do ciebie sprawę. – Tu przerwała na chwilę, aby zebrać myśli, po czym wreszcie z całym przekonaniem wydusiła: – Muszę się stąd wydostać i uznałam, że możesz mi w tym pomóc.

– Że niby ja? – zdziwił się Jacek. – Ależ skąd!

– Jak to skąd, z Podziemia! – zaintonowała jak do głupca. – Klnę się na Boga, że dłużej tu nie pociągnę. Wynośmy się stąd!

– Hola, hola, jakie my? – uniósł brwi Jacek – Wybacz mi ciekawość, panienko, ale skąd pomysł, że jest w tym moja rola?

Oczy dziewczyny momentalnie się rozjarzyły.

– Śniłeś mi się – wypaliła.

Minęła dłuższa chwila, zanim Jacek przyjął do wiadomości, o co tak naprawdę jej chodzi.

– Za długo się na mnie gapiłaś – zinterpretował nieskromnie Jacek. – Dorośli faceci czasem tak działają na nastolatki.

– Nie rozumiesz – potrząsnęła głową przejęta. – Śniłam o tobie i twoim koledze, o was obydwu, regularnie od dobrych paru tygodni. Zanim wypatrzyłam cię w tłumie. Zanim tu w ogóle zjechałeś – dodała

– Nonsens… Sugerujesz, że to jakaś forma prekognicji?

– Używasz trudnych słów – zauważyła Podziemianka bez zażenowania.

– Chciałaś powiedzieć, że przewidziałaś nasze spotkanie?

– Tak właśnie było – skwitowała.

– Niemożliwe – odparł z całą pewnością siebie Jacek.

Nastała niezręczna cisza. Jacek dojrzał, jak pod długimi rzęsami panna przewraca oczyma.

– Powiedzmy zatem, że to kobieca intuicja. Fakty są takie: muszę wyjść na powierzchnię i nie znam nikogo innego, kto mógłby mi w tym pomóc.

– Mnie też w zasadzie jeszcze nie poznałaś… – Zmieszał się nagle.

– Jesteś Jacek, Powierzchniowiec. Na mnie mówią Jutrzenka.

– Krótko i zwięźle – roześmiał się zaskoczony Jacek. – Miło mi cię poznać, podziemna panienko.

Jacek i Jutrzenka, pomimo późnej pory, kolejne godziny spędzili na rozmowie. Wymieniali się poglądami: o Górze i o Dole, o śmierci i marzeniach, o braku wiary w naukę i zapomnieniu przez Boga. Mimo jawnych różnic światopoglądowych Jacek, poznając historię swojej rozmówczyni, powoli przestawał spoglądać na nią z góry. W końcu też była sierotą.

Nad namiotem przybyszów w korytarzu 41 paliły się już pomarańczowe lampy, gdy do rozmowy dołączył się jego hanyski towarzysz.

– Cysorz rozprawioł, że wołają na wos Gizdy farońskie. Nawet jo w waszym wieku nie miołech tyla na sumieniu, a to już jest wyczyn!

– To prawda – odparła Jutrzenka. – Daniel i jego paczka czują się bezkarni, a z każdym kolejnym dniem posuwają się dalej. Kiedyś moim największym zmartwieniem było to, jak rozwiązywał mój „problem” wszelkiej maści absztyfikantów… Ktokolwiek choćby zawiesił na mnie oko, mógł pożegnać się z zębami. – Jacek wyszczerzył się w smutnym uśmiechu, upewniając Pyrlika, że ten los nie jest mu pisany. – Ale ostatnio odbiło mu jeszcze bardziej. Nie potrafi znieść faktu, że jego siostra męczy się w tych dusznych korytarzach. W dzień migreny, w nocy koszmary… tak wygląda każdy mój dzień. Mnie doprowadza to do szału, a w nim wywołuje uczucie kompletnej bezsilności. Nie potrafi mi pomóc i wie o tym aż za dobrze, przez co stara się to nadrobić na najgorsze sposoby. Jest przy tym nieznośnie zaborczy. Gdy ciężko zachorowałam zeszłej jesieni, to w trosce o moje zdrowie napadł na pieprzony dom starców. Wyobrażacie to sobie?! Ograbili biednych staruszków z całego zapasu lekarstw! Wiecie, ile trwało, zanim Cysorz przyniósł nam z góry partię antybiotyków? Ilu ludzi nie przeżyło tamtej zimy?

Jacek momentalnie połączył fakty.

– Zeszłej zimy? To będzie gdzieś… z pół roku temu? – oszacował w skupieniu.

– Ponad pół roku – poprawiła go. – Dlaczego pytasz?

Dlaczego pytam? Dlaczego?! Gdyby nie ten rozbój, moja matka nadal by pewnie żyła!… Zanim świadomość tego faktu dotarła w pełni do podróżnika, bronił się przed nią, jak tylko mógł. Okazał się jednak za słaby, a jego umysł ogarnął chwilowy chaos, który stopniowo przerodził się w czystą, skoncentrowaną złość. Jaki zgniły skurwysyn dopuścił się tak perfidnego czynu?! Jak tylko uda mi się położyć na nim ręce…

– Coś się stało, Jacku? – Z zamyślenia wytrąciła go zaniepokojona nie na żarty Jutrzenka.

– Słuchaj, młoda. – Mężczyzna się otrząsnął. – Nie planowałem tego. Powiem szczerze, spodobało mi się tutaj. Gdybym miał taką możliwość, zostałbym na stałe. Odpuść sobie, na górze nie ma już do czego wracać.

– Naprawdę? – Wyglądała na zaskoczoną. – A ja byłam pewna, że to tylko propaganda; plotki rozsyłane przez Zarząd, żeby trzymać nas w zamknięciu.

– Nie do końca – sprostował uczony. – Z dużą dozą determinacji da się tam przetrwać, ale na pewno nie pod gołym niebem. Ani bez uzbrojenia, naturalnie. I nigdy samemu.

– A to miejsce, z którego pochodzisz? Mówiłeś, że są tam lekarze i wojsko!

Jacek prychnął zdegustowany.

– Lekarze, którzy gdzieś mają swoje przyrzeczenia, i wojsko, które w każdym dopatruje się ukrytej opcji niemieckiej. Uwierz mi, kiedy mówię, że nie jest to miejsce dla młodych kobiet.

– Myślisz może, że tutaj jestem bezpieczna? – wściekła się dziewczyna. – Ludzie traktują mnie albo jak miejscowe trofeum, albo jak ostatnią wariatkę. Ja jedna wiem, o czym rozmawia się za zamkniętymi drzwiami…

– Urwała, po czym zniżając znacząco głos, podjęła: – Są plany co do mojej osoby. We śnie przysłuchiwałam się zebraniom Zarządu i zapewniam cię, że to, co tu się dzieje, przechodzi ludzkie pojęcie.

– No nie… Może koniec świata też tak przewidziałaś? – obśmiał ją Jacek.

Na twarzy wyłączonego z dyskusji Pyrlika pojawiło się zaniepokojenie. Wstał z zydelka, gdy zauważył w oddali majaczący snop światła emitowanego przez dwie nadciągające w pośpiechu sylwetki.

– Oho – mruknął pod nosem były górnik, instynktownie sięgając po zawieszonego na plecach obrzyna. – Szykuje się haja.

– To ona – syknął Daniel niemal bezdźwięcznie, a ton miał równie stanowczy jak swój przyśpieszony krok. Wzrok skupiał na trójce osób zgromadzonych wokół namiotów w nieuczęszczanej odnodze korytarza 41, usytuowanej z dala od typowych dzielnic mieszkalnych.

Najchętniej przywitałby gości z góry sam na sam lub ze wsparciem swojego gangu, ale ci idioci nie dość, że narobili rabanu, to jeszcze dali się złapać. Zupełnie niepotrzebnie stłukli tę kurwę z przytułku dla starców. Poza imieniem gościa i tym, że mieszkała tu kiedyś jego stara, nie miała pojęcia, gdzie trzymają Jutrzenkę. A jej starszy brat nie przespał całej nocy, bo się martwił.

– Widzę, że znalazłeś swoją niewiastę, purtaczu zasrany.

Klaudiusz Knap, zwany Cysorzem, nie lubił owijać w bawełnę. Gromady pałętających się nocą po kopalni Gizdów narobiły mu dziś dość kłopotu, wszczynając burdy i budząc praworządnych obywateli. Po złapaniu ich herszta, Bogu dzięki, odpuścili.

Gdy sytuacja tego wymagała, metodą wyrażania się komendanta były mało subtelny język i równie mało subtelny uniform. Czarny skórzany płaszcz i lampka górnicza zamontowana na niemieckim hełmie należącym do jego dziadka miały kojarzyć się jednoznacznie i metodą skojarzeń budzić uniwersalny respekt.

– Kto, ja? – zająknął się Jacek.

– Nie zgrywaj głupiego – wypalił wkurwiony Cysorz. – Nie umiesz pitusa w gaciach utrzymać? Baby nam po nocach kradniesz? Ja wiedziałem, Pyrlik, że tam na wierchu nie ma gdzie ciulika wrazić, ale to nie powód, żeby nasze dziołszki podpierdalać. I to naszą legendę, cudowne dzieciątko! Ty wiesz, co ona znaczy dla Podziemia? – huczał, trzymając przewieszony na szyi ulubiony karabin.

– Szczerze powiedziawszy, mom to w rzici – splunął mu pod nogi kolega z kopalni. – Na coś tu przylozł?

Wściekły Daniel przyglądał się tej wymianie zdań spod osmolonych krzaczastych brwi. Ze swoją rozczapierzoną fryzurą i poszarpaną rudą brodą do pary bezbłędnie odgrywał rolę poszukiwanego recydywisty. Stanąwszy z porywaczami siostry na wyciągniecie ręki, rzuciłby im się najchętniej do gardeł. Na razie jednak miał związane ręce – dosłownie i w przenośni.

– Przyszedłem zrobić porządek – kontynuował komendant. – Tego dupka – wskazał brodą herszta Gizdów – już dawno powinienem był zapuszkować. Nie myślałem, że wy też będziecie sprawiać kłopoty.

Wpadłeś, skurwielu, wypalił Jacek w myślach, obdarzając Daniela pogardliwym spojrzeniem.

– Jakie znowu kłopoty, komendancie? – wcięła się Jutrzenka. – Nikt mnie nie porwał ani nie zgwałcił, przyszłam tu z własnej nieprzymuszonej woli!

– Odsuń się, dziołszeczko. – Cysorz chwycił ją, mierząc do Pyrlika z biodra. – Ci panowie i tak się u nas zasiedzieli.

Dziennik Ekspedycji, III wpis na dole

To będzie ostatni wpis w tym dzienniku. Zostajemy ostatnią noc, ale jutro w samo południe ma nas już tu nie być. Cysorz powiedział, że mamy uznać to za akt łaski.

Sukinsyn, który okradał dom starców z zaopatrzenia, siedzi wreszcie w więzieniu. Mówię o tym z pewną ulgą, choć im więcej o nim myślę, tym bardziej jestem mu w stanie wybaczyć. Zrozumieć go nawet?

Kiedy Jutrzenka wcześniej opowiedziała mi niesamowitą historię ich dzieciństwa, zaczęło mi być szkoda tego faceta. Podejrzewam, że to ten specyficzny rodzaj

współczucia, który rodzi się tylko między sierotami.

Przecież próbował tylko chronić swoją rodzinę. I co godne podziwu, udało mu się.

Jakieś pocieszenie sprawia mi też myśl, że jego czyn, jakkolwiek niegodziwy, przyczynił się do uratowania innej istoty ludzkiej (więc to tak działa ten osławiony relatywizm moralny?). Myśl, że niefortunna śmierć mojej matki pozwoliła Jutrzence na przeżycie, napawa mnie pewnym spokojem. W ten właśnie sposób zaszła, że się tak wyrażę, śródżyciowa reinkarnacja.

Kładę się spać z fantazją w głowie, mówiącą mi, że jakaś cząstka życiowej esencji mojej rodzicielki tli się wewnątrz tej młodej istotki.

Czyż to nie prawdziwe szczęście w nieszczęściu?

– Pyrlik? Pyrlik! Wstawaj, chłopie! Nie możemy jej tak zostawić!

Pobudzony Jacek gorączkowo przeskakiwał z nogi na nogę.

– Mmm… co ty tam fandzolisz? – wymamrotał przez sen Górnoślązak

– Ona cierpi, rozumiesz? Ja to czuję. Pomożemy… – wydyszał. – Musimy jej pomóc!

– Że niby komu? – zapytał przeciągle górnik, nie przejmując się za wiele.

– Jutrzence, a komu by innemu! – wybuchnął uczony. – Słuchaj: mam plan, ale sam sobie nie poradzę, więc bierzmy się do roboty!

– Panie majster, tera jest środek nocy… – zaskamlał wielkolud.

– COŚ JEST NIYJASNE CZY MOM POWTÓRZYĆ?!

– Pierona jasnego – zaklął rozbudzony Pyrlik – takie lotanie po ćmoku bydzie płatne ekstra!

Na pozbijanym z desek, płótna i złomu komisariacie trwał kwiecisty monolog.

– Z całą pewnością, pani prezes. Zdaję sobie sprawę, jakim echem odbiłoby się zniknięcie tej smarkuli. Takiej sprawy ewidentnie nie zatuszujemy…

Cysorz nie mógł się nadziwić, ile zachodu może przysporzyć jedna głupia dupa. Byłby w stanie zrozumieć, gdyby Zarząd miał już na nią umówionego kupca, ale żeby uganiać się za tym chuchrem z powodów czysto wizerunkowych? Bankowo nie. Tu musiało chodzić o coś więcej.

– Tak jest. Następnym razem przypilnuję jej osobiście. Przysięgam na moją głowę, że odnajdziemy dziewczynę, a porywacze nie opuszczą kopalni żywi.

Skrępowany Daniel przysłuchiwał się z drugiego pomieszczenia, próbując rozgryźć, dlaczego stary Cysorz rozmawia sam ze sobą. Wprawdzie na wyrobiskach spotykał często telefony górnicze, łączące kiedyś z naziemnym dyspozytorem, ale… no właśnie. Po co teraz ktoś miałby siedzieć na górze?

Kiedy komendant zakończył połączenie, nie było mu do śmiechu. Swoją słabość próbował maskować w typowy dla siebie sposób.

– Słuchaj no, kmiocie – odezwał się do więźnia jeszcze zza ściany. – Twoja siostra znów nam umknęła. Pozostały ci teraz dwie opcje. – W ostatniej chwili przed wyjściem zawahał się jeszcze na moment. Wziął w garść zwisający na piersi medalik, spojrzał na oblicze Maryi i schowawszy blaszkę do kieszeni płaszcza, wyszeptał coś pod nosem. – Albo nie, zmieniłem zdanie. Dość już tego, kurwa jego mać – wygłosił wypranym z emocji głosem, wychodząc do przedpokoju. – Srał pies twoją popierdoloną siostrę. Dość użerania się z gangusami, którzy rozpierdalają mi okolicę. Fajrant, do kurwy nędzy!

W napadzie wściekłej bezsilności Cysorz schylił się do cholewy buta i w jego dłoni znienacka pojawił się sztylet. Mężczyzna podszedł do Daniela, trzymając broń w prawej ręce, i jednym płynnym ruchem pozbawił go więzów.

– Ożeż, kurwa… raniłeś mnie, ty psycholu! – wrzasnął Daniel. – Nóż w bucie? Myślisz, że to pierdolony Dziki Zachód?

– Wiesz, co robić – odparł niewzruszony komendant. – Tylko weź ze sobą flintę – dodał – mnie już nie będzie potrzebna.

Do czego to doszło, pomyślał Cysorz, żeby szeryf z własnej woli wypuszczał groźnego bandytę. Nie na takich westernach się wychowałem…

– A ty? – zapytał uwolniony Daniel.

– Do przyjaciół nie strzelam. A teraz SPIERDALAJ, bo się rozmyślę!

Daniel nie zamierzał się z nim kłócić. Chwycił broń i przewiesił ją sobie przez ramię.

Nieobecność Jutrzenki zauważono jakieś dwa kwadranse temu. Na szczęście stroskany braciszek wiedział, gdzie jej szukać.

O swoich snach opowiadała mu przecież wielokrotnie.

– No dobra, Zeflik. Zoboczymy, czy z ciebie taki dobry duszek, jak ludzie godają.

Pyrlik, Jacek i Jutrzenka poruszali się przez mroki zawianych wyrobisk, podążając uparcie za żarzącym światełkiem cygara. Plan ucieczki był stosunkowo prosty: wyjść na powierzchnię drabinami w szybie wydechowym. Żeby tam się dostać, nie wystarczyło jednak wystawić pośliniony palec i pójść zgodnie z bryzą, bo w poplątanych odnogach wschodnich chodników łatwo było się zgubić. Milczący przyjaciel Pyrlika był zatem nieoceniony w całej tej ucieczce – nie tylko musiał wskazać im drogę, ale też nie umiał krzyczeć, że został wzięty na zakładnika.

Wyszli właśnie na szeroki korytarz, gdy niespodziewany pęd powietrza uderzył im prosto w plecy.

– Ale dre – zauważył Pyrlik, pocierając ręce.

Chłód tego miejsca powoli zaczynał być nieznośny, jednakże Jackowi dodawało to otuchy – im było wietrzniej, tym bliżej wyjścia się znajdowali.

Za sprawą Zeflika znaleźli się na rozwidleniu identycznych, przestronnych korytarzy, gdzie przy ścianach co kilkadziesiąt metrów wisiały metalowe, odbijające ognik z papierosa karbidówki. Nagle, wraz z kolejnym porywem wiatru, skręt w ustach mężczyzny zgasł, a trójkę uciekinierów spowiły egipskie ciemności.

– Zeflik? Kaj żeś jest, pieronie?!

– Liczysz, że ci odpowie? – spanikowała Jutrzenka. – Myślałam, że trzymasz go na muszce!

– Wymknął mi się, karakan pieroński! – zaszlochał wielkolud.

– Spokojnie! – ostudził atmosferę Jacek. – Za szybko się nikomu nie wygada. Wciąż jednak nie mamy pewności, że nie wprowadził nas prosto w pułapkę.

– Nic z tych rzeczy – zapewniła go Jutrzenka. – Idziemy dalej naprzód. To jest to miejsce.

Jacek powstrzymał się od ciętego komentarza na temat parapsychologii. Cokolwiek kierowało tą dziewczyną, nie mogło być niewytłumaczalne. Postanowił, że gdy tylko wrócą do Sanktuarium, zrobi co w jego mocy, aby zbadać gnębiące ją imaginacje. Byle tylko nikt nie zechciał go w tym ubiec…

Drużynie ledwo udało się odpalić jedną z wiszących w okolicy lamp, gdy z jednego z korytarzy za nimi doleciał okrzyk.

– Stój, bo strzelam!

Cała trójka momentalnie odwróciła wzrok. Stojący sto metrów dalej rozwichrzony Daniel mierzył do nich z karabinu.

– Chodu! – zarządził w panice Jacek.

Gdy pierwsze wystrzelone ostrzegawczo kule roztłukły się gdzieś koło nich, cała trójka puściła się w szaleńczy bieg.

Biegli, bo nie mieli szans w bezpośrednim starciu. Dubeltówka Pyrlika nie była w stanie mierzyć się z cudem techniki, z jakiego ostrzeliwał ich herszt Gizdów. Galopujący hanys zdawał sobie z tego sprawę. Szczęku Kropielniczki nie dało się pomylić z żadnym innym.

Trzydzieści paciorków różańca, przypomniał sobie. Skurwiel chce dołożyć jeszcze trzy.

Pędzili przed siebie nieświadomi, czy to, co świszczy im koło uszu, to wiatr czy lecące naboje. Daniel z obawy o Jutrzenkę starał się nie mierzyć prosto w nich, ale brawura i brak przeszkolenia w każdej chwili mogły przynieść opłakane skutki.

Minęli tak jeden zakręt i gnali dalej co sił w nogach. Gdy już wydawało

im się, że to ślepa uliczka i nie umkną adwersarzowi, usłyszeli warkot działających pomp i poczuli ciąg powietrza kierujący się do góry. Ich oczom ukazał się cel wędrówki – stęchłe do granic podszybie.

– Drabko, tam musi być drabina! – zakomenderował Pyrlik.

Pomimo nieustannego pompowania przestrzeń pod nimi zalana była mulistą deszczową breją. Mając w pamięci los, jaki spotkał inżynierów, uciekinierzy zaczęli skakać po drewnianych rusztowaniach, byle nie zanurzyć się w złowieszczym bajorze.

Jeden słupek, drugi słupek, trzeci… Wspinali się, podając sobie ręce: Pyrlik, dziewczyna, a na końcu Jacek. Ten pierwszy trzymał się już drabiny, wystawiając ramię w kierunku Jutrzenki. Ona z gracją przeskoczyła na jeden chwiejący się szczap i kolejny, i kolejny…

– Gibko, gibko! – ponaglał Pyrlik, słysząc w oddali tupot jej szalonego brata.

Niepewnym ruchem wystawiła dłoń, gdy coś pod nią nagle trzasnęło. Chwiejąc się, spojrzała w dół. Smoliste jezioro odwzajemniło spojrzenie kilkudziesięcioma parami oczu. To, co przed chwilą wydawało się płynną substancją, okazało się wilgotnym stosem zwłok zaginionych techników.

Jutrzenka przelękła się i straciła równowagę. Spadając, chwyciła się wystającego gwoździa.

Stuk, stuk… stuk, stuk… Kroki Daniela zbliżały się nieubłaganie.

– Chytaj ją, Jacek! – wrzasnął Ślązak. – Razem, na raz!

Zgrabne dziewczęce ciało poddało się wytężonej sile obu mężczyzn. Jutrzenka oparła nogę o szczebel. Była uratowana.

– Dobra nasza! Teraz na wierch, ino dejcie pozór! – wrzeszczał masywny chłop, przepuszczając Jutrzenkę przodem na drabinie.

– Nie patrz w dół! – rzucił przerażony Jacek.

Serce rzężącego Daniela wyrywało się z klatki piersiowej, kiedy wybiegał zza winkla na wprost zaaferowanego Jacka. Ich piorunujące spojrzenia zetknęły się w nikłym momencie całkowitej ciszy. Ścigający przyłożył broń

do oka i wykrzyczał na cały głos do swojego celu:

– Uważaj!

Zdezorientowany Jacek rzucił się do wspinaczki, ale w tym samym momencie jego kostkę przeszył rozrywający ból. Z bezkształtnej otchłani wyłonił się samotny czarny szpon, który chwycił go za nogę i jął wyżerać w niej dziurę jak kwasem.

W obliczu niebezpieczeństwa z piekła rodem Daniel wypalił w pulsujący kontur potwora. Seria trafiła umarlaka w łeb. Przywarty do żywej tkanki zakonnika stwór upadł z powrotem w tłum swoich pobratymców, ciągnąc zakleszczonego nieszczęśnika za sobą. Galaretowata biomasa zabulgotała, wchłaniając w siebie kolejny organizm.

Na monumentalnych niegdyś schodach Biblioteki Śląskiej rozbijały się krople kwaśnego deszczu.

– Miło mi cię powitać, młoda damo. Auć! Ostrożnie, to świeże oparzenie. Niedbała praca przy radioaktywnych pierwiastkach, sama rozumiesz. Musiałaś słyszeć o Marii Skłodowskiej. Nie? Nieważne. Jestem ojciec Alfred i pełnię tu funkcję Audytora. Można powiedzieć, że tu rządzę. Rajmund przyprowadził cię tu, bo wierzy, że będziesz z nami bezpieczna. Wspominał również, że masz jakiś ciekawy talent. Zechcesz się nim z nami podzielić? Mogę cię zapewnić, że nasze samice cieszą się u nas najwyższymi standardami higieny i że przysługują im codziennie dwa pełne posiłki. Wierzę, że ci się u nas spodoba.

Rumcajs się stracił. Gołębiorz w ukryciu.
Emil nie żyje. Najduch może pomóc.
Jeśli w to wchodzisz, znojdź mnie w małej hali jutro przed zmrokiem.
Cysorz poczuje pomsta Aszynbechra.

Pyrlik siedział przy barze w obleśnej spelunie w Spodku i notował coś na pożółkłej karteczce.

– Pyrliczku – zagadnęła młoda barmanka. – Co ty tam tak szkrobiesz?

– List do Mikołaja, Krysieńko, bo święta za pasem. – Mrugnął do barmanki.

– Teroz to mu chyba lista grzechów spisujesz, że tak naściubione?

– Mylisz się, panieneczko – zaśmiał się. – Jo mu spisują lista tych, co w tym roku byli niegrzeczni. A dla jednego szykuje się rózga.

Na powierzchni bagna pływał postrzępiony prochowiec.

Daniel podważył go kijem i pieczołowicie wyłowił pozostały po nieszczęśniku element garderoby. W złodziejskim odruchu natychmiast odszukał kieszenie płaszcza i wyciągnął na wierzch skrywany w jednej z nich przedmiot.

– „Dziennik Ekspedycji” – odczytał na głos słowa na ubrudzonym woluminie, a w głowie zawróciło mu się od tych wszystkich liter. – Pamiętnik porywacza? To może być trop.

Zniknięcie Jutrzenki z Podziemia pozostawiło w jego sercu pustkę uciążliwszą niż dotychczasowy brak lektury. Przyrzekł sobie, że kiedy ją odnajdzie, zabierze ją na ich pierwszą wspólną wycieczkę do biblioteki.

Piotr Jedliński

Któryś był mi bestią

Trzecie miejsce w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

There's no room for angels in our heaven.
„Metal Gear Solid V: The Phantom Pain"

Grube krople kwaśnego deszczu, gruby trzos amunicji, gruby kaliber w rękach małomównych posłańców – Gryf powinien był dojrzeć znaki. I zorientować się, że afera też będzie gruba.

Zaczęło się od Kolekcjonera, eks-stalkera o jednej nodze chromej, drugiej pożartej przez jakieś paskudztwo. Pieniężną wonią, najpewniejszym z feromonów, zwabił Gryfa do swego leża i oznajmił:

– Gryfie, ja poślę was wszystkich do diabła.

I posłał.

Gryf wspominał potem: „Posłał nas. A my, głupi, poszliśmy z dobrej woli".

Gryf zarządził wymarsz o tradycyjnej porze, zaraz po zmierzchu, gdy zetlała jaskrawa czerwień zachodniego nieba, a nad Szczecinem wstawały promieniotwórcze zorze. Wyruszali z posterunku na Kołłątaja, z tamtejszej ufortyfikowanej kamienicy, żegnani przez obsadę niewybrednymi słowy. Powodem inwektyw była zazdrość. Pozostali stalkerzy zazdrościli, ot co, zazdrościli zarówno sukcesów, jak i zlecenia od samego Kolekcjonera. Nie wiedzieli, dokąd zmierza ekipa Gryfa; Pietrek, machający złotym nożykiem

niczym korsarz i głośny jak pięciu chłopa, na szczęście tego nie wygadał na samogonowym rauszu. Sam Gryf pożegnał się serią tradycyjnych, szorstkich gestów, w których liczbie były miażdżące uściski dłoni i zwyczajowe złorzeczenia:

– Połamania nóg! Pogubienia masek!

Gryf wiedział, że tam, dokąd skierowała ich umowa z Kolekcjonerem, nogi i maski będą najmniejszą z ich trosk.

Potem cała szóstka szła już Słowackiego, przyparkową aleją omijaną przez każdego człowieka o wciąż sprawnym instynkcie samozachowawczym. I u nich tenże instynkt nie stępiał, co najwyżej został z lekka przesłonięty pewnością siebie i powszechnym uznaniem – często zgubnymi, chociaż jak najbardziej uzasadnionymi. Niebuszewska Ekipa, drużyna pod dowództwem Gryfa, wsławiła się niedawno nie lada osiągnięciem: wypełnieniem kolejnej białej plamy na szczecińskiej mapie, plamy tym bardziej irytującej, że mieściła się pośrodku miasta. Spłachetek ziemi nieznanej otulony ziemiami znanymi.

Szło, rzecz jasna, o park Kasprowicza.

Trójka oryginalnych członków Ekipy, Gryf oraz dwójka młodziaków – Pietrek i Kaja, nie zatrzymała się na omszałym betonowym mostku ponad brejowatą Rusałką. Co innego druga trójka, przydzielona im przez wspaniałomyślnego Kolekcjonera. Chłopi na schwał, w specjalnie dostosowanych kombinezonach, nie tryskali entuzjazmem.

– Stać! – warknął najbardziej pleczysty z nich, bandziorowaty typ imieniem Buhaj. – Kiler, Szopen, czekajcie. Ty, Gryfon. Którędy nas prowadzisz? Na szagę przez park? Tego nie mieliśmy w umowie!

– A niby co – westchnął Gryf – mieliście w tej umowie z Kolekcjonerem? Diabła, nieprawda?

– Prawda. I wolę iść po tego diabła aż na Unii, niż przejść przez park.

Wtrącił się Pietrek, jeszcze dzieciak, łasy na poklask równej mu wiekiem Kai.

– Chyba nie scykorzyłeś? – parsknął. – Boisz się nagich rusałek?

Skroń Buhaja zasłaniał hełm. Ale zdawać się mogło, że nakrycie głowy podskakuje, poruszane apoplektyczną żyłką.

Interweniował Gryf, rozsierdzony kiepsko rokującym startem wyprawy.

– *Pax*, panowie. *Pax*. Buhaj, nie buchaj nam tutaj pretensjami. Wiesz, czego częścią jesteśmy? Niebuszewskiej Ekipy. Tej od map, ostatecznego rozwiązania kwestii błotniackiej i wytyczania szlaków przez Kasprowicza właśnie. Nie ufasz nam po przejściu trzystu metrów? To zawracaj. Idź do diabła. Znaczy, metaforycznego. A do prawdziwego pójdziemy sami.

Buhaj łypnął okiem.

– Lepiej, żeby to o wytępieniu błotniaków i rusałek nie było bujdą – warknął.

– O rusałkach nic nie mówiłem. Więc garda w górę, panowie. I idziemy.

Park rozciągał się naokoło, tonął w sinej mgle. Zamiast trawy rósł dziwaczny mech, zwany „szczecińską szczeciną”. Gdzie kiedyś kwitły żółte grążele, teraz było żółto od siarkowych wyziewów. Gdzie kiedyś były nenufary i zieleń strumienia, teraz bulgotało błocko. Gdzie kiedyś poszeptywali ludzie, nadal dało się czasem słyszeć szepty – akustyka parkowego amfiteatru płatała niecne figle.

Gryf prowadził pewnie. Poświęcił dobre trzy miesiące na zlokalizowanie, zbadanie i zmierzenie tutejszych zagrożeń. Wespół z Pietrkiem i Kają, stażystami w stalkerskiej grupie, a teraz jego jedynymi zaufanymi podwładnymi. Reszta Ekipy, rozłożona choróbskami i cłami Republiki, musiała odmówić udziału w ekskursji.

Pietrek co rusz dopytywał, kto zacz ten wspomniany „Pax”. Zgadywał, że jakaś legendarna a budząca postrach persona. Gryf milczał. Pietrek działał mu na nerwy. Z irytującą częstotliwością zwracał się doń *per* „wujku”. Na dodatek ni strupieszałe drzewa, ni brodzenie po kolana we mgle nie przygaszało ognia młodocianego romansu między nim i Kają. Pietrek, niepoprawny lowelas, jakoś trzymał się w ryzach, okazjonalnie nagabując

dziewczynę. Gryf wiedział, że łączy ich coś więcej. I wolał, żeby obściskiwali się bezceremonialnie, zamiast odgrywać pantomimę zimnych profesjonalistów na partnerskich warunkach.

Coś zaskrzeczało, zatrzęsła się krzewina-bluszczyna. Dotychczasowy spacer zakończyła zatem przebieżka. Gonitwy nie było, bo cokolwiek kryło się w gęstwinie, w gęstwinie pozostało.

Znaleźli się na dwujezdniowej Wojska Polskiego, gdzie można było odetchnąć od parkowej klaustrofobii.

Maszerowali torami tramwajowymi, często uczęszczanym niby-jarem między dwoma karambolami.

Z początku lepiej niż rozmowa kleiły się do nich ostatnie mgielne macki, potem jednak ktoś wymienił imię ich wspólnego nabojodawcy, no i poszło. Zaczęli licytować się opowiadaniami o stalkerskich dokonaniach Kolekcjonera, przerzucać pogłoskami o jego zaginionej żonie i synu. Nie padły za to żadne słowa o niezaginionej, ale odżegnującej się od ojca córce, stalkerce samotniczce imieniem Sójka. Wspomniawszy ją, te szmaragdowe oczy, dwa złote zęby i wejrzenie z dna otchłani, Gryf westchnął zgoła niestalkersko i wziął się śpiesznie za murarkę, odgradzając przeszłość cegłami ignorancji.

Stalkerzy najwięcej gadali o bunkrach. W rozmowie przodował nowy członek grupy, Szopen, osiłek o zapędach gawędziarza, wywnętrzający się z ochotą.

– Bunkry – prawił – pozostały jeszcze po wojnie, to jest drugiej wojnie, i pełno się ich ciągnie pod Szczecinem. O dziwo, odrestaurowano je po apokalipsie. Nie wcześniej! Wcześniej, panowie koledzy, wszystkie były zapuszczone i tylko śledczy, dziennikarze i łowcy tajemnic zajmowali się niemiecką spuścizną…

Gadał z werwą i znawstwem, rzekłbyś, że pamięta drugą wojnę. A przecież urodził się, jak Kaja i Pietrek, już po zakończeniu wojny trzeciej. Po ustaniu bojów, po bezosobowych konferencjach pokojowych,

w których za Wielką Trójkę robiły Rad, Zima i Ludzkie Skurwysyństwo.

– Kolekcjoner za to, na krótko, nim okulawiła go jakaś bestia, sam jeden poszedł w najgłębsze bunkrowiska. I znalazł ponoć skarb, złoża militarnej rudy…

Gryf pamiętał z dzieciństwa bunkier. Stał nieopodal jego domu w najpodlejszej części Niebuszewa. Aurę tajemnicy niestety skutecznie płoszyły lokalne rekiny biznesu, używające betonowego schronienia jako skupu butelek, a zarazem placówki do kulturalnych spotkań na piwku, podpiwku i popijawce.

– A wiecie, że Kolekcjoner ma córkę? – wypalił z nagła Szopen.

– Wiemy – odparł bezwiednie Gryf.

– Nie wiemy! – zaoponował Pietrek. – Gadaj, Szopen! Albo ty, wujek!

– Nie. Dosyć tego mielenia ozorami. Oczy miejcie dookoła głowy, języki za zębami, a…

– …palce na spuście. Tak, tak, wujek, ta twoja mantra…

– Lepiej, żeby to była „nasza” mantra. Albo stracisz i ozór, i oczy, i głowę, i…

– No, opowiedz o tej córce! Ej, Szopen?

– Ja tam za wiele nie wiem. To stalkerka. Wyróżnia się, bo sprzęt ma dobry, pewnie wydębiony od tatuśka, a pod oczami wielkie lima, jakby ją kto prał… Zwą ją Suńka…

– Sójka – poprawił Gryf. Znów odruchowo.

– No, wujek. Opowiedz.

– Mam ważniejsze rzeczy na głowie.

– Jak choćby?

– Jak choćby ratowanie wam tyłków. Pietrek, stój! Wdepnąłeś w zarodnię.

– Jezuuu…! Kaju, kochana, uciekaj…! Zostawcie mnie i uciekajcie, już…!

– Nie rób z siebie męczennika. Żartowałem. I pała z egzaminu, Pietrek. Gdybyś wdepnął w zarodnię, korniki już zeżarłby ci piszczel.

– Ja…

– Jeśli nie możecie wytrzymać chwili ciszy, to opowiem. Ale nie o żadnych Sójkach, tylko o Kolekcjonerze. I paktowaniu z tym cholernym diabłem, gdy towarem też był diabeł.

Gryf przeczuwał to już wtedy. W bunkrze Kolekcjonera, na dziesięć sekund przed rozwarciem się jego najświętszego sanktuarium, stojąc w obstawie dwóch pleczystych mundurowców, spokojny z wierzchu, rozedrgany od środka – wówczas już pojmował, że czy przyjmie ofertę, czy nie, cała jego Niebuszewska Ekipa będzie miała przerąbane.

Podsufitowy głośnik zakrztusił się, zarzęził i wypluł:

…Ś-SIEDEM…

…SZEŚĆ…

…PIĘĆ…

Zająknie się, pomyślał.

…CZ-CZ-CZTERY…

…TRZY…

Syk pneumatycznej grodzi – także spodziewany.

…DWA…

Przymknąć oczy, pomyślał, bo zaraz porazi mnie splendor lamp, cholernych abażurów jest tutaj z dziesięć…

…JEDEN…

GRÓDŹ OTWARTA. GRÓDŹ OTWARTA. GRÓDŹ…

Monotonny głos i monotematyczny komunikat przerwał barytonem o wódczanym zabarwieniu rezydent bunkra.

– Wchodzić! Nie stercz tam, Gryf!

Wszedł. Para przyzwoitek stąpała zaraz za nim, ale bez słowa zasalutowawszy Kolekcjonerowi, strażnicy usunęli się w półmroczne nawy. Kolekcjoner siedział za biurkiem pod trzema rozświetlonymi kloszami, obrócony do Gryfa bokiem, zajęty mocowaniem protezy do kikuta nogi.

Gryf powstrzymał się od lustracji wnętrza bunkra, chociaż kusiło go, oj,

kusiło nieprzyzwoicie. Odwiedził już Kolekcjonera dwa albo trzy razy. Niewiele zapamiętał z tych wizyt – może poza głośnikiem jąkałą – bo odbyły się przed awansem Kolekcjonera z nawiedzonego stalkera na najgrubszą w mieście rybę, na prawdziwego szczecińskiego sobiepana. Dlatego też Gryf nie oglądał wcześniej kolekcji myśliwskich trofeów, opiewanej na posterunkach Republiki i przy stalkerskich ogniskach. Plejadę uciętych łbów, zawieszoną na ścianie ponad rzędem kinkietów, miał teraz na peryferiach pola widzenia – wzrok bowiem wbijał w gospodarza.

Gryf czekał, aż Kolekcjoner pierwszy się odezwie. Ten przemówił w końcu, dalej męcząc się z niesforną nogą.

– Twoja Ekipa wyrobiła sobie nie lada opinię. Poszła fama, że wystrzelaliście błotniaki przy Rusałce i że zmapowaliście cały park Kasprowicza. No, no. Miałem chętkę na te błotniaki, nie powiem, że nie. A nie przyszliście do mnie z ich łbami, ba, ani z jednym. Niełądnie, niełądnie. Ale ja jestem bardzo wyrozumiały. I wiesz co? W nagrodę, Gryfie, ja poślę was wszystkich do diabła.

– Nie przyszedłem tutaj, aby wysłuchiwać gróźb. – Gryf odparł z lekka obcesowo.

– To nie była groźba, Gryfie. To była oferta pracy. W piekielnych warunkach, fakt. Z biesem wliczonym w rachubę, nie ukrywam. Za to z taką zapłatą, że anieli zapieją.

Gryf zrozumiał. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– O jakiego mutanta idzie? Na co teraz dybiesz, że ślesz ludzi po moją drużynę i kusisz nabojami dobrej jakości, ze skarbca, a do tego jeszcze niebagatelną sumą?

– Mówiłem – odrzekł Kolekcjoner, uporawszy się wreszcie ze sztuczną nogą. – Idzie o diabła. Biesa. Zwij go, jak chcesz.

– Nie słyszałem o żadnym diable. A usłyszałbym. Gdyby taki istniał.

– Pozwolę sobie się nie zgodzić. Ten diabeł, stalkerze, nie szlaja się po piekle, jakim jest nasze piękne miasto…

Coś zaczęło Gryfowi świtać, coś absurdalnego i paskudnego.

– …Widać nie jest dość piekielne jak na jego spaczony gust – wzruszył ramionami Kolekcjoner. – Bies czyha w głębszym piekle. Wiesz, o czym mówię?

– Unia Lubelska. Szpital. Cha, cha. Wolne żarty. Tam nie chadza nikt.

Kolekcjoner uśmiechnął się szeroko, od jednego ucha do blizny po drugim. W tym wyszczerzu czaiła się nie tyle obietnica chwały, sławy i pieniędzy, ile zaproszenie. Do skarbca, który krył się gdzieś w labiryntowych drugowojennych bunkrach.

Gryf, z mętlikiem w głowie, wynalazł sobie jedną ekskuzę:

Gdyby dżin, nieważne, czy poczciwiec, czy czarnoksiężnik i złośliwiec, spytał cię o trzy życzenia – czy milczałbyś?

Minęli Traugutta i skrzyżowanie z wypiętrzonym wrakowiskiem, dziesięciometrowym kopcem korozji. Szlak handlarzy i stalkerów odbijał w bok, w uliczki Pogodna. Spotkali jedną grupę obwoźnych sprzedawców, zabunkrowaną w pałacu rdzy. Odmawiając całkiem intratnej propozycji współpracy, Gryf spoglądał na Buhajowe trio. Ich oczy łyskały za wizjerami, czujne i wyrachowane jak trzy pary bandyckich kalkulatorów. Ale nie doszło do incydentu. U kresu drogi, za ostatnim piekielnym kręgiem, w wypalonym szkielecie szpitala na Unii Lubelskiej, czekała przecież przepustka do nagrody znacznie wyższej.

Strach było tam chodzić. Strach wisiał w powietrzu parnym od odoru ziemskiego truchła, gęstym tak, że można by je kroić maczetą. Kiedyś, nim świat szlag trafił, zapuszczało się tam po leki i życie – teraz w opustoszałych salach i korytarzach panoszyły się tylko lęk i śmierć.

Do kanciastej szpitalnej bryły przycupniętej nieopodal Wojska Polskiego mieli wciąż kawałek, też niezbyt bezpieczny.

Prysnęły przed nimi skrzeczące ptaszydła, rojowisko mew.

Dwunogie szczury uciekały w śmiesznych podskokach.

W pewnym momencie z dawnego skweru doleciał dźwięk. Coś szeleściło

liśćmi, rozgarniało bluszczowe girlandy, parło w kierunku drogi. Coś dużego. I nawet z daleka śmierdzącego jak stary cap.

Gryf się uśmiechnął. Tylko w duchu, bo napawała go satysfakcją dezorientacja Kilera i Szopena. Jeden Buhaj nie stracił rezonu.

– Do broni! Do broni, cholera! Kiler, nie zdejmuj maski!

– Śmierdzi szczochem! – wrzasnął Kiler. – Co to, kurna, może być?

– Do broni, mówię! Ty, Gryf! A tobie co, życie niemiłe?!

– Uspokójcie się. To znajomy.

– Że co? Niby człowiek ma tak śmierdzieć?

– Nie. Tak śmierdzi jego pies. Chociaż i człowiek nie jest bez winy…

Mimo wyjaśnień najemni kompani omal nie ustrzelili ludzko-zwierzęcej parki wyłaniającej się ze zgniłozielonej ściany. Człowiek bowiem wyglądał na kudłate monstrum. Był niski, zarośnięty jak dziki agrest, konglomerat brody i niegolonej od lat czupryny przydawał mu wyglądu czarta. Albo wszystko mi się już kojarzy tylko z jednym, pomyślał Gryf. Z tej dwójki to pies zdawał się mniej włochaty. Smoliście czarny biegł u pańskiej nogi. I emitował torturującą powonienie woń uryny.

– Spieprzaj, dziadu! – zawołał Buhaj. – Na nic nas nie naciągniesz!

Dziad stanął, spojrzał schowanymi pod goglami oczyma i splunął.

Gryf powstrzymał cisnący mu się na usta kolejny „*pax*”.Rzekł tylko:

– Co jest, nie poznajecie dawnego komendanta z Bramy Portowej?

– Co ty gadasz? – obruszył się Kiler, popatrując na hycającego dokoła psiaka. – Przecież tam rządzi Chrobry Lech!

– Powiedziałem: dawnego komendanta. Zanim nastał nam jeden rojalista, przesiadywał tam inny.

– Hę? Chodzi o Kazika Niewielkiego?

– Ja ci dam Niewielkiego! – wybełkotał naraz dziad. – Lechu, ta skończona menda, wcale mnie nie wygryzł! Sam odszedłem!

– To ty! – wtrącił się Pietrek. – No jasne! Afera z trotylem! Tyś zastał Zamek Książąt murowany, a zostawił zdruzgotany…

– Nie pora na anegdotki – rzekł śpiesznie Gryf, temperując skorego do repliki dziada. – Kaja, Pietrek. Sprawdźcie ten dom. Zatrzymamy się w jednym z pomieszczeń i pogadamy. Kazik zna te tereny. Przyda nam się taki wstępny rekonesans. – Szeptem skierowanym do Kai dodał jeszcze: – Tylko znajdźcie coś przestronnego. Najlepiej z przewiewem, dobra?

Dom miał dach jak rzeszoto i przestrzeliny w chropawych ścianach. Złuszczony naskórek tapet i echa zamierzchłych kolorów sąsiadowały ze śladami czyjejś niedawnej bytności. Była tu jedna osoba, ocenił Gryf. I to stalker, bo drzwi zabarykadowane, bo dobry punkt obserwacyjny, bo maźnięcie różową kredą na ścianie. Ktoś tędy szedł dwa, może trzy dni przed nami.

Kazik Niewielki okazywał apetyt godny olbrzyma. Jadł konserwy, wylizywał puszki, pił też za czterech. Wygoniony na werandę pies zadowalał się resztkami z uczty.

Beknąwszy, najedzony Kazik zabrał się dogadania.

– Nooo… To co chcecie wiedzieć? Gryfie, co ja mogę powiedzieć, czego ty jeszcze nie wiesz?

– Kręcisz się po Pogodnie, masz oczy otwarte. A nam idzie, Kazik, o sprawę dużego kalibru.

– Ano, przecież widać.

– Jak to?

– Bo niesiecie duży kaliber.

– Nie da się ukryć – sarknął Buhaj. – Ale się nam trafił mędrek. Gadaj, „komendancie”, albo zwracaj, co żeś zeżarł.

– A ja się ciebie nie boję, bydlaku! Do diabła z wami!

Znowu, pomyślał Gryf.

– Utrafiłeś w sedno, Kazik. Idziemy do diabła.

– Nie mówicie poważnie.

– Diabeł, Kazik. Na pewno coś ci o nim wiadomo.

– Diabeł, diabeł… No jest taki, na Unii. Była tu raz grupka, co go

widziała. Wysłani przez Kolekcjonera na zwiad. Psa mi skopali, tfu, sucze syny, tośmy nie pogadali za wiele. Ale wiem, że tam poszli. Do szpitala znaczy.

– Tylko jeden wrócił, co? – mruknął Gryf. – Mówił mi o nich Kolekcjoner.

– Skoro mówił, to po co mnie męczysz? O panience pewnie też wspomniał…

Gryf zamarł. W ogniskowych światłocieniach nikt nie zauważył chmury przelatującej przez twarz stalkera.

– Panienka? – podłapał Pietrek, zignorowawszy spojrzenie Kai. – Wujek, słyszysz? Może to ta Sójka! Skoro lubi samotne spacery, zawitała tutaj przed nami! Do tego domu! Może…

– Dosyć! – warknął Gryf. – Kazik! Po kolei. Gadaj.

– Niby o czym? Była taka jedna. W masce i kombinezonie, trochę jak te twoje Buhaje, ale z daleka poznać, że zgrabna, i za wizjerem widać, że jakaś… sina.

– Ona! – szepnął Pietrek do Kai.

– Ja tam jej nie zaczepiałem. Jak idzie grupa, to wiesz, nawet sukinsyny na rejzie najwyżej pośmieją się z człowieka, podręczą, ale tak dla wspólnej zabawy. A samotnikom nigdy nie jest do śmiechu i zaraz łapią za gnata… Ale, ale. Była jeszcze jedna kobitka. Tam, na Unii. Widziałem ją, choć nie gwarantuję, że to prawda, a nie pijacki wid… Stała w oknie, podświetlonym oknie szpitala, cała biała… Zupełnie jak białe myszki… Zapomnijmy o niej.

– A diabeł?

– Diabeł jak diabeł. Ponoć też białawy. Chcecie tam iść, to idźcie i się dowiedzcie. Tfu, niech was czart porwie…

– Nie kracz, Kazik, cholera. Nie kracz. Nic więcej nie wiesz?

– A co to ja, miejski informator jestem?

– W takim razie rozgościmy się w tym domu. Postój, drużyna. Ruszymy

tuż przed zachodem. Wyczyścić broń, sprawdzić amunicję…

– …nagotować święconego ukropu, to wam radzę… Co się brechtasz? Jeszcze pożałujesz! Jeszcze będziesz się modlił!

– Dziadu, zamknij ryj, bo…

– Szopen, spokój. Kazik, ty też cisza, inaczej każę cię wyrzucić! No. A teraz kto ma spać, ten niech śpi, reszta do roboty.

Późniejszą porą (to jest w godzinach popołudniowych, dla stalkerów będących odpowiednikiem czwartej w nocy), gdy Buhaj stanął na warcie, Kazik ożywił się i zaczął prawić wcale do rzeczy na temat Szczecina i Ziemi Odzyskanych, jak również o tym, że kiedyś były tu Niemcy.

Gryf milczał, za to Pietrek, który porzucił polerowanie swej chluby – zdobycznego noża o złotawym ostrzu – oraz Kaja słuchali uważnie, tym razem darując sobie pozory, objęci w rogu dawnego saloniku, przy zdezelowanym kredensie. Niewiele było im wiadomo o świecie Sprzed. Że jakieś Niemcy są, tyle słyszeli. Znaczy, że były. I to nawet niedaleko. Ponoć tutejsi z Reduty mieli jakiegoś Niemca u siebie. Ale oni żadnego nigdy nie spotkali i bardziej niż wszelkie biesy legendarni byli dla nich owi Germanie, których nazwa brzmiała jak przydomek potwora.

Germanie, pomyślał Gryf. Biesy. Unia. Kobieta widmo…

Wybacz, kochanie, wszystkiemu winien diabeł, na pewno następnym razem dam mu radę.

…Z radia buchają riffy, kiedy Grzegorz (szkolna ksywka: Gryf) idzie z tornistrem w dół Wyszyńskiego, idzie za ludźmi, a tam już mieni się Odra. Acyklicznie kołyszą się zacumowane przy brzegu barki, w górze, przy Wałach, maszty strzelają w błękit nieba. „Zrobią to, ci cholerni głupcy”, mówi ojciec, gestykulując i pieniąc się, epileptyk i apoplektyk w przededniu apokalipsy. Gwałt, psychiczny czy fizyczny, nadal niewypowiedziany, zawisł między sójką a gryfem. Ach, Ania, Ania, Ania…

– …Ania…

– Wujek! Hej, wujek! Obudź się… Czemu tak patrzysz, Kaja? Zostawić

go? Ale… Dobra. Niech sobie wujek pośpi…

Gryf spał, przykryty ciężkim pledem sumienia i snów.

Dłużyły się cienie, przechodziły z niewyraźnych konturów w jednolitą szarzyznę, z niej w czerń, którą rozświetlał księżyc, radiacyjna aura oraz latarki stalkerów.

Przystanęli na rozstaju, na przecięciu Litewskiej oraz niesławnej Unii Lubelskiej, na przedprożu nie tyle *terra incognita*, ile *terra damnata*. Samochodowych skorup było tutaj mniej, za to obok głównej bramy szpitalnej leżał wybebeszony helikopter. Rotory zaorane w ziemi, kokpit zmiażdżony, ogon odłamany. Jednakże to świadectwo ziszczonego mitu o Ikarze, przypomnienie o utraconych przez ludzkość przestworzach nie przyciągało uwagi szóstki gości.

Nie gości, ale intruzów, pomyślał Gryf mimowolnie. Nie chcą nas tutaj. Okna są jak setka oczu. Ten zwieszony dźwig – jak oskarżycielski palec. Czaszki, o, widzę kilka czerepów, i one widzą też nas…

Odprawa była krótka. Gryf darował sobie perswazyjną ornamentykę, chociaż miał ku niej ciągoty.

Rzekł tylko:

– Słuchać, wiara! Mamy znaleźć diabła. Jaki jest, nie bardzo wiadomo. Poza ogólnikami. Nikt z nas go nie widział, ale każdy zobaczy!

Buhaj ulżył sobie – obluzował maskę i splunął.

– No – wycedził przez zęby. – Zobaczymy. Obędzie się chyba bez pieprzonego mędrkowania…

– Obędzie się. Pamiętajcie. Stąd się nie wraca, a jeśli już, to z krzykiem, częstokroć z amnezją. Halucynacje, autosugestia, zasłyszane legendy… to wszystko ma swoje znaczenie. Widzicie te bloki? Jest ich kilka. Dwa są wypalone, ale dalej stoją. Podejdziemy do nich od frontu, ocenimy zagrożenie. Potem, dostosowawszy taktykę, będziemy metodycznie sprawdzać jak leci. Czym diabeł jest, nie wiemy. Że jest tutaj, zapewniał Kolekcjoner na podstawie zeznań jednego człowieka… A skoro dał nam

hojną zaliczkę, nie odejdziemy, póki się nie upewnimy.

– Że biesa nie ma albo że zdechł.

– Że biesa nie ma albo że nie żyje, tak. Naprzód.

Ruszyli w głąb kompleksu w szyku stosowanym przy badaniu terenu i otrapianiu zwierzyny.

– Pietrek, twoja lewa. Co to?

– Samochód, wujek. Coś na nim pisze. „Am-bu-lans”…

– Wiem, cholera. Co tam leży?

– Puszka. Z resztkami… Hej! To nie zgniło! Niech no spróbuję… Świeże! Ktoś jadł i upuścił, przed chwilą może… Czy to już te halucynacje?

– Nie. Zapewne mamy rywala.

– Jest coś jeszcze! Kreda! Kolorowa! I namalowana tęcza!

– Buhaj, kontener po prawej…

– Tfu, tfu… Kiler, Szopen, ruchy… Co jest w tym kontenerze?

– Już wbijam, Buhaj… Ach, kurrr…! Luz! Luz, druhy! To tylko rolada z zasuszonych truposzy!

– Wujek?

– Czego?

– Nie wiem, co tutaj ma być takie straszne. Jakoś za mało tego strachu. Może to też część halucynacji?

– Zawrzyj gębę, Pietrek. Idziemy w dół, tu jest wejście…

– „Ostry dyżur”, tfu. Kiler, ty świecisz.

Czoło spocone, słone strużki spływają na wizjer. Korytarze. Sale. Poskręcane, wysuszone jelita szpitala. Prycze, waga, skalpel i kleszcze, pieczątka, recepty dla dawno zmarłych pacjentów, dywan szkła i miriady świetlnych odblasków, trupy zwęglone, trupy skostniałe, trupy mumie i trupy okaleczone, trupy, trupy, trupy.

– Gryfie, strasznie, kurna, zamętliłeś. Daj mnie prowadzić.

– Buhaj, spokój.

– Tu nic nie ma, cholera! To nie piekło, ale ściema!

– Cicho!

– Gdzie te strachy? Gdzie widziadła? Nic, nic, nic…

– Ciesz się, że nic. Powoli. Kaja, uważaj, szkło…

– Patrzcie, znowu!

Na brunatnej, pokrytej zaciekami ścianie rysowały się niezatarte i niezblakłe kolory. Naścienny kredowy malunek przedstawiał patykowate postaci, zielono-niebiesko-żółte bryły, czerwone niebo. Nie było czasu na zbadanie niby-fresku, bo Kiler nagle warknął:

– Coś tam jest! Patrzyło na mnie!

– To szyba, Kiler.

– To nie było żadne odbicie! Ktoś się ruszył, ktoś… Widzicie? Ślad! W pyle!

– Pokaż.

Znalezisko nie było imponujące – jaśniejszy odcisk na brudnej podłodze. Tylko jeden.

– Stopa? But? Potworze łapsko?

– Pietrek, sza. Jedno jest pewne, panowie. Cokolwiek tu stało, obserwuje nas. Nie atakuje. Dalej więc, tam jest poczekalnia, większa sala bez bocznych korytarzy… Buhaj, chcesz komuś przypieprzyć, dobrze widzę? Ty i Szopen za winkiel, my przejdziemy do końca, przywabimy go czymś…

– Czym?

– Jedzenie, krew, w ostateczności hałas. Ruchy, ruchy.

Weszli do atrium, gdzie wpadały smugi księżycowej rtęci. Buhaj i Szopen przypadli do muru. Szopen przebierał palcami po kałaszu jak jego słynny imiennik po klawiszach.

Zatrzymawszy się u końca poczekalni, przy samotnym wózku inwalidzkim, Gryf rozpoczął przywoływanie monstrum. Wywoływanie diabła poszło nadzwyczaj łatwo i bez potrzeby zaśpiewów, szlachtowanych dziewic ani krwi. Do materializacji biesa wystarczyło prychnięcie.

Zatchnął się Kiler, rozkasłał pod maską nie wiedzieć od czego.

A diabeł wyrósł jak spod ziemi, wychynął z korytarza oblewany bladym światłem księżyca i paradoksalnie, kamuflujący się w nim z racji cery albinosa.

Był… niski. Jednorogi. Nie czerwono-, ale zielonooki, przy czym oczy miał jak spodki. I był chudy, chudy chudością wyrostka – ludzkiego wyrostka. To pierwsze najbardziej rzucało się w oczy, gdy tak stali naprzeciw siebie oddzieleni piętnastoma metrami.

Kiedy jednak, po gwałtownym ruchu Buhaja i okrzyku Kilera, bies ruszył z kopyta i rozpoczęła się gonitwa, wyszło na jaw, że jest także piekielnie szybki i diablo skoczny. Buhaj i Szopen, ukryci o trzy metry od albinosa, nie certolili się i od razu otworzyli ogień. Diabeł jakimś cudem popisał się zmysłem prekognicji, niczym jasnowidz bezbłędnie umknął przed ostrzałem, kulom się nie pokłonił i dał drapaka, sadząc susy jak olimpijczyk.

Buhaj i Szopen nie czekali na komendy. Puścili się w pościg.

– Wracać! – darł się Gryf. – Wracać, mówię…! Szlag! Za nimi, za nimi!

Pietrek i Kaja ubezpieczali boki, aż sam się zdziwił, że nie potracili głów. Wypadli na dłuższy korytarz, pozbawiony zewnętrznej ściany i odsłonięty na powiewy nocy.

Biegnąc śladem nawoływań i strzałów, Gryf szybko się wysforował przed parę młodszych stalkerów.

Wtem coś smyknęło mu obok głowy. Nie było to żadne zjawisko nadprzyrodzone – ktoś zwyczajnie strzelał z budynku naprzeciw, wytłumionym karabinem mierzył do niego jak do celu na strzelnicy. Gryf wrzasnął jeszcze do Pietrka i Kai „uciekajcie!”, po czym sam rzucił się szczupakiem do bocznego gabinetu. W locie oberwał kulą, którą kamizelka wprawdzie powstrzymała, ale impet zderzenia i tak cisnął Gryfem w bok. Tak mocno, że wyrżnął głową o futrynę.

Ciemny szpital znikł zupełnie.

Ktoś kichnął, i to potężnie, aż Gryf przeląkł się, że to odgłos detonacji.

Zaraz potem wrócił na jawę, chociaż wątpliwą, gdyż pierwszym, co ujrzał, było widmo. Jak przystało na ducha – białe. Do tego przeraźliwie hałasujące. Stalkerowi chwilę zajęło nazwanie tej kakofonii. Kaszel, pomyślał. Co jest, cholera, pokasłujący upiór?

Potem skupił wzrok i zobaczył więcej. Rysunki na ścianach, pamiątkowe zdjęcie, pryczę, żarówkowy świecznik.

Czy to te Pietrkowe halucynacje? – zastanowił się przelotnie. Ale zaraz pojawiło się drugie widziadło.

– Leż – nakazał znajomy głos. – Przepraszam za tamto. Nie wiedziałam, że to ty.

– Sójka…? – wydusił przez wysuszone gardło. – Gdzie…

– Jesteś bezpieczny.

– Pietrek, Kaja…?

– Ci młodzi? To twoi przyjaciele?

– Gdzie oni…?

– Także są bezpieczni. Wypuściliśmy ich. Zasłużyli sobie. Powściągnęli bestialstwo.

– Co?

– Kazałeś im biec, to biegli. Wpadli na kilku moich najmłodszych podopiecznych, którzy nie zdążyli się schować. Nie strzelali. Więc i myśmy ich oszczędzili.

Graf spróbował wstać. Pokój rozpadł w kalejdoskopową mozaikę.

Sójka – teraz poznawał ją, nie zmieniła się wiele od ostatnich wspólnych dni, może zapadły się jej trochę bardziej policzki, wyeksponowały nieniknące bruzdy i blizny na ładnej poza tym twarzy – przysiadła obok, na krawędzi pryczy. Ubrana była po stalkersku, na szyi dyndała jej maska.

– Jesteśmy nadal w szpitalu… – odgadł. – Na Unii…

– Tak.

– Buhaj…? Ta trójka waligórów?

– Nimi się nie przejmuj. Najodważniejszy z naszych zawiedzie ich w pułapkę. W zamknięcie.

Białe widmo prychnęło. Gryf zamrugał i zobaczył kobietę w niemożliwym do rozpoznania wieku, posiwiałą i zniszczoną chorobą, ubraną w zszyty z lekarskich kitlów i fartuchów strój. Kobieta kasłała, wlepiała wzrok w kąt pod sufitem. Oczy miała zielone.

Sójka potwierdziła przypuszczenia stalkera:

– Tak. To moja matka.

– Sójka… Gdzie my jesteśmy? Sądziłem, że w piekle…

– To, co tutaj widzisz, to nie piekło. Chociaż niejedno z nas przyniosło ze sobą stygmaty diabła. Ten szpital to azyl. Dla niechcianych. Dla tych, którzy wzbudzają lęk, a są za słabi, by poradzić sobie z odwetem przestraszonych ludzi. To schronienie dla innych, niewygodnych, obcych, wyklętych. Także dla mojej matki. Także dla mnie… Mamy czas. Młodzi czekają na zewnątrz, trzymają się na dystans. Tamci trzej są już pewnie w potrzasku. Leż, nieźle oberwałeś. Raz jeszcze przepraszam. I pozwól, że opowiem, od czego się zaczęło…

Buhaj, Kiler i Szopen nie dogonili białawego diabła.

Zatrzymały ich inne biesy.

Latarki wychwyciły w mijanej salce pełną gamę kolorów, ściany porysowane kredą od podłogi aż po sufit. Kiedy Buhaj zatrzymał się na chwilę, wyłowił z mroku również rysowników.

Była ich czwórka. Drobne postacie, zabiedzone, blade, pozornie nagie, ale w rzeczywistości ubrane w białe lekarskie kitle. Tłoczyły się w kącie i patrzyły na stalkerów.

– Co to za dzieciarnia? – zapytał Kiler.

– To nie dzieciarnia – warknął Buhaj. – Patrz, jaki ten ma łeb. Patrz na szpony tamtego. Patrz, ta ma różki. To diabły.

– Miał być jeden…

– Będzie więcej. Aż się Kolekcjonerowi skończy miejsce na wieszanie

łbów… Co tak stoicie?

– Liczę – mruknął Kiler. – Ile to będzie pieniądzów…

– Ja to nie wiem – mruknął Szopen. – Zobaczcie, chyba się nas boją…

– Szopen! – sarknął Kiler. – Policzyłem! Wiesz, ile dostaniemy wiader amunicji? Od cholery! Tyle właśnie!

Szopen wymamrotał coś, ale dał się ugłaskać.

Uwinęli się szybko. Diabły nie zionęły ogniem, nie dźgały trójzębami, nie spluwały smołą.

Ale nim trzej stalkerzy wzięli się do urzynania trofeów u szyi, na korytarzu rozległo się zawodzenie, raz boleśnie wysokie, raz niepokojąco niskie. Wszyscy trzej wyskoczyli z salki, aby nie dać się przydusić do muru.

Zza rogów wychodziły właśnie kolejne biesy, cały szatański zastęp. W ich rękach – noże, pręty i kamienie. Na ich czele – jednorogi diabeł albinos.

Trójka stalkerów uniosła broń.

Zaczęło się, Gryfie, od Kolekcjonera. Od mojego ojca.

Żyliśmy kiedyś razem. Rodzina jakich wiele, która powstała trafunkiem na zgliszczach świata. Matka spotkała się z ojcem tuż po Ogniu. Urodziłam się ja, potem przychodzili na świat kolejni bracia, w większości martwi już w połogu, przeżył z nich tylko jeden, ostatni… Ojciec od zawsze robił za stalkera. Od zawsze miał ciągoty do kolekcjonowania. Chodził na najbardziej szaleńcze misje. Nie wracał do domu całymi tygodniami, a już wtedy mieszkaliśmy na uboczu, w drugowojennym bunkrze, tyle że niemal w całości zasypanym. Nie wracał, bo mierził go widok mojej matki. I własnego syna…

Kiedyś panowała moda na normy. Były konwencje, rzecznicy, prawa, dobrodzieje donosiciele. Był teatr cywilizacji. A poza jego sceną i tak bito. Wielki Ogień spalił sporo, ale nie imał się ojcowskich rąk. Toteż bije się dalej. Już bez ceremoniałów i mydlenia oczu. On, Kolekcjoner…mój ojciec… dużo pił. I bił nas. Więcej mojego brata i matkę niż mnie. Ale pięściom ochlajtusa jest wszystko jedno, kogo siniaczą, czyje żebra i czyjego ducha łamią. Spitemu to też bez różnicy. Dlatego nieraz zarobiłam w papę. Tylko że gdy ojciec trzeźwiał, bił dalej. Ale już wyłącznie jego, mojego małego braciszka. Za karę, że jest taki, siaki, owaki, za to, że w ogóle jest. Że niby z winy brata cierpiałam ja, córka kochana, najładniejsza część ojcowskiej

kolekcji. Byłam prestiżowym eksponatem na długo przed tym, nim ojciec stał się prawdziwym Kolekcjonerem.

Cudem umknąwszy z okrążenia, Kiler i Szopen – niepomni apelów Buhaja – uciekali w duecie. Walili z broni na oślep, iskry i obłoki tynku szły po ścianach, w kurzawie i świetle majtanych chaotycznie latarek przewijały się białawe sylwetki. Coś świsnęło nagle. Kiler, przeładowując broń, krzyknął. Raczej z zaskoczenia niż z bólu, po czym zwalił się na podłogę. Z ramienia sterczał mu oszczep czy może harpun, naostrzony pręt zbrojeniowy. Zaraz z mroku wyleciał drugi, po nim kolejne, przed salwą uratował ofiarę Szopen, wrzeszcząc wniebogłosy i ciągnąc kamrata za najbliższy róg, w dół schodów, ku garażom, między karetki.

– Kurwa! Co tak śmierdzi…?

Wątły promień latarki wyławiał z mroku stałych mieszkańców garażu. To była kostnica. Świeżo zaopatrzona kostnica. Tutejsze trupy jeszcze się nie rozłożyły, wnętrze było więc kwintesencją smrodu. Leżało tu pokotem nie mniej niż dwadzieścia ciał, a wszystkie odziane w stalkerskie kombinezony, w mundury, w pancerze, w ubiory handlarzy, w byle jaki przyodziewek zwykłych ludzi roku 2033. Wielu leżało z bronią w ręku.

Tyle Kiler ujrzał, nim stracił przytomność.

W końcu, dwa lata temu, kiedy ja miałam osiemnaście lat, a brat dziesięć, ojciec znalazł skarb w bunkrach. I sprzykrzyło mu się domowe ognisko. Zrobił porządek. Wrócił raz schlany prawie do nieprzytomności, z przytroczonym do pasa łbem. Ze świeżym trofeum. Pokazał ten łeb wszem wobec, pokazał matce i bratu, i ja też patrzyłam, jak ojciec szczerzy się straszniej niż ucięta głowa. To miał być dowód. „Patrzcie, na co się poluje”, powiedział. „Patrzcie, ile się namnożyło diabelstwa”, „Patrz, matko biesów, i ty, pieprzony odmieńcze, piekielny pomiocie, patrz!”.

Następnego dnia zabrał mojego brata.

Oberwało mi się przy protestach, ojciec wybił mi zęby… Matkę zastraszył… I poszedł. A ja za nim. Z zapasową maską, z latarką. Tajnym wyjściem z bunkra, był tam taki szyb, teraz jest poszerzony, wiedzie od izby ojca na powierzchnię. Pierwszy raz szłam sama. Tropem ojca i brata. Napadli mnie po drodze stalkerzy renegaci. Ja… Nie zrobili mi nic gorszego, niż robił przez lata ojciec. Ale im też zbiegłam, ukradłam,

co mogłam, nóż, pistolet. Przeszkodziłam ojcu. Szedł tutaj, na Unii Lubelskiej, do starego szpitala, jeszcze nieowianego koszmarnymi legendami. Chciał go tu zostawić. Własne dziecko. Na pastwę Szczecina. Ale rozmyślił się, złapał za broń, spojrzał na krew ze swojej krwi, pobladł bardziej niż mój brat. Chciał strzelać… Przeszkodziłam mu strzałem z ukrycia. Prosto w nogę, tę, którą wkrótce potem stracił. Brat uciekł, ukrył się. Ojciec ruszył w drogę powrotną do domu, kluczył długo, kuśtykał, błąkał się, w ranę wdało się zakażenie, po drodze dorwały go psy. Nie mutanty, tylko zwykłe psy. Poszarpały mu nogę tak, że gdy napatoczyli się handlarze i ojca wyratowali, trzeba było amputować. Do bunkra ściągnął sam. Został bez nogi, bez rodziny. Na zawsze. Uprzedziłam go, zabrałam ze sobą matkę i przyprowadziłam ją tutaj. Tutaj, gdzie jest też mój brat, który się nią opiekuje. Są tu również inni wygnańcy z rodzinnych domów. Pomagam im. Ile mogę. Chronię przed ciekawskimi i nienawistnymi, razem odgrywamy przedstawienie, odstraszamy intruzów, zabijamy tylko w ostateczności, i to nielicznych, tych, którzy przemogli lęk… Uczę ich. Sprowadzam nowych, tych, których nie dopadnie w szale i zapamiętaniu Kolekcjoner. Przygotowuję ich do walki. Przygotowuję na dzień, w którym będą musieli walczyć w samoobronie… Na dzień dzisiejszy.

– Byliśmy razem przez pół roku… – rzekł Gryf cicho. – Wiedziałem, że coś się tam kryje w twojej przeszłości, ale nigdy nie mówiłaś…

– Każdy ma własne piekło. Swojego nie chciałam z nikim dzielić.

– A teraz…?

– Teraz… – Sójka się zawahała. – Teraz nadszedł czas, aby biesy, prawdziwe biesy, odpokutowały.

Kiler wybudzał się kilkakrotnie. Słyszał strzały, słyszał posapywania i czarci bełkot, kontrapunktowane łaciną Szopena. „Nie ma wyjścia, nie ma wyjścia” – ten lament to też był chyba Szopen.

Na dobre obudził się nie wiedzieć ile później – godzinę, dzień, tydzień.

Naprzeciw niego siedział Szopen. Szklistooki, u stóp miał zagrabione trupom magazynki oraz piersiówki. Dużo piersiówek. Z jednej właśnie siorbał. Drugą dłoń zaciskał na czymś obłym.

– Szopen, co ty robisz?

– Schlałem się – odrzekł Szopen podejrzanie trzeźwo, ale była to

trzeźwość nadmierna, przedsamobójcza. – To dopust boży. Nic nie ma sensu. Naszych nie ma. A wszystko zablokowane, psiamać.

– Jak to: wszystko?

– Garażowe drzwi przysypane… Schody odcięte… Czają się tam, ciskają prętami, kamieniami, skalpelami…

– Diabły?

– Diabły.

– Szopen, co ty tam trzymasz?

– Wymodliłem dla nas dar… Dziad prorokował, że będziemy się modlić… Módl się, Kiler, by zadziałał.

– Co ty pieprzysz?!

– Módl się! MÓDL!

– Dawaj to!

Szarpali się przez chwilę – pojękujący ranny kontra pijak desperat. Przedmiot sporu wypadł Szopenowi z dłoni i potoczył się z brzękiem po posadzce.

– Alleluja – szepnął jeszcze Szopen, a potem granat zmienił podziemny garaż w stos całopalny.

Sójka odjęła dłoń od czoła Gryfa i zerwała się na równe nogi.

– Wstrząs – powiedziała raczej do siebie niż do niego. – Wybuch… Cholera, powinni już wrócić… Leż, Gryf. Nie podnoś się, masz guza jak arbuz. Możesz stracić przytomność. Albo się ciebie przestraszą… Lepiej pójdę sama.

– Co tam się dzieje? Sójka! Mów do mnie!

– To miała być pułapka… Zwabienie do lewego skrzydła, zamknięcie na piętrze bez wyjścia… Coś musiało pójść źle.

– Czekaj! Idę z tobą.

Drogę wskazał im chłopiec kurczący się za barykadą z przewróconej szafy, roztrzęsiony, jednooki, łysy.

Sójka prowadziła, bez wahania poruszając się mrocznymi korytarzami. Gryf walczył z nudnościami i łupaniem we wstrząśniętej czaszce. Mijali kolejnych mieszkańców szpitala, wpatrzonych w nich oczyma żałobników.

Buhaja znaleźli na pierwszym piętrze, w zapuszczonej sali operacyjnej o ścianach pokrytych dziecięcymi malunkami.

Spod rozoranego kombinezonu obficie płynęła krew. Buhaj leżał bez maski, z nogą wykręconą pod budzącym dreszcze kątem. Dyszał jak prawdziwy byk po corridzie.

Na widok Sójki i Gryfa wsparł się na karabinie i zarzęził:

– Gryfie, pomóż…! Ubiłem, ubiłem diabła…

Ubił nawet kilka diabłów; pokaleczone ciała walały się po pokoju. Ale Gryf migiem pojął, którego Buhaj ma na myśli.

Sójka też to zauważyła. Nie zadrżała nawet.

Jednorogie czerwono-białe dziecko leżało z odrzuconą głową, z dziurą na wysokości serca. Zieleń jego rozwartych oczu nie zmętniała nawet po śmierci. Nadal była równie intensywna, jak u Sójki.

– Gryfie…! Będziemy bogaci… Obsypią nas nabojami… Urżnij mu łeb, pomóż…

Gryf patrzył na Buhaja i cieknącą zeń krew.

Sójka nachyliła się nad biesem i opuściła mu powieki.

– Kto to… – wydyszał Buhaj. – Trzeci do podziału…? Nie stójcie tak! Nie…

Gryf spełnił życzenie Buhaja. Zamiast stać, odwrócił się i wyszedł szparkim krokiem, skinąwszy Sójce głową, zauważywszy jeszcze, jak podnosi ona jeden z prętów-oszczepów, ciężki i skrwawiony.

Do wyjścia nie było daleko. Gryf zatrzymał się w progu. Na poły w jaskrawym słońcu, które nie dawało ciepła, na poły w cieniu podziemia.

Z martwego szpitala niosły się potępieńcze wycia, jakby istotnie było to piekło, a Lucyfer przymierzał się właśnie do smażenia grzeszników.

Gryf słyszał dialog kata, narzędzia i ofiary.

– Za Młodego!

Cios. Buhaj zawył.

– Za Czerwonego!

Cios i nieartykułowany ryk bestii.

– Za Miśkę! Za Rudego!

Cisza, a w niej już tylko niemilknące odgłosy ciosów. I ostatni okrzyk Sójki:

– Za mojego brata!

Potem już tylko cmentarna i sakramencka martwota.

Powrót po własnych śladach przypominał fantasmagoryczny sen. Miasto zdawało się bezludne, i to bezludne absolutnie – Gryf nie zastał Pietrka ani Kai nigdzie w pobliżu. Uległ za to ponagleniom Sójki, uległ wewnętrznemu impulsowi, rozszyfrowanemu jako dawno nieodczuwany gniew. I chęć naprawy świata, który – zdaniem wielu ocalałych z Ognia – zepsuł się nieodwracalnie.

Nie pojawił się ani Kazik wraz z psem o zapachu amoniaku, ani żaden handlarz czy stalker. Potwory również spały. Sójka nie odzywała się wiele. Gryf również milczał. Szybowali wspólnie między secesyjnymi kamienicami przez śródmiejskie dzielnice. Wracali do gniazda.

…DZIE-DZIE-DZIE…

Podsufitowy głośnik zakrztusił się, zarzęził i wypluł:

…E-WIĘĆ…

…OSIEM…

…Ś-SIEDEM…

Gryf spojrzał na Sójkę.

…SZEŚĆ…

– Gotowa? – spytał.

…PIĘĆ…

…CZ-CZ-CZTERY…

Nie odpowiedziała.

…TRZY…

Zasyczała pneumatyka grodzi.

…DWA…

– Zostań, Sójko.

…JEDEN…

– Nie. Nie zostanę.

GRÓDŹ OTWARTA. GRÓDŹ OTWARTA. GRÓDŹ…

Kolekcjonera nie zdumiał widok dwojga niezapowiedzianych gości. Siedział niczym rasowy literacki melancholik z siwuchą w jednej dłoni, z rewolwerem w drugiej. Zajęty był kontemplacją swoich zdobyczy, przyglądał się kolekcji łbów i napawał nią. Teraz i Gryf miał okazję przyjrzeć się eksponatom. I zobaczył, że połowa to prawdziwe biesy, niewyobrażalne szkaradztwa, ohydy, dzieci radioaktywnego opadu, których wyparła się Natura. Ale druga połowa…

W rysach twarzy drugiej połowy mimo opalizujących sztucznych oczu rozpoznawał zastygłą, przedagonalną i znajomą, bardzo ludzką trwogę.

– Ojcze – odezwała się Sójka.

Kolekcjoner oderwał wzrok od pokłosia udanych łowów, popatrzył na córkę tępo poprzez alkoholową mgłę. Potem przeniósł spojrzenie na Gryfa.

– Gryf! – zaburczał. – Gryf, patrzcie go tylko! Przyszedłeś po nagrodę? Za łeb?

– Nie. Przyszedłem po łeb.

– Eee…? Pytam, czy szczurza twoja mać, wypełniłeś kontrakt. Czy bies jest martwy?

– Jeszcze nie – odparł Gryf, odbezpieczając broń. – Jeszcze nie.

Potem, gdy przebrzmiał już huk dwóch stalkerskich karabinów, Gryf nie podszedł od razu do Sójki. Dał jej chwilę. Wymruczał coś, co w zamierzeniu miało być i pochwałą, i kondolencjami, a co zabrzmiało jak każda jego próba pocieszenia: marnie i sztywno.

Sójka odpowiedziała milczeniem. Zbliżyła się do biurka, stanęła ponad odrzuconym do tyłu Kolekcjonerem, wciąż rzężącym, wciąż szepczącym w spazmach, machającym rewolwerem, i zza pasa wyjęła nóż. Zabłysło złoto. Gryf uciekł przed ciszą na korytarz, za rozwartą gródź. Pożałował, że nie ma papierosa. Dwójka strażników, jeden ogłuszony przez niego, drugi zadźgany przez Sójkę, leżała w kącie. Mundury mają jak nowiutkie, pomyślał Gryf. Jak z teatru, nawet ze złotymi guzikami…

Rozżarzona jak piorun kulisty myśl wpadła mu do głowy i jęła obijać się i walić o czerep, ogłuszając, przygniatając, sprawiając cierpienie.

Susem znalazł się z powrotem w sanktuarium Kolekcjonera.

Sójka nadal stała nad ojcem. Przez jego szyję biegł świeżo wyżłobiony krwawy kanion. W prawej dłoni Sójka trzymała pęk kluczy, niepozornych i mosiężnych. W lewej – złoty nożyk. Pietrkowe trofeum.

O ile Gryfa ogarnął stupor i odjęło mu głos, o tyle Sójka wydawała się radosna.

– Mamy to – powiedziała. – Mamy! Klucze do jego sezamu! Mamy fortunę!

– Po to tutaj przyszliśmy? – zapytał cicho Gryf. – Po skarb?

– Nie udawaj ostatniego sprawiedliwego, nie udawaj dziecka! To zadośćuczynienie! Za lata męki, za szaleństwo mojej matki! Za uduszonego brata…

Zająknęła się, ale liczyła chyba, że nie zauważy, i pędziła dalej:

– To szansa dla wszystkich tych dzieci, które bierze się za diabły… Szansa, rozumiesz?

– Ale nie dla Pietrka. Ani nie dla Kai.

Sójka spojrzała na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy. Nie znał tego spojrzenia.

– Oni… – zaczęła.

– Nie wyszli z tego szpitala, racja? Nigdy z niego nie wyszli. Zabiły ich twoje diabły… czy ty?

– Nie nazywaj ich tak! To nie diabły!

– A zatem to byłaś ty. A co z „zabijaniem tylko w ostateczności”? Co z „zabijaniem tylko nielicznych”? Dali ci chociaż powody? A mnie, mnie zostawiłaś przy życiu, żebym pomógł ci z ojcem? Czy to bicie i znęcanie było w ogóle prawdą?

– Było! – uniosła się. – Wszystko o tym skurwysynu było prawdą!

– A twój „uduszony” brat? Czy tam, w szpitalu, to był w ogóle on?

Sójka pobladła.

– Mój brat nie żyje – szepnęła. – Tak czy inaczej.

– Okłamałaś mnie. Bylebym poszedł z tobą. Coś ty narobiła, Sójko?

Ruchem nie sójki, ale kobry, stalkerka cisnęła w Gryfa kluczami, złapała rewolwer Kolekcjonera i wymierzyła.

Ruchem nie gryfa, ale atakującego skorpiona, wymierzył i on.

Trzasnęły cicho dwa naciskane cyngle, padły dwa ogłuszające wystrzały.

Ze szklanych oczu biesów nie dało się nic wyczytać.

---

* Fragment utworu *Dyabeu* z płyty *Noże* zespołu Deriglasoff Band, wydanej w 2011 roku.

Szymon Muszyński

Ławica

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

Mijał dwudziesty rok od dnia, w którym niebo zapłonęło bielą, a jednak pozostałości tamtego pożaru wciąż pokrywały firmament brudnopopielatą masą. Gdzieniegdzie tylko przebijały się przez nią promienie słoneczne, budząc tęsknotę za dawnym ciepłem, gdy leżeliśmy na plaży, usiłując dorobić się opalenizny.

Dziś wygrzewanie się mogłoby się skończyć tragicznie, choć blada skóra marszczyła się – nie wiadomo: z zimna czy ze strachu – na myśl o spędzeniu kolejnych lat w wilgotnej ciemności. Chciałem splunąć, ale ustnik maski do nurkowania skutecznie to uniemożliwiał.

Powietrze drżało od radiacji. A mnie przypomniała się noc sprzed dwóch dekad, kiedy z podobną wyprawą wyruszaliśmy po raz pierwszy.

Trzeba było szczególnego rodzaju umysłu, aby opracować i wprowadzić w życie plan Kuleckiego. Nie mogliśmy powiedzieć o nim Goslingowi, a to oznaczało trzymanie gęby na kłódkę także przed Baleronem i resztą drużyny. Od początku prowadziło to zresztą do podziałów, bo Kulecki mocno naciskał na dyskrecję, a Pawełek chciał sprawę otwarcie przedyskutować i zakończyć demokratycznym głosowaniem.

– Baleron nas poprze – argumentował, choć ja osobiście miałem co do tego wątpliwości. – Jeśli weźmie naszą stronę, Gosling nie będzie miał nic do gadania.

Rzecz jednak w tym, że mógłby mieć. Prawdą było, że to Baleron zapłacił gruby pieniądz za całe przedsięwzięcie uratowania nam życia, ale inicjatywa wyszła od Goslinga – on był niekwestionowanym liderem naszej małej społeczności i pomysł zrodził się w jego głowie.

– Za duże ryzyko – skwitował Kulecki. – Tu chodzi o przeżycie. Nie mamy wyjścia, Pawełek, rozumiesz? Musimy to zrobić. Niezależnie od głosowań.

No przecież, że rozumiem! Ale moglibyśmy to chyba wytłumaczyć pozostałym, zamiast stawiać ich przed faktem dokonanym?

Ponieważ zgody nie było, ostateczna decyzja należała do mnie.

Teraz, po blisko dwudziestu latach, przyznałbym rację Pawełkowi, ale wtedy byłem młody i narwany, a ponadto gardziłem systemem demokratycznym. Zgodziłem się z Kuleckim. Ruszyliśmy po cichu pod osłoną nocy, ubrani w maski przeciwgazowe i kombinezony do nurkowania.

Był rok dwa tysiące czternasty, niespełna dwanaście miesięcy po tak zwanym Ataku. Choć zima była cieplejsza niż zazwyczaj – na przekór prorokom straszącym postnuklearnym mrozem – jezioro i tak powoli zaczynało zamarzać. A my wraz z nim.

Po wynurzeniu przywitała nas ciemność. Próżno było szukać blasku pojedynczej gwiazdy – mrok spowijał nas nierozerwalnym całunem, przywodzącym na myśl głębię oceanów. Po omacku dotarliśmy na brzeg, kierując się dźwiękiem fal uderzających o niego rytmicznie. Stanąwszy na suchym lądzie, Kulecki wyjął z plecaka zapalniczkę i zrobił prowizoryczną pochodnię z suchej gałęzi i kawałka szmatki.

Poszło łatwo. Krótki spacer do magazynu Kaczmarskiego, skąd przywłaszczyliśmy sobie długi na pół kilometra gumowy wąż, następnie błyskawiczna podróż na stację benzynową na Wschowskiej i już mogliśmy rozpocząć rozwijanie i rozlewanie. Co prawda po okolicy kręciło się parę kundlów (które Kulecki z nieznanych nikomu powodów chciał ochrzcić

szarikami) i kilka wściekłych krów (brahmin według słownika Kuleckiego), ale choć ich widok napędził nam strachu, ostatecznie – być może przestraszone ogniem – zwierzęta zostawiły nas w spokoju.

Plama benzyny rosła w oczach, wlewając się do kanału obfitym strumieniem, jednakże nie czekaliśmy na jej pełne wypłynięcie. Poziom radiacji na powierzchni przekraczał wszelkie dopuszczalne normy. Może to był stres, a może hipochondria, w każdym razie dziwne uczucie w brzuchu zaczynało się nasilać i wiedzieliśmy, że trzeba wracać pod powierzchnię. (Istniało ryzyko, że wąż ześlizgnie się z dystrybutora, a benzyna – bezcenne dwadzieścia tysięcy litrów – zamiast wpaść do rzeki, rozleje się po jałowej glebie wkoło stacji benzynowej, zostawiając nas w czarnej dupie. Na szczęście tak się nie stało).

Wróciliśmy. Ranek przywitał nas już pod powierzchnią, czarną tym razem jak smoła, a krótkie wynurzenie i oględziny potwierdziły nasze oczekiwania. Plama rozciągała się na całą Zatokę Miejską, aż po Ośrodek Ravington z jednej strony i Klub Żeglarski z drugiej.

Byliśmy uratowani.

To było dwadzieścia lat temu.

Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Gosling stracił całe zaufanie, jakim nas wcześniej darzył, co mnie zabolało szczególnie. Traktowałem go jak ojca, opiekuna i mentora, a on przestał się do mnie odzywać na dobre kilka miesięcy i nawet później nigdy nie wyzbył się nieskrywanej niechęci. Zawiódł się na nas, czemu trudno się dziwić. Jezioro było jego obsesją, kochał je do szaleństwa jeszcze przed apokalipsą, a po niej – gdy stało się naszym domem i osią życia – uczucie to tylko się pogłębiło. Szczerze wierzył, że radiacja wkrótce opadnie, ludzie powrócą do domów i wszystko będzie jak dawniej. Wielka plama oleju rozwiała te nadzieje.

To nic, że Gosling się mylił, a Kulecki miał rację – promieniowanie utrzymywało się na wysokim poziomie mimo upływu lat. Użycie benzyny było nieodzowne choćby po to, by zachować ciepło, nie mówiąc

o przemieszczaniu się, gotowaniu, filtrowaniu wody i tym podobnych wydatkach energetycznych.

Chętnie skorzystalibyśmy z cysterny, gdyby pojazdy mechaniczne działały po Ataku; chętnie wybudowalibyśmy zbiornik, gdyby długotrwały pobyt na powierzchni nie groził śmiercią w męczarniach; chętnie spacerowalibyśmy na stację i z powrotem, za każdym razem niosąc benzynę kanister po kanistrze. To jednak nie było możliwe i dlatego skorzystaliśmy z jedynej dostępnej nam opcji.

Gosling nie potrafił – albo nie chciał – przyjąć tego do wiadomości. W jego oczach byliśmy zdrajcami i choć nie wygnał nas ani nie ukarał, nasze stosunki drastycznie się zmieniły po planie Kuleckiego.

Trzy lata później Magda zaszła w ciążę. Szalałem z radości, kiedy podzieliła się ze mną tą nowiną. Łzy napłynęły mi do oczu, głos ugrzązł w gardle, tak że nie mogąc wydobyć z siebie ani jednego słowa, po prostu ściskałem ją, całowałem po szyi, czole, policzkach i powiekach, podnosiłem w górę – na tyle, na ile pozwalał obniżony sufit – a ona śmiała się nerwowo, pociągając piegowatym nosem. To był najszczęśliwszy moment całego mojego pobytu pod powierzchnią, a może i całego życia. Miałem zostać ojcem, a koniec naszej cywilizacji został odroczony, unieważniony przez ten maleńki promyk nadziei na nowe jutro.

Poroniła w czwartym miesiącu.

Doktor Maniak twierdziła potem, że to było nieuniknione. Poziom skażenia radioaktywnego, brak słońca i odpowiedniej diety, wreszcie stres i niewygody, na jakie skazywał nas pobyt w łodzi podwodnej – to wszystko sprawiło, że dziecko praktycznie nie miało szans. Starałem się, Bóg mi świadkiem. Chodziłem na wyprawy prawie co tydzień (mimo przestróg doktor Maniak, twierdzącej, że na powierzchnię nie należy się wypuszczać częściej niż raz na miesiąc), starałem się zebrać z opuszczonych piwnic i składzików szczelnie zamknięte przetwory – lecz mimo to wciąż żywiliśmy się głównie zupkami w proszku na przefiltrowanej wodzie

z jeziora i płynem Lugola. I rybami oczywiście, zupą z płoci z jednym okiem pośrodku głowy i z fluorescencyjnych glonów. Długo panicznie się baliśmy brać te stworzenia do ust, ale głód potrafi przewartościować ludzkie obawy i przyzwyczajenia. Jak słusznie zauważyła doktor Maniak, mutanty są znacznie mniej szkodliwe niż śmierć głodowa.

Z tym że Magda przestała jeść. Przestała się też odzywać, a na wszelkie próby kontaktu reagowała agresją. Gdy chciałem jej dotknąć, odpychała mnie, gdy chciałem z nią porozmawiać, patrzyła na mnie jak na obcego. Była wyniszczona, jak my wszyscy – blada, chuda, ze zmarszczkami przedwcześnie formującymi się na twarzy, z wypadającymi włosami przyprószonymi siwizną.

Wróciwszy któregoś dnia z wyprawy, znalazłem ją martwą, z żyłami podciętymi moją brzytwą do golenia. Nie zostawiła listu ani nie pożegnała się w żaden inny sposób. Po prostu odeszła.

– Co zrobiłeś z ciałem? – spytał mnie Kulecki po kilku dniach, gdy przeprowadził się do mnie z kwatery u Goslinga.

Nie zdziwiło mnie, że Gosling pozbył się Kuleckiego z własnej załogi, nie rozumiałem jedynie, dlaczego zwlekał z tym tak długo. Jakim cudem znosili się nawzajem przez te wszystkie lata, nie mam pojęcia. Gosling był zawzięty, a Kulecki trudny, o czym zresztą miałem okazję przekonać się wielokrotnie, odkąd zostaliśmy współlokatorami.

– Wypuściłem do jeziora – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Był to moim zdaniem najlepszy pogrzeb, na jaki mogłem sobie pozwolić w naszych warunkach.

– Głupio zrobiłeś. Trzeba było je zjeść.

Nie uderzyłem go wtedy w twarz tylko dlatego, że na jego słowa odebrało mi mowę i kontrolę w kończynach.

– Nie patrz tak na mnie – podjął Kulecki. – W wielu kulturach takie poświęcenie jest uznawane za najwyższą formę miłości. Sam pomyśl, gdybyś ty umarł, nie wolałbyś, żeby Magda zjadła twoje ciało, zamiast

nakarmić nim kałamarnice?

– Nie jestem kanibalem.

– Trzeba było przynajmniej z nią o tym porozmawiać. To jak z dawcami organów, a w naszej sytuacji nie stać nas na…

– Kulecki, zamknij mordę.

Wzdrygnąłem się, co widząc, Kulecki zamilkł na jakiś czas.

– No, nie denerwuj się na mnie – odezwał się w końcu. – I obiecaj mi jedno. Jeżeli umrę przed tobą, chcę, żebyś zrobił z mojego ciała dobry użytek, umowa stoi? A jak sam nie będziesz głodny, daj się najeść Pawełkowi, Goslingowi, chociaż to stary fiut, Elizce. Maciusiowi możesz odkroić kawałek szyneczki…

– Ty to jednak jesteś popierdolony.

– Raczej praktyczny.

Dziś muszę przyznać, że nie sposób było odmówić Kuleckiemu pragmatyzmu. To nic, że nie umiał żyć między ludźmi, liczyło się to, że potrafi kombinować, naprawiać elektronikę i zbudować helikopter z gałęzi i spinaczy. Pierwszego dnia to on zabrał ze sobą narzędzia, maskę przeciwgazową, noże, zapalniczki, szachy, gitarę, a nawet łuk refleksyjny i skombinowany z prywatnej kolekcji licznik Geigera (który zresztą przestał działać po kilku latach użytkowania). Ale przede wszystkim jak nikt inny radził sobie ze stratą, nie przejmował się, że zginęła cała jego rodzina, a wraz z nią niemal wszyscy ludzie, których znał.

Ten brak empatii był swego rodzaju siłą, tarczą, za którą ja również próbowałem się chować. Nie wiem, czy po śmierci Magdy przeżyłbym, gdyby nie Kulecki i jego bezstresowe podejście do postapokalipsy.

Ponieważ cisza stała się niezręczna, zapytałem:

– Myślisz, że młody Baleron też zrobił… jak to mówisz… dobry użytek?

– Ha! Ze starego Balerona? Nie wiem, naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ale to by dopiero była ironia losu, co? Baleron, wielki magnat mięsny karmiący tysiące ludzi, sam skończył na talerzu jako sztuka

mięsa.

Historia starego Balerona była być może najtragiczniejsza z nas wszystkich. Przed Atakiem multimilioner, jeden z najbogatszych ludzi w Polsce, właściciel firmy „Baleron i spółka” eksportującej wyroby mięsne na całą Europę, po Ataku musiał się gnieździć w ciasnej metalowej puszce wraz z żoną i dorosłym synem.

Początkowo nie miała ona wcale służyć za bunkier. Pod koniec dwudziestego wieku rozpowszechniła się plotka mówiąca, że na dnie Jeziora Sławskiego spoczywają łodzie podwodne z czasów drugiej wojny światowej, testowane na tych wodach przez Himmlera i armię niemiecką. Gosling postanowił to zbadać. W tym celu sprowadzono z Danii pięć miniaturowych łodzi podwodnych, wynajętych z zamiarem zwrócenia po roku, do czego niewątpliwie by doszło, gdyby nie Atak. Plotka oczywiście okazała się nieprawdziwa – co stwierdziliśmy, przeczesując starannie dno naszego akwenu w poszukiwaniu tego świętego Graala – ale i tak uratowała nam życie.

Nam wszystkim z wyjątkiem starego Balerona. Po roku spędzonym w zamknięciu młodemu Baleronowi odbiło. Zamordował oboje rodziców z niespotykaną brutalnością. Nie było świadków tej zbrodni i być nie mogło, gdyż na pokładzie swojej prywatnej łodzi podwodnej znajdowali się tylko we trójkę, fakt jednak nie ulegał kwestii. Obraz zakrwawionej kabiny do dziś budzi mnie niekiedy w środku nocy, mieszając się z koszmarami o Magdzie i naszym nienarodzonym synu.

Wygnaliśmy mordercę z naszej społeczności, w praktyce skazując go na śmierć. Nie było mi żal Balerona, mimo że jakąś częścią siebie rozumiałem, co nim kierowało.

Jego łodzi nie zaludniono powtórnie, choć Kuleckiemu i Goslingowi z pewnością nie było łatwo przebywać razem w zamkniętej przestrzeni – nawet mnie nie jest łatwo, choć Kulecki jest moim najlepszym przyjacielem. Zadokowaliśmy ją przy brzegu, aby służyła za magazyn, a co

jakiś czas sięgaliśmy do niej, gdy była potrzebna jakaś zapasowa część do naprawy pozostałych jednostek. Po samobójstwie Magdy, gdy Kulecki wprowadził się do mnie, doktor Maniak przeniosła się na łódź Goslinga, co pozwoliło zwiększyć przestrzeń magazynową i jednocześnie zmniejszyć zużycie paliwa. I tak po dwudziestu latach pozostała nas siódemka – ja i Kulecki na jednej łodzi, Gosling i doktor Maniak na drugiej, a Pawełek z Elizą i Maćkiem na łodzi numer trzy.

Pawełek był z nas wszystkich najsilniejszy i najszybszy, cieszył się końskim zdrowiem i kryształową moralnością. Przed Atakiem pracował w policji, ale nie mieliśmy mu tego za złe – przywdział mundur jako młokos pełen dobrych chęci, nie do końca rozumiejąc zasady działania służb porządkowych w naszym pięknym kraju.

W ciągu dwudziestu lat plama oleju na powierzchni jeziora zmniejszała się stopniowo. Część wsiąknęła w piasek okolicznych plaż, co było stratą bolesną, ale nieuniknioną. Większość jednak poszła na ogrzewanie zimą, gdy łączyliśmy łodzie w ciasną gromadę, bo woda podgrzana przez jedną łódź pozwalała oszczędzić na ogrzewaniu pozostałych. Nie przemieszczaliśmy się wiele, zazwyczaj spoczywając na dnie, gdzie poziom promieniowania był najniższy.

Jednakże łatwo było przewidzieć, że dwadzieścia tysięcy litrów nie wystarczy na zawsze. Dlatego zaczęliśmy uzupełniać zapasy paliwem zasysanym z baków okolicznych samochodów, wiedząc, że prędzej czy później będzie konieczna druga wyprawa, tym razem do stacji na ulicy Przemysłowej.

Maciek był dziwnym chłopcem.

Oczywiście trudno spodziewać się normalności po dzieciaku, który od trzeciego roku życia nieustannie przebywa zamknięty z rodzicami w ciasnej przestrzeni łodzi podwodnej, odizolowany od świata i tylko przez mgłę wczesnych wspomnień pamiętający jego widok. Czasami można było

odnieść wrażenie, że jest upośledzony, kiedy obiema rękami obejmował wysuszone drzewo i zaczynał śmiać się histerycznie. Albo kiedy wybiegał przed grupę, żeby z pełną koncentracją przestudiować popękany chodnik czy zawaloną wieżę kościelną.

Nie był jednak głupi. Nie rozumiał mechanizmów rządzących światem sprzed Ataku, ale Pawełek i Eliza opowiadali mu historie o ludziach, których znali, i rzeczach, które robili, o szkole, górach, policjantach i samochodach – te jednak musiały mu się mieszać w głowie z zasłyszanymi bajkami o gigantach, trollach i Tomciu Paluchu. Na szczęście pewnych rzeczy zdołał doświadczyć w pierwszych latach życia i był to dla niego jakiś punkt odniesienia. Patrząc na niego, zastanawiałem się, jak udałoby mi się wychować syna, gdyby…

…Nie, nie chcę nawet o tym myśleć.

Maciek poruszał się w dziwny sposób, chodził zgarbiony i stawiał koślawe, drobne kroczki. Ramiona miał przy tym przyciśnięte do torsu, przez co kojarzył mi się z kurczakiem albo ptakiem dodo.

Pawełek się go wstydził, ale zarówno ja, jak i Kulecki rozumieliśmy. Doktor Maniak wyjaśniła nam, że Maciek – z wyglądu dorosły facet – pod względem emocjonalnym zatrzymał się w rozwoju na poziomie trzylatka.

Nawet on jednak był świadom zagrożeń wiążących się z naszą misją i nie narażał jej na szwank – jeśli nie liczyć tego, że jego kaczkowaty chód i fascynacja kolorami nieco spowalniały nasze tempo.

– Dla niego to jak zwiedzanie rafy koralowej – podsumował Kulecki – tylko na odwrót.

– Co to jest rafa kolorowa? – dopytywał się Maciek.

Pawełek uciszył go i powiedział, że wyjaśni mu później.

Zawalona wieża kościelna przysypała rynek gruzem tak, że nie sposób było się dostać na ulicę Waryńskiego. Chcąc nie chcąc, musieliśmy się cofnąć do pałacyku i przejść placem kościelnym. Ja miałem ochotę trochę zboczyć z trasy i zahaczyć o księgarnię, ale Kulecki wybił mi ten pomysł

z głowy.

– Przy świetle led i tak nie poczytasz – stwierdził.

Musiałem mu przyznać w duchu rację, co jednak uczyniłem z niejakim bólem, gdyż za porządną lekturą tęskniłem jak za matką.

Przeszliśmy przez nadgniły most nad Czernicą i znaleźliśmy się na Nowym Rynku. Uwagę Maćka przyciągnęła rzeźba Witosławy w wyschniętej fontannie, a mnie zdziwiło, że chłopak najwyraźniej widzi ją po raz pierwszy. Wypuszczał się z nami do miasta, odkąd skończył szesnaście lat, to znaczy odkąd zaczął na niego pasować dorosły strój do nurkowania. Czyżbyśmy faktycznie nigdy dotąd nie zaprowadzili go do centrum handlowego Aspera, do apteki Curatus?

Na pewno bardzo często chodziliśmy do magazynu pod Biedronką, gdzie wciąż można było znaleźć zapas nadających się do spożycia sosów w proszku i herbaty (choć widok ton zepsutego jedzenia wywoływał mdłości nawet pomimo masek przeciwgazowych), a także do apteki na Ogrodowej – oba te miejsca leżały niedaleko… Łamałem sobie głowę, czy to możliwe, że Maciek zobaczył fontannę na Nowym Rynku po raz pierwszy w życiu, a przynajmniej po raz pierwszy od Ataku.

Szliśmy dalej. Aż do urzędu pocztowego nie byliśmy niepokojeni, choć dziwne chroboty rozlegały się od strony starej piekarni na ulicy Piwnej. Mogły to być szczury – już kiedyś widziałem w tej okolicy pojedyncze sztuki wielkości rottweilera – ale na szczęście nie zauważyliśmy żadnego.

Dopiero po wejściu na Krótką – gdy skręciliśmy w kierunku hurtowni Kaczmarskiego, gdzie ponownie mieliśmy się zaopatrzyć w gumowy wąż – za naszymi plecami rozległo się wściekłe ujadanie.

Szóstka psów biegła od stadionu. Gdyby nie szczekanie, poruszałyby się bezgłośnie i prawdopodobnie przerobiłyby nas na karmę, zanim zdążylibyśmy je zauważyć. Ponieważ jednak zdecydowały się nas ostrzec, mieliśmy czas się przygotować.

Wielkie kundle były wyliniałe, a na barkach miały wyrostki

przypominające tricepsy – w istocie będące ropiejącymi wrzodami. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że bestie były z ich powodu wolniejsze – pędziły szaleńczo jak lawina.

Kulecki już pruł do nich z łuku. Wypuścił trzy strzały – pierwsza spudłowała, druga ugodziła prowodyra w głowę, kładąc go na miejscu, a trzecia drasnęła bok kolejnego psa, co jednak go nie spowolniło. Pawełek uderzeniem siekiery rozrąbał trzeciego, jeszcze inny rzucił się na Maćka, ale zdzieliłem go lagą, zmuszając do ucieczki.

Reszta całkowicie straciła rezon. Obszczekały nas jeszcze na trzy pokolenia wstecz, po czym wycofały się na z góry upatrzone pozycje. Kulecki posłał za nimi ostatnią strzałę, o centymetry mijając nogę jednego z nich.

Maciek nie odniósł obrażeń, ale wyglądał na zdrowo przestraszonego i trząsł się jak osika.

– Jesteś cały? – zapytałem. – To było tylko parę kundli…

– Nic mi nie jest. Nic mi nie jest. Nic mi nie jest – odpowiedział. Jak dla mnie, co najmniej o dwa „nic mi nie jest” za dużo.

Kulecki pozbierał strzały i droga do hurtowni stała przed nami otworem.

Fragmenty wybitej przez nas dwadzieścia lat temu szyby wciąż trzymały się w ramie okiennej, choć teraz pokrywała je warstwa kurzu i pajęczyn. Kulecki ostrożnie wszedł do środka, a nasza trójka została na czatach.

– To stacja autobusowa i stary Urząd Miejski – pokazałem Maćkowi, starając się rozładować napięcie. Wiedziałem, że nigdy wcześniej nie zapuszczał się tak daleko na północ.

– Urząd Miejski. Do czego to służyło?

– Tego nie wie nikt. – Roześmiałem się tak mocno, że złapał mnie kaszel. – Zbierały się tu różne podejrzane typy i obradowały nad tym, jak przejąć władzę nad światem.

– Mógłbyś nie wciskać mojemu synowi podobnych pierdół?

– Oj, to tylko żart!

– Nieśmieszny, wujek – powiedział Maciek, a mnie przeszła cała ochota na edukowanie młodego pokolenia.

Kulecki wytoczył się przez okno, ściskając wąż oburącz.

– Nie za krótki? – spytałem.

– Wystarczy. Od stacji do rzeki nie jest daleko. No, ruszajmy już, bo przed nami kawał drogi.

Przedszkole było zrujnowane, ale sklep meblowy stał nienaruszony i poza wyblakłą elewacją nie widać było na nim żadnego piętna odciśniętego przez apokalipsę.

Tutaj Pawełek zarządził nieoczekiwany postój.

Zabawne. Wiedziałem, że przed Atakiem mieszkał w tej okolicy, ale nie spodziewałem się po nim nostalgii. Tymczasem, kiedy po tylu latach ujrzał ponownie swój dom, ugięły się pod nim kolana.

Tynk ze wszystkich ścian odpadł, a część dachu zawaliła się, tarasując wejście. Na podwórku, wciąż uwiązany na łańcuchu, leżał szkielet psa zdechłego przed dwudziestu laty.

– Reks… – wyszeptał Maciek, a potem krzyknął głośno: – Reks! To nasz dom! Tato, to nasz dom! Ja pamiętam!

– Tak. Ja też pamiętam.

– No i bardzo dobrze, cieszę się, że macie taką dobrą pamięć, ale ja też przechodziłem obok swojego domu i jakoś nie rozryczałem się z tego powodu – cynicznie skwitował Kulecki. – Możemy już iść?

– Poczekajcie chwilę. Zaraz wracam.

Pawełek zostawił nas samych. Kiedy Maciek spróbował iść za nim, Kulecki zatrzymał go gestem. Pięć minut ciągnęło się w nieskończoność. Gdzieś na północy zawyła wściekła krowa, przyprawiając mnie o gęsią skórkę.

– Szlag by go trafił! Będziemy tu czekać i łapać promieniowanie, bo Pawełkowi wzięło się na wspomnienia? Chrzanić go, idziemy… Wie, gdzie nas szukać, będzie mógł…

W tym momencie zaskrzypiały drzwi i Pawełek wyszedł na zewnątrz, ściskając w garści pistolet policyjny Glock 19.

Wręczył mi jeszcze siekierę, która była zdecydowanie lepszą bronią od mojego kijka.

– Idziemy – rzucił i wysforował się przed nas, nie czekając na odpowiedź.

– Trzymałeś w domu pierdolony pistolet? – Kulecki nie posiadał się z ekscytacji. – Przez te wszystkie lata, kiedy mogło nas zeżreć praktycznie wszystko, ty miałeś dostęp do regularnej broni palnej i nie zdecydowałeś się z nami tym podzielić?

– Nie podniecaj się tak, Kulecki. Mam do niego tylko dziesięć naboi, a zresztą nie widziałem powodu, żeby się tak daleko zapuszczać. Skoro jednak tak ci zależy na broni, stacja znajduje się naprzeciwko komisariatu, na pewno coś tam trzymali. Zakładając, że uda nam się dobrać do zapasów.

– No chyba! Nie znasz przypadkiem kodów dostępu do zbrojowni, co, Pawełek?

Odpowiedziało mu milczenie.

Doszliśmy do torów, skąd od stacji dzielił nas już tylko krótki odcinek. Po prawej stronie zobaczyłem krowę – prawdopodobnie tę samą, która napędziła mi strachu kilka minut wcześniej. Nie wydawała się nami zainteresowana, ale gdyby nagle zdecydowała się zaszarżować, mogło się zrobić bardzo nieciekawie. Byliśmy na otwartej przestrzeni, a sławskie krowy były naprawdę wściekłe i nieprzewidywalne.

– Możemy ją zastrzelić – zaproponował Kulecki szeptem. – W ten sposób przetestujemy tę twoją nową zabawkę.

– Nie będę marnował amunicji na jakieś głupie bydlę. Chcesz ją zastrzelić, to strzelaj z łuku.

– Z łuku do krowy? Mózg ci sfermentował od radiacji?!

– Ciszej – upomniałem ich. – Spróbujmy minąć ją niepostrzeżenie. Kulecki, Pawełek, trzymajcie broń w pogotowiu.

Krowa spokojnie żuła wyschniętą trawę, nie zwracając najmniejszej

uwagi na cztery postacie przekradające się kilkadziesiąt metrów od niej.

Stacja była tuż-tuż.

Kilkanaście minut później wąż był rozwinięty, a pompy wlewały do kanału benzynę, która następnie dostawała się do Czernicy i nieśpiesznie płynęła w stronę jeziora. Kulecki faktycznie ruszył do komisariatu (co widząc, Pawełek ściągnął na chwilę maskę tylko po to, by splunąć w jego kierunku i zakląć siarczyście), ale po niedługim czasie wyszedł zawiedziony, stwierdzając, że nie widzi najmniejszych szans dobrania się do zbrojowni.

Wkrótce szykowaliśmy się do powrotu. I wtedy niespodziewanie rozległy się dźwięki muzyki.

How could he know this new dawn's light
Would change his life forever?
Set sail to sea, but pulled off course
By the light of golden treasure.

Słowa piosenki dobiegały ze sporej odległości, ale nie sposób było pomylić ich z czymkolwiek innym. Dalej na północy ktoś puszczał Metallicę na pełny regulator.

Ludzie. Dwadzieścia lat po Ataku. Osiemnaście lat po utracie wszelkiej nadziei na ujrzenie żywej duszy na powierzchni.

Chóry anielskie nie mogłyby zabrzmieć w moich uszach bardziej słodko.

Zwróciłem się w tamtą stronę z myślą, by pobiec jak najszybciej, zanim ostatnie nuty zdołają rozwiać się na wietrze.

– Stój! Oszalałeś?! – krzyknął Kulecki zduszonym szeptem. – Chcesz biec w stronę longplaya, który nazywa się *Death Magnetic*? Wybacz, ale poziom twojej głupoty jest niewybaczalny.

– Tam są ludzie, Kulecki! Ludzie! Mogą mieć żywność, schronienie, odzież! Mają odtwarzacz i płytę, do jasnej cholery!

– Albo mogą nas zabić, kiedy nas tylko zobaczą.

– Daj spokój…

– Muszę się zgodzić z Kuleckim – przerwał mi Pawełek. – A rzadko się z nim zgadzam. Lepiej dmuchać na zimne. Zbadajmy to po cichu…

Przyznałem im rację, bo faktycznie poniosło mnie jak gówniarza. Pawełek ruszył pierwszy z glockiem wymierzonym przed siebie, Kulecki ubezpieczał tyły, a ja i Maciek szliśmy w środku, powoli i rozglądając się uważnie.

How can I be lost
If I've got nowhere to go?

Wszystko wskazywało na to, że muzyka dobiega z wnętrza zakładów Balerona. Dookoła nie widać było żywej duszy, ale brama stała otworem, a w jednym z okien paliło się światło.

Prawdziwe światło elektryczne.

To było jak ujrzenie yeti surfującego na statku kosmicznym.

Nawet to jednak nie przygotowało nas na widok, który zobaczyliśmy w środku.

Forgive me…
Forgive me not…

Naszym oczom ukazał się człowiek – o ile można go było nazwać jeszcze człowiekiem, i to nie tylko z powodu wyglądu. Był ogromny, wielki jak niedźwiedź albo nosorożec – ale jednocześnie rozlazły jak porcja budyniu, jak żywa przestroga przed żywnością fast food, jak Jabba the Hutt z chomikowymi nóżkami.

Pawełek i Kulecki nie rozpoznali go w pierwszym momencie, ale ja od razu wiedziałem, z kim mamy do czynienia.

Baleron junior powrócił.

– Wy – wydusił z siebie niskim, gardłowym głosem. – Wy! Wyyyy!!!

– Cześć, Baleron – przywitałem się i ścisnąłem siekierę mocniej w dłoniach.

– Zabiliście mnie… Zabi… liście… – Bełkot wychodzący z jego ust

trudno było zrozumieć. – To wszystko wasza wina! Wasza wina!

Forgive me…

– Jak na trupa wyglądasz całkiem nieźle – skwitowałem. – Chociaż wiesz co? Chyba jednak nie. Większość trupów wygląda lepiej od ciebie.

Forgive me not…

Wycharczał coś, co musiało być imitacją śmiechu.

– Czego się spodziewałeś, Baleron? Zabiłeś swoich rodziców. Byłeś niebezpieczny. Mieliśmy ci to puścić płazem i pozwolić, żebyś dalej pływał z nami?

– Nie. Powinniście mieć jaja… powinniście zabić mnie wtedy, tak jak ja ich. Byli tylko starymi ludźmi. Starymi, bezużytecznymi ludźmi, którzy zużywali naszą żywność, naszą wodę i nasze powietrze. Moje powietrze. Dusiłem się tam, rozumiesz? To było proste, oni albo ja. Oni albo ja. Tak jak teraz.

Ruszył do ataku szybciej, niż zdążyłem unieść siekierę. Jak wcześniej stado psów, nie miał problemu ze znalezieniem najsłabszego ogniwa. Powalił Maćka niczym taran, przygniótł go do ziemi i zaczął dusić.

Pawełek wystrzelił, raz i drugi, potem puścił całą serię. Paf… paf-paf… papapapaf!

Kawałek mięsa odpadł z twarzy Balerona jak skóra trędowatego – on jednak nawet nie pisnął z bólu, odwrócił się tylko powoli i zaczął biec w stronę Pawełka. Zamachnąłem się siekierą, ale Baleron wyszarpnął mi ją z dłoni z siłą buldożera i rzucił mną o ścianę – od niechcenia, jakby odganiał muchę – nie przerywając szarży na Pawełka. Kulecki przestał szyć z łuku i rzucił się do ucieczki, zostawiając nas na pastwę losu.

Cóż, mówiłem przecież, że nie można mu odmówić praktycznego podejścia do życia.

Pawełek oddał jeszcze jeden strzał, zanim Baleron dopadł go i przydusił.

– Ucie…! – krzyknął jeszcze i to był ostatni dźwięk, jaki kiedykolwiek wydał. Chyba że liczyć trzask łamanego karku.

Czas się zatrzymał. Następne chwile pamiętam jak przez mgłę – moja ręka chwytająca rękę Maćka… ściana… drzwi… ulica…

Set sail to sea, but pulled off course
By the light of golden treasure.

I pęd, dziki pęd, byle szybciej, byle dalej. Maciek nie stawiał już kaczych kroków, zastąpiły je potężne susy, którymi wyprzedził mnie i zmusił do puszczenia jego ręki. Biegłem za nim na złamanie karku.

Kiedy dotarłem do stacji, dystrybutor wciąż pompował paliwo, ale wąż ześlizgnął się z niego, przez co śliska plama rozlała się po spękanym betonie. Nie dostrzegłszy tego od razu, wbiegłem prosto w środek kałuży i gruchnąłem na plecy, aż coś chrupnęło mi w kościach. Zanim zdążyłem wstać, Baleron dopadł mnie i rzucił do kanału.

– Czekałem na ten moment. A kiedy skończę z wami, pójdę po Goslinga… Pójdę po…

– Hej, Baleron!

Kulecki wyszedł ze stacji benzynowej, trzymając napięty łuk z płonącą strzałą na cięciwie.

– Dawno nie robiliśmy grilla, nie uważasz?

Baleron nie zrozumiał, ale ja tak. Wskoczyłem do kanału i wstrzymując oddech, przywarłem do dna jak płaszczka, wiedząc, co za moment nastąpi. Przez taflę wody doleciało mnie potępieńcze wycie Balerona palonego żywcem. Słyszałem krzyki Kuleckiego, choć nie mogłem rozróżnić słów. I poczułem eksplozję, która wstrząsnęła okolicą i przycisnęła mnie do dna.

Dziękowałem Bogu za wynalezienie kombinezonu do nurkowania.

Spędziłem pod powierzchnią chyba kilku minut, nie mogąc znaleźć bezpiecznego przejścia na brzeg. W końcu zrezygnowany przedarłem się przez płomienie, by zaraz potem paść na brzuch i gasić ogień, turlając się

po ziemi.

Truchło Balerona leżało w kanale, coraz bardziej przypiekane przez nasze zapasy paliwa na nadchodzące lata.

– Kulecki! – wrzasnąłem na całe gardło.

– Co?! – usłyszałem w odpowiedzi.

Wybiło mnie to z rytmu, ale tylko na moment.

– Ty jednak jesteś popierdolony!

A potem zacząłem się śmiać. I płakać. Śmiałem się przez łzy. Dopadłem Kuleckiego, po czym odszukaliśmy Maćka, który kulił się przerażony za dogasającą kręgielnią.

– Nieźle łupnęło, co nie, wujek?

– E tam – odparł Kulecki. – Szkoda, że nie pamiętasz, co się tutaj działo dwadzieścia lat temu. Wtedy to dopiero były eksplozje. Dzisiejsze to najwyżej głośne pierdnięcie.

– Mój tata… czy on…

– Wrócimy po niego, Maciek. Nic nie wiadomo, może jeszcze żyje – powiedziałem, choć nie miałem złudzeń.

Wróciliśmy jednak, a następnie wspólnie z Kuleckim wynieśliśmy ciało i ułożyliśmy je na wciąż płonącej stacji benzynowej.

To był najlepszy pogrzeb, na jaki mogliśmy sobie pozwolić w naszych warunkach.

Zdziwiłem się, widząc, że Pawełek ściska w dłoni starą odznakę policyjną. Czyżby zabrał ją z domu, kiedy poszedł po glocka? Pewnie tak. Dałem ją Maćkowi na pamiątkę, choć chłopak najwyraźniej nie rozumiał konceptu.

– Będziemy musieli powiedzieć Elizie.

– Ja powiem – postanowił Kulecki. – Ty po prostu dojdź do siebie.

Popatrzyliśmy raz jeszcze na płonący kanał i ścierwo Balerona leżące w płomieniach.

– I jak – zagadnąłem Kuleckiego – nadal masz ochotę na mięso z grilla?

– E tam. Nigdy nie lubiłem żywności genetycznie modyfikowanej.

Razem z Baleronem wypalała się właśnie cała nasza przyszłość.

Rok dwa tysiące trzydziesty trzeci był ostatnim, który spędziliśmy na łodziach podwodnych pod powierzchnią Jeziora Sławskiego.

Pozbawieni benzyny, a wraz z nią energii elektrycznej, nie mogliśmy marzyć o przetrwaniu zimy, jednakże fakt, że Baleron przeżył na powierzchni osiemnaście lat, dawał nam iskierkę nadziei – przyćmioną przez świadomość piętna, jakie to życie odcisnęło na jego ciele i umyśle.

Lecz najwidoczniej możliwe było przeżycie bez bunkrów, bez łodzi podwodnych, bez kanałów i bez stacji metra. Skoro psy, szczury i krowy dają sobie jakoś radę, dlaczego nie my?

Nie oznacza to, że nie będziemy szukać schronienia. Ruszymy na południe, w stronę Głogowa, a potem być może dalej, rozglądając się za śladami cywilizacji i szansą na poprawę naszej sytuacji. Ta nowa droga przepełnia nas strachem, ale i wyczekiwaniem. Być może wrócimy tutaj pewnego dnia, gdy woda w jeziorze będzie znów ciepła.

Tymczasem żegnamy się ze Sławą po raz pierwszy od dwudziestu lat.

Filip Laskowski

Dobry Samarytanin

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

Nocą było tak zimno, że staremu Wojniczowi ręce przymarzły do karabinu. Na warcie wytrwał tylko do północy. Zdążył dwukrotnie obejść Mauzoleum i ze szczytu wzniesienia popatrzeć na zgliszcza miasta po drugiej stronie rzeki, gdy zauważył, że nie może już poruszać palcami. Zupełnie stracił w nich czucie. Dłonie w rękawicach ochronnych przywarły do kałasznikowa, palec znieruchomiał na spuście. Dla Wojnicza nadchodził koniec nocnej warty.

Po skrzypiącym śniegu wrócił przed wejście do Mauzoleum, z wysokości betonowych schodów popatrzył na nieruchomy świat zamknięty w pętli głębokiej fosy. Repliki osiemnastowiecznych armat wciąż szczerzyły pyski w stronę martwego miasta. Żałosne kikuty brzóz bielały jak kości. Ponad zmrożoną ziemią górowała potężna bryła Mauzoleum z betonu i stali. Pamiątka po lepszych czasach, gdzie na czterech podziemnych kondygnacjach znalazło schronienie ponad sto sześćdziesiąt osób. Stary Wojnicz gotów był bronić tego miejsca aż do śmierci.

Długo jeszcze stał u stóp Mauzoleum, zanim odwrócił się i kolbą karabinu załomotał w stalowe drzwi. Podał też hasło. Cierpliwie odpowiedział na wszystkie pytania strażników, po czym dodał:

– Jebać to.

Zaskrzypiały otwierane zamki i Wojnicz stanął w uchylonych drzwiach

Mauzoleum. Przed sobą miał ciemność rozjaśnioną nikłym światłem kilku lampek łojowych. Wyglądał jak przybysz z innego świata: oprószony popiołem i śniegiem, w oblodzonym kombinezonie ochronnym, z rękoma przymarzniętymi do karabinu i nieludzko wymęczonymi oczyma połyskującymi za szkłami maski przeciwgazowej. Strażnicy patrzyli na niego z nieskrywaną litością.

Po zamknięciu drzwi sprawdzili dozymetrem poziom promieniowania na jego ubraniu, pomogli mu zdjąć maskę i dali napić się bimbru. Potem zaprowadzili Wojnicza ciemnymi schodami na niższy poziom Mauzoleum, żeby Doktor mógł rzucić okiem na jego odmrożone ręce.

Lazaret mieścił się w obskurnym baraku z blachy falistej, przymocowanej drutem do konstrukcji ze starych rusztowań budowlanych. We wnętrzu czuć było nieznośny odór zgnilizny i chemikaliów. Wojnicz przycupnął na stołku w kącie, dwaj strażnicy stanęli pod ścianą z opuszczonymi głowami. Szef zmiany warty poszedł obudzić Doktora.

Wojnicz cierpliwie czekał. Na jego brodatej twarzy malował się nieopisany smutek: widział już podobne odmrożenia, najwięcej w pierwszych latach po zagładzie. Patrzył tępym wzrokiem na zasłonę rozwieszoną w poprzek baraku, za którą na posłaniach ze szmat leżeli umierający szperacze.

– Nie wołajcie doktóra – poprosił. – Tak se tu tylko posiedzę do rana.

– Będzie dobrze… – jeden ze strażników spróbował pocieszyć Wojnicza bimbrem z manierki.

– Nie będzie. Jak przeżyję do rana, to doktór odejmie mi paluchy, może nawet obie dłonie. Potem zdechnę z gorączki albo od gangreny. Szkoda ściągać chłopa z łóżka.

– Albo z baby… – Strażnik też się napił. – Ponoć tęgo piłuje kości i tę swoją pielęgniarkę. Chłopakom w Trupiarni łatwiej odchodzić, słysząc jej śpiewanie…

Wszyscy odruchowo spojrzeli w stronę zasłony, za którą leżeli konający

szperacze. Potem odwrócili głowy.

Doktor przywlókł się po kilku minutach. Jeszcze zaspany, śmierdzący winem i potem kobiety, z którą spał. Miał trzydzieści kilka lat, lecz wyglądał dużo starzej: z ogoloną do skóry głową, wielkimi drucianymi okularami przysłaniającymi zapadniętą twarz i w pocerowanym płaszczu wojskowym przypominał bezdomnego łachmaniarza lub więźnia podziemnego obozu.

Przyszedł z głębi baraku, gdzie miał swój niewielki kąt z łóżkiem oraz szafkami na książki, ubrania i lekarstwa. Po drodze musiał przejść przez Trupiarnię, spojrzał więc odruchowo na leżących szperaczy.

– Dziwne… – mruknął. – Dima jeszcze nie doszedł…

Przystanął. U jego stóp leżało czterech szperaczy okrutnie porżniętych w ostatniej bitwie z Samarytanami. Każdy z pobladłą twarzą i oczyma szklistymi od gorączki. Dla trzech pierwszych była jeszcze nadzieja, natomiast na ostatnim Doktor już dawno postawił krzyżyk: szperacz Dima dogorywał w odorze gangreny dobywającym się z urwanej lewej nogi.

Doktor odsunął zasłonę i podszedł do Wojnicza.

– Co się stało? – zapytał.

Wartownik podniósł karabin na wysokość twarzy.

– Przymarzł. Zupełnie.

Doktor tylko westchnął; on również widział takie odmrożenia, przy świetle lampki łojowej odpiłowywał posiniałe dłonie i stopy, a po kilku godzinach zamykał powieki konającym. Od siedmiu lat pracował w tym zatęchłym lazarecie, leczył odmrożenia, próbował leczyć skutki radiacji, zszywał rany zadane przez ludzi i bestie, walczył ze skutkami syfilisu i gruźlicy, ale również robił skrobanki, sprzedawał lekarstwa i używane prezerwatywy wypłukane w wodzie z mydłem. W wolnych chwilach zajmował się swoistą pracą u podstaw: uczył pisać i liczyć bezdomne dzieci, tłumaczył, jak zapobiegać niechcianym ciążom, w końcu prowadził prywatną krucjatę przeciwko właścicielowi miejscowego burdelu, będącego

wylęgarnią przeróżnych chorób zakaźnych.

Dłonie Wojnicza zupełnie przymarzły do karabinu. Rozdarcia w rękawicach odsłaniały zsiniałe od mrozu ciało, które skrobnięte paznokciem, piszczało jak szkło. Biedny wartownik nie mógł nawet poruszać palcami. Podważone skalpelem rękawice odchodziły wraz ze skórą. Doktor ze złością podrapał się po głowie.

– Nie da się ich ściągnąć. Trzeba będzie ciąć.

– Rękawice? – zapytał Wojnicz z nadzieją w głosie.

– Palce.

Wojnicz już o nic więcej nie pytał.

– Rozpalcie ogień – powiedział Doktor do strażników. – Wszystko musi rozmarznąć. Dostawa spirytusu do dezynfekcji przyjedzie rano, więc teraz i tak nie mogę go kroić. Trzeba czekać do świtu.

Strażnicy szybko zajęli się Wojniczem: rozpalili ogień w koksowniku, usadzili przed nim starego wartownika, ręce z przymarzniętym karabinem ułożyli na kolanach. Ramiona okryli wypłowiałym kocem. Zawołali małego chłopca, żeby poił go bimbrem z manierki, a Doktor zrobił mu zastrzyk z ostatniej fiolki morfiny. Stary wyglądał na zadowolonego. Pił łapczywie. I przysypiał.

Przed odejściem strażnicy pożegnali się z Wojniczem. Z ich twarzy Doktor wyczytał, że nie spodziewają się już zobaczyć wartownika żywego. Miał podobne zdanie na ten temat. Starego Wojnicza czekała powolna śmierć z wycieńczenia. Pozostawało tylko czekać, aż Dima zwolni miejsce w Trupiarni.

Nagle Doktor zapragnął wrócić do swojego pokoju na tyłach lazaretu, gdzie czekało na niego ciepłe łóżko, kobieta i kubek z niedopitym winem. Kiedy rano przyjedzie dostawa spirytusu, pomyślał, obetnie się Wojniczowi dłonie, a potem się zaczeka, aż biedak dojdzie w Trupiarni. Strażnicy wyniosą jego ciało do mieszczącej się na najniższym poziomie Przetwórni, skąd za parę tygodni Wojnicz powróci w świetle lampek łojowych,

w mydle, smarowidłach i olejach, w mączce dla prosiąt, w końcu w rzemieniach, paskach i podeszwach butów. Zdecydowanie czas już wrócić do łóżka.

Wtedy Doktor przypomniał sobie o czymś bardzo ważnym.

– Wojnicz, kto był z tobą na zmianie?

Stary wartownik milczał. Spojrzał tylko spode łba na Doktora, który wolno powtórzył pytanie. Wojnicz milczał uparcie. W końcu mruknął:

– Sam byłem.

– Jak to: sam? Zawsze chodzicie we dwóch. Kto był z tobą w rozpisce?

Wartownik nie odpowiedział.

– Wojnicz, czy ja się wyrażam niejasno?

– Dostatecznie jasno, panie doktórze. Na rozpisce wyznaczony był Lemański.

– I gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Nie przyszedł?

– Przyszedł. Ale powiedział, że ma sprawę do załatwienia. Poprosił, żebym sam poszedł.

– A ty się na to zgodziłeś?

– Zostawił mi dziesięć nabojów.

Doktor zaklął.

– Pokaż!

– Są w chlebaku.

Wojnicz zamilkł, a usłużny chłopiec dał mu kilka łyków bimbru z manierki. Doktor pochylił się nad leżącą w kącie stertą szmat. Gdy odwrócił się do Wojnicza, w zaciśniętej dłoni trzymał garść naboi do kałasznikowa.

– Ja odejmę ci tylko palce, ale Komendant urwie ci za to jaja! I Lemańskiemu też. – Nerwowo uderzył pięścią w udo i zaczął do siebie mamrotać: – Sam, kurwa, poszedł na wartę. Przy temperaturze minus

czterdzieści stopni. A mówiłem tyle razy: chodzić we dwóch! A ten wziął karabin i poszedł sam. Za dziesięć nabojów!

– Dziewięć. Jeden przestrzeliłem. Dla sprawdzenia.

– A ja ci za to utnę wszystkie dziesięć paluchów! Powiedz, warto było?

Wojnicz uparcie milczał. Doktor potarł dłonią spocone czoło. Powrót do ciepłego łóżka niebezpiecznie się oddalał. Znał wszystkich mieszkańców Mauzoleum, z wieloma się przyjaźnił. Wiedział też, jak Komendant karze za niesubordynację. Znów zaczął mówić do siebie.

– Polecą głowy. I jaja. Komendant wam tego nie daruje. Muszę to natychmiast zgłosić. Albo znaleźć Lemańskiego. – Potrząsnął Wojnicza za ramię. – Wiesz, gdzie mógł pójść?

Doktor ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

Wojnicz spał.

Dochodziła już pierwsza w nocy, gdy Doktor zszedł na trzeci poziom Mauzoleum, gdzie w dawnej sali wystawowej stały przytulone do siebie baraki z blachy i drewna. Szybko znalazł drzwi do kwatery Lemańskiego. Były otwarte, więc po krótkim wahaniu przekroczył próg. W ciasnym wnętrzu panowała zupełna cisza. Doktor rozejrzał się uważnie, ale nie znalazł niczego interesującego. Zmięta pościel na łóżku była zimna, palenisko w małym piecyku zupełnie wygaszone. Kawa w szklance zdążyła zamarznąć.

Wrócił do wąskiego przejścia między barakami. Dookoła nie było widać żywej duszy. Podziemny schron spał. Doktor potrzebował chwili do namysłu.

– Gdzie ta menda mogła pójść? – zapytał z wzrokiem wbitym w ciemność. I natychmiast sam sobie odpowiedział: – Trzeba sprawdzić, czy nie wyszedł na powierzchnię… – Po krótkim zastanowieniu wzruszył ramionami i dodał: – Pomysł dobry jak każdy inny.

Więc poszedł.

Stojący przy wyjściu strażnicy popatrzyli na Doktora ze zdziwieniem.

Szef zmiany trząsł się jak osika. Na wszystkie pytania odpowiadał wystraszonym głosem: nie, Lemański nie wychodził na powierzchnię. Nie było go na warcie? Niemożliwe. Nie, nic o tym nie wiedziałem. Lubię swoje jaja. Dlaczego pozwoliłem Wojniczowi wyjść w pojedynkę? Dobre pytanie. Dlaczego wszyscy mamy stracić…

W pewnym momencie wtrącił się jeden ze strażników.

– Panie doktórze! – wykrzyknął. – Ja nie chciałem wziąć tych nabojów.

Doktor odsunął na bok szefa zmiany. Popatrzył groźnie na gadatliwego strażnika.

– Jakich nabojów? – zapytał.

– Tych od Lemańskiego. Każdemu dał po pięć, a szefowi dziesięć, cobyśmy nic nie gadali. Coby Wojnicz sam poszedł na wartę.

Doktor zazgrzytał zębami. Ściągnął z głowy służbową czapkę z daszkiem.

– Dawać te naboje, okurwieńcy!

Stał nieruchomo, a strażnicy kolejno podchodzili do niego i wrzucali do czapki amunicję, jak kiedyś wierni pieniądze na tacę w kościele.

Doktor popatrzył na piętnaście lśniących nowością naboi do kałasznikowa. Westchnął.

– Czy ktoś wie, gdzie jest Lemański?

Gadatliwy strażnik odważnie wystąpił o krok i powiedział:

– Ja wiem…

– To mów! Gdzie on?

Strażnik odpowiedział.

W burdelu panowała zadziwiająca cisza: nie skrzypiały łóżka, nie słychać było pijackich głosów ani jęków udawanej rozkoszy.

Ta cisza zadziwiła wszystkich: szefa zmiany, gadatliwego strażnika i Doktora. A przecież każdy z nich czuł się tu jak w domu, ponieważ często bywali w burdelu, najwięcej Doktor (w ramach swej pracy u podstaw), potem szef zmiany, a gadatliwy strażnik po każdej wypłacie, czyli raz w tygodniu. Dlatego właściciel przywitał ich niezwykle serdecznie.

– O, panowie żołnierze! Nawet sam doktór nas zaszczycił… Znowu będzie kazanie o moralności?

– Zamknij się. Szukamy jednego z naszych.

– Którego? Znam wszystkich.

– Lemański. Był tu dziś?

– Jak to: był? Jest tu nadal.

– Prowadź. Co tu tak cicho?

– Pan Lemański odpoczywa.

– Pan? – Doktor zazgrzytał zębami.

Właściciel burdelu zaprowadził ich do pomieszczenia, gdzie na betonowej podłodze leżały cztery materace rozdzielone parawanami z pozszywanych worków jutowych. W nieruchomym powietrzu czuć było duszny odór przetrawionego alkoholu, stęchlizny i kobiecego potu.

Na ostatnim materacu tuż przy ścianie z blachy spał pijany Lemański. Czuwały przy nim trzy kobiety, z których jedna wachlowała śpiącego wartownika kawałkiem tektury. Na widok Doktora uśmiechnęła się radośnie. Na jej twarzy widniały pierwsze wykwity syfilisu.

– Wciąż bierzesz po dwa naboje? – zapytał Doktor ze złośliwością w głosie. – Prosiłem, żebyś przyszła do mojego lazaretu. Będę ci płacił za pomoc przy chorych.

Zanim kobieta bez słowa odwróciła głowę do ściany, Doktor dostrzegł na jej ustach złośliwy uśmiech. Zaklął.

– Daję tej kurwie jeden nabój za dzień uczciwej pracy! – wybuchnął. Podniósł wzrok na betonowe sklepienie. – W tym schronie można za to wyżyć. Tyle razy mówiłem: przyjdź, dam ci robotę, pomogę żyć normalnie… A ta woli sprzedawać własną dupę za dwa naboje. Ile z tego dostanie? No ile? Ilu ludzi już zaraziła syfem za te dwa naboje?

– Musiałem podnieść stawki – odezwał się właściciel burdelu. – Teraz taka przyjemność kosztuje pięć sztuk.

Doktor zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Niech pan się rozejrzy: wszystko drożeje. Nawet miłość.

– Kurwa mać!

Doktor ze złością, choć bez przekonania, kopnął śpiącego wartownika. Lemański poderwał się gwałtownie. Kobiety uciekły.

– Co jest? – warknął. – A, pan doktór! Przepraszam…

– Dlaczego nie jesteś na warcie?

– Mam wolne.

– Nie masz. Gadałem z Wojniczem. Ten głupek poszedł sam na wartę i odmroził sobie ręce. Teraz czeka w lazarecie, aż się zwolni miejsce w Trupiarni. I to wszystko za dziesięć nabojów! Za dziesięć nabojów!

Lemański pobladł.

– Komendant już wie? – zapytał.

– Jeszcze nie. Ale się dowie. Rano.

Wartownik popatrzył z nadzieją na Doktora.

– Niech pan mu tylko nie mówi! – Sięgnął do leżących na podłodze spodni. – Ja zapłacę! Mam jeszcze trochę nabojów…

– Pokaż.

Lemański pokazał. Doktor popatrzył na pełną garść naboi.

– Skąd masz tego tyle? Gadaj!

Lemański cofnął rękę. Milczał ze skwaszoną miną.

– Gadaj! – powtórzył Doktor.

– Od tego pobożnego starca…

– Od kogo?

– Od starca. Przyszedł wczoraj w nocy. Akurat miałem zmianę na bramie, a Wojnicz powlókł się kupić coś do jedzenia. Wtedy przyszedł ten starzec. Przyciągnął ze sobą dwukółkę. Za wejście do Mauzoleum dał mi majątek: sto nabojów! Tylko kazał nic nie gadać…

– Zgłosiłeś to Komendantowi?

Wartownik opuścił głowę. Patrzył ze skruchą na swoje nagie stopy.

– Nie…

– Komendant urwie ci jaja.

– Może się nie wyda…

– Gdzie jest ten starzec?

Lemański wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Na pewno kręci się gdzieś po wyższych poziomach…

– Ja wiem! – wtrącił usłużnie właściciel. – Ja wiem! – powtórzył. – Ludzie już o nim gadają. Ten przedziwny starzec rozdaje wszystkim naboje. Każdy, kto do niego przyjdzie, dostanie całą garść. Dlatego musiałem podnieść ceny! Za dwa naboje żołnierze śmieli mi się w twarz…

Doktor bezradnie rozłożył ręce i ponownie spojrzał na betonowe sklepienie tunelu. Nabrał powietrza w płuca i krzyknął:

– Oszaleli! Mówią mi, że jakiś staruch rozdaje naboje…

– Każdemu! – zapewnił właściciel burdelu. – Wystarczy poprosić.

Z Doktora uszło powietrze.

– Gdzie znajdę tego starca? – zapytał.

– Podobno wynajął barak na trzecim poziomie… Łatwo go znaleźć, bo wciąż kręcą się tam ludzie.

– To niemożliwe. – Doktor pokręcił głową. – Komendant urwie wam jaja za te brednie. Bogobojny starzec rozdający naboje! Brednie. A ci w to wierzą! Kurwy, sutenerzy i sprzedajni żołnierze. Dla kilku nabojów zrobią wszystko. Nie ma wśród nich jednego uczciwego człowieka. Może niech już przyjdą ci dobrzy Samarytanie i zrobią porządek z tym całym kurewstwem…

Doktor zamilkł przestraszony własnymi słowami. Właściciel burdelu znacząco zakasłał i powiedział:

– Niebezpiecznie jest tak mówić, doktórze. Ktoś mógłby donieść do Komendanta, a wtedy…

Doktor wzruszył ramionami.

– Lepiej i tak nie będzie… – rzucił.

Kiedy Doktor wyszedł z burdelu, ze zdziwieniem dostrzegł, że mechaniczny zegar na ścianie wskazuje już godzinę trzecią. Niedługo obudzi się Komendant. A gdy dowie się o nocnej historii z nabojami, zacznie urywać jaja. Trzeba jak najszybciej zbadać tę sprawę. Znaleźć tego nabożnego starca. I szybko donieść o nim Komendantowi.

Na pierwszym poziomie zaspani handlarze zaczęli już rozstawiać stragany. Doktor przystanął ze wzrokiem wbitym w rozłożone dobra. Na lichych stoiskach leżały małe bochenki chleba pieczonego z mąki i trocin, kawałki surowego mięsa, bimber w szklanych butlach, części do broni, ale też skarby wygrzebane na powierzchni dawnego świata: ubrania, buty, koce, zegarki i książki.

Od wejścia nadciągnęła karawana kupiecka, która przybyła z gniazda Samarytan. Choć od ostatniej bitwy minęło już kilka dni, handlarze wciąż patrzyli z niepokojem na mieszkańców Mauzoleum. Teraz zatrzymali się na skraju bazaru, a po krótkiej naradzie zaczęli ściągać z dwukołowych wózków przywiezione towary: mąkę w pojemnikach oblepionych gliną, stare konserwy zabezpieczone smarem, bimber, suszoną herbatę, ubrania i przedmioty codziennego użytku. Tłum wokół karawany gęstniał z każdą minutą.

Handlarze patrzyli onieśmielonym wzrokiem na otaczających ich ludzi. Błyskały naboje przechodzące z rąk do rąk. Doktor wypatrywał znajomego handlarza spirytusu, lecz w ciżbie niewiele było widać. Tuż obok przebiegł mały chłopczyk, goniony przez stadko bezdomnych dzieci.

– Samarytanie! – wrzeszczały. – Samarytanie!

Doktor splunął przez zęby. Te maluchy dobrze wiedzą, kto jest ich największym wrogiem. Teraz i po wszystkie czasy. Samarytanie. Miłosierni, dobrotliwi, bogobojni, zawsze chętni do wskazania innym drogi do nieba. Samarytanie z podziemi kościoła Świętego Franciszka. Degeneraci, mordercy i gwałciciele, od kilku lat bezskutecznie szturmujący Mauzoleum.

Na szczęście jest z nami Komendant, pomyślał Doktor. On zawsze będzie nas przed nimi bronił. Przed tymi fałszywymi Samarytanami, przed tymi diabłami w ludzkiej skórze.

Po sprzedaniu części towarów handlarze zaczęli się naradzać. A potem dwukrotnie podnieśli ceny. Tłum zaszumiał, ale nie odstąpił. Kilka minut później wózki karawany były już puste.

„Szaleństwo", mruczeli odchodzący handlarze. „Z pewnością wrócimy tu za tydzień". Na wózkach karawany, pod płachtami brezentu, brzęczały wiadra wypełnione nabojami.

Przy wyjściu z Mauzoleum Doktor dopadł znajomego handlarza. Spojrzał w jego roześmiane oczy.

– Spirytus! Miałeś przywieźć dla mnie spirytus do dezynfekcji.

– Nic już nie zostało – mruknął handlarz. – Sprzedałem wszystko.

– Dlaczego? Zgodnie z umową miałem przygotowane dwadzieścia nabojów za całe dwa litry. Co ja teraz zrobię? Czym będę dezynfekował?

Handlarz popukał się w czoło, a potem warknął:

– Wsadź se w dupę te dwajścia nabojów! Dziś za jeden litr brałem czterdzieści! – Ze złością odepchnął Doktora. – Ten schron oszalał.

Doktor stał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w handlarza. Z bezsilności zgrzytał zębami i mamrotał coś pod nosem. Mężczyzna zbliżył się do niego.

– Doktórku, mam jeszcze jedną butlę spirytusu, którą zostawiłem na łapówki. Moge ci jom sprzedać za szejdziesiąt nabojów.

– Nie mam tyle.

– To idź do diabła. Albo do starca. Na jedno wychodzi.

Kiedy za handlarzami zamknęły się już stalowe drzwi Mauzoleum, Doktor został sam ze swymi niewesołymi myślami. Obok niego pośpiesznie przechodzili ludzie dźwigający tobołki i worki wypchane kupionymi dobrami. Doktor ze zgrozą dostrzegł mąkę rozsypaną na betonie.

– To niemożliwe – wyszeptał. – To nie dzieje się naprawdę.

Ze zwieszoną głową przeszedł na środek bazaru. Pod ścianą baraku leżało

kilkoro dzieci z brzuchami wzdętymi z przejedzenia. Dwoje już pięknie zsiniało. Doktor patrzył na nie chwilę, po czym powlókł się do schodów prowadzących na niższe poziomy Mauzoleum.

Przed największym barakiem na trzecim poziomie stało dwóch drabów z automatami na opuszczonych paskach. Palili papierosy.

– Chcę się widzieć ze starcem – powiedział Doktor.

Jeden z drabów pstryknął niedopałkiem w gromadkę bezdomnych dzieci skupionych pod ścianą. Zaczęły walczyć o peta.

– Wejdź.

Przeszli krótką sienią do sporego pomieszczenia, podzielonego kocem na część mieszkalną i sypialną. Na żeliwnym piecyku stał garnek z bulgoczącym jedzeniem. Doktor natychmiast wyczuł zapach mięsa i nogi aż się pod nim ugięły z głodu. Wodząc mętnym wzrokiem po całym wnętrzu, dostrzegł siedzącego na drewnianym krześle pomarszczonego starca, u którego stóp klęczała młoda kobieta. Starzec gładził ją pieszczotliwie po włosach i spod zmrużonych powiek spoglądał na Doktora.

– Podejdź bliżej – szepnął. Doktor bez słowa postąpił krok w jego stronę. – Nie bój się. Niczego od ciebie nie chcę. A dam ci dużo. Bardzo dużo. – Wskazał stojące pod ścianą skrzynki z amunicją. – Bierz, ile chcesz. Ile zdołasz unieść.

– Dlaczego to robisz, Starcze?

– Może trochę więcej szacunku?

– Dobrze, Starcze. – Doktor podszedł do najbliższej skrzynki. Odchylone wieko ukazywało nowe, lśniące naboje do kałasznikowa. Bardzo dużo naboi.

– Bierz, ile chcesz – powtórzył Starzec.

Doktor zastygł z dłonią wyciągniętą nad nabojami. Zaczął je przeliczać na porcje jedzenia, bandaże, opatrunki i litry spirytusu do dezynfekcji. Na odmrożone ręce, które mógłby uratować. Na kurwy, które mógłby zatrudnić

w lazarecie. W ostatniej chwili zapragnął jeszcze uciszyć wyrzuty sumienia.

– Kim jesteś, Starcze, i dlaczego to robisz? Dlaczego rozdajesz naboje?

– Nazywaj mnie, jak chcesz. Dla ciebie mogę być świętym Franciszkiem z Asyżu lub Mansa Musa, legendarnym królem Mali. Jest mi to obojętne.

– Potrzebuję zaledwie kilka. Mogę?

– Po to tu są. Bierz!

Doktor zaczerpnął garść naboi, przeliczył i wsunął do kieszeni. Po krótkim namyśle sięgnął jeszcze raz, a kiedy kieszenie jego wojskowego płaszcza były już pełne, popatrzył z szacunkiem na Starca.

– Dlaczego pan to robi? – zapytał poddańczym tonem. – Tyle dobra… Tyle dobra można za to kupić. To niewyobrażalne bogactwo.

Starzec pokiwał głową, ale nie odpowiedział. Wskazał tylko palcem na drzwi.

– Idź i głoś dobrą nowinę. Niech przyjdą inni. Nie zabraknie dla nikogo.

Doktor wracał do lazaretu zgarbiony pod ciężarem naboi upchniętych w kieszeniach. Przed wejściem czekał na niego właściciel baraku z żądaniem zwiększenia miesięcznego czynszu.

– Teraz każdy ma dużo nabojów… – cedził przez zęby. – Odkąd pojawił się ten osobliwy starzec, za wszystko trzeba więcej płacić. Za chleb, za wodę i za kąt do spania.

– Dlaczego?

– Ludzie teraz zrobiły się bogate. Mają dużo nabojów.

Doktor tylko wzruszył ramionami. Zbył właściciela obietnicą, której nie miał zamiaru spełniać, po czym wszedł do lazaretu. Przy wygasłym koksowniku siedział Wojnicz z karabinem wciąż przymarzniętym do dłoni. Ktoś litościwy postawił między jego kolanami wiadro na siki. Wojnicz był kompletnie pijany. Dzieciak gdzieś zniknął.

Doktor zajrzał za zasłonę i zobaczył, że nastąpiło przedziwne ozdrowienie chorych: trzej ranni szperacze wstali z posłań i opuścili lazaret. Został tylko Dima, który zgodnie z przewidywaniami, umarł. Leżał wyszczerzony,

z martwymi oczyma wbitymi w betonowe sklepienie. Doktor delikatnie zamknął powieki szperacza, zmówił też krótką modlitwę za zmarłych i potrzymał go za zimną rękę. Trzeba zgłosić śmierć Dimy do Przetwórni, pomyślał. Niech go zabiorą, niech przerobią, niech w końcu wróci jako olej do lamp, pasta do butów i paski do spodni. Niech się przyda po raz ostatni.

Doktor stanął na progu swojej komórki, spojrzał tęsknym wzrokiem na śpiącą kobietę. Zapragnął dotknąć jej włosów, wsunąć się do niej pod koc, zapomnieć o nabojach, martwych szperaczach i bogobojnych starcach. Rzucić to wszystko w cholerę i iść spać.

– Ania… – szepnął. Pogładził włosy śpiącej kobiety. – Moja Ania… Jest już ze mną tyle lat. Zawsze mi pomaga i wspiera. Nigdy nie powiedziała, żeby sobie odpuścić. Żeby rzucić to wszystko w cholerę, zamknąć torbę z narzędziami, zamknąć książki, zamknąć lazaret i nie pomagać innym…

Kobieta wciąż spała. Doktor po cichu wyciągnął drewnianą skrzynkę spod łóżka i przełożył do niej naboje otrzymane od Starca. Kilka zostawił sobie na bieżące potrzeby. Ze zwieszoną głową wycofał się do Wojnicza.

Chciał zbadać dłonie wartownika, ale widząc grymas bólu na jego twarzy, zrezygnował. Wojnicz zadrżał przez sen. Doktor przejrzał swoją torbę, przygotował piłki i dłuta do wyparzenia. Potem sobie przypomniał, że nie ma spirytusu do dezynfekcji. Zaklął szpetnie, a Wojnicz otworzył oczy.

– Może nie trzeba ciąć? – zapytał z nadzieją.

– Trzeba. Ale najpierw muszę zdobyć spirytus.

Wojnicz pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Kiedyś byłem aktorem… – wybełkotał.

Doktor odpowiedział długim westchnieniem. Już dawno nabrał wyrozumiałości dla ludzi chcących koniecznie opowiedzieć historię własnego życia. Czekał więc cierpliwie.

– Kiedyś byłem aktorem… – powtórzył Wojnicz. – Pół życia spędziłem na scenie. Jak ja pięknie grałem… Do dziś pamiętam: *O ukochana siostro ma, Ismeno***… Piękne czasy. Nie to co teraz, tylko brud, syf i ciemność.

Nie zapomniałem, jak było kiedyś. Chcesz, doktórze, to opowiem ci historię powstania ostrołęckiego Mauzoleum…

– Nie ma takiej potrzeby. Jeżeli będę chciał ją poznać, to wiem, gdzie szukać.

Wojnicz potrząsnął kałasznikowem przymarzniętym do rąk.

– Nadchodzi śmierć, żeby pokarać to miejsce – wyszeptał. – Nadchodzą Samarytanie. Myślisz, doktórze, że zaśpiewają nam *Dobry Jezu.*…?

Ponieważ Doktor nie znał odpowiedzi na to pytanie, zadał własne.

– Dlaczego wziąłeś te naboje? Złamałeś regulamin.

– Nie dla mnie regulaminy i zakazy. Ja już dziesięć lat na warty chodzę! Ja dobry szperacz! A Lemański chciał się jeszcze zabawić. Zanim przyjdą Samarytanie. Tak jak kiedyś ja się bawiłem. *O ukochana siostro ma…* – Wojnicz zamilkł, a potem dodał: – I zapłacił uczciwie, chociaż fałszywymi nabojami…

– Powtórz to jeszcze raz.

– *O ukochana…*

– Nie to. Powtórz to o nabojach.

– To ślepe pestki… – wybełkotał stary Wojnicz. – Zwykłe ślepaki, chociaż ładnie podrobione. Żadnych rysek, otarć. Wyglądają jak nowe. Starczy jednak któryś powąchać i już wiadomo…

Doktor złapał się za głowę, gdyż wszystko nagle stało się dla niego jasne: w ich małej społeczności pojawił się osobliwy starzec rozdający naboje. Starzec o gołębim sercu. Kochający ludzi. Bogobojny. Dobry Samarytanin. Doktor chciał jeszcze o coś zapytać, ale nie zdążył, bo już stary Wojnicz mocno spał. Doktor wyszedł na paluszkach.

Po opuszczeniu lazaretu Doktor udał się pod barak Starca. Przystanął w cieniu ściany i cierpliwie czekał. Jego wytrwałość została nagrodzona: wkrótce drzwi się otworzyły i z baraku wyszedł Starzec.

Ruszył środkiem poziomu, a podążające za nim draby dźwigały otwartą skrzynkę z nabojami. Starzec co chwilę zanurzał w niej dłoń i rozrzucał

naboje jak dobrotliwy siewca zboże. Z każdej strony otaczali go ludzie na kolanach. Ołów brzęczał na betonie. Tłum powoli się przerzedzał: biedacy unosili zebrane naboje w kieszeniach, zawiniątkach ze szmat, czapkach, hełmach, w zaciśniętych dłoniach.

Doktor zaszedł Starcowi drogę.

– O, to znowu ty? Przyszedłeś po więcej? – Starzec cisnął pod nogi Doktora garść naboi. Zmarszczył brwi zdziwiony brakiem reakcji.

– Dlaczego pan to robi?

– Dlaczego? Wszystko w swoim życiu robię wyłącznie z jednego powodu: bo mogę.

– Kim pan jest?

– Nauczycielem. Uczę innych ludzi nawet bez ich zgody. Wiesz, że kiedyś uczyłem w szkole?

– Jakiego przedmiotu?

– Zgadnij.

Doktor ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Nie wiem, może historii? Albo nie! Z pewnością uczył pan religii.

– Pudło.

– Dobrze. Poddaję się. Więc czego pan nauczał?

– Ekonomii.

Doktor zastygł z otwartymi ustami. Starzec nawet na niego nie spojrzał; odszedł, prowadząc za sobą drabów. W głowie Doktora wciąż rozbrzmiewał brzęk naboi rozsypywanych na betonie. I radosne okrzyki ludzi. Dostrzegł też jednego z cudownie ozdrowiałych szperaczy, który nie zwracając uwagi na krew cieknącą spod bandaży, targał naręcze konserw i chleba z mąki i trocin.

Wkrótce napierający tłum zagarnął Doktora, a gdy zdołał się uwolnić, ze złością poklepał puste kieszenie: został ograbiony z ostatnich naboi.

Wzruszył tylko ramionami.

Szedł przez Mauzoleum w przedziwnym otępieniu podobnym do snu.

Wokół niego przepływał tłum ludzi, lecz Doktor nie zwracał na nikogo uwagi. Na chwiejnych nogach dotarł do baraku Komendanta. Zapytał strażników, czy może wejść do środka.

– Czekaj! Komendant właśnie je śniadanie!

– To pilna sprawa. Muszę z nim rozmawiać jak najszybciej.

Strażnicy w końcu ulegli i Doktor mógł przekroczyć próg baraku. Zatrzymał się tuż za drzwiami z bezradnie opuszczonymi rękoma i wzrokiem wbitym w podłogę. Komendant siedział za biurkiem nad talerzem z pieczonym mięsem. Popatrzył mądrymi oczyma na Doktora.

– Dlaczego przerywasz mi posiłek?

Doktor przestąpił z nogi na nogę, uniósł głowę i zaczął opowiadać o nocnych wydarzeniach. Mówił o starym Wojniczu z odmrożonymi rękoma, o Lemańskim i jego nabojach, o właścicielu burdelu, który podniósł ceny, mówił o drożejącym chlebie i spirytusie, w końcu zaczął opowiadać o przedziwnym Starcu rozdającym naboje. Komendant zmrużył oczy, próbując zrozumieć opowiadaną historię, po czym zniecierpliwiony przywołał strażnika i kazał dać Doktorowi po mordzie. Po upływie chwili potrzebnej, żeby Doktor pozbierał się z podłogi i otarł krew z rozciętych warg, historia nabrała ostatecznego kształtu.

– Przybył do nas bogobojny starzec, ciągnąc za sobą dwukółkę wypełnioną nabojami. Po przekupieniu Lemańskiego wszedł na teren Mauzoleum, gdzie zaczął rozdawać te swoje naboje. Lemański przekupił innego strażnika, Wojnicza, i zamiast na wartę, poszedł do burdelu. Zdrożał też chleb.

– Mów dalej…

– Przyszli handlarze od Samarytanów i sprzedali wszystko za podwójną cenę. Powiedzieli, że wrócą za tydzień. Wszystkie ceny poszły w górę. Nikt nie wie dlaczego.

Komendant z ciężkim westchnieniem odsunął talerz. Siedział przez chwilę nieruchomo, a następnie rozkazał przyprowadzić Lemańskiego,

Wojnicza, właściciela burdelu i jednego z miejscowych handlarzy. Doktor stał pod ścianą ze spuszczoną głową. Krew z rozbitej wargi kapała na podłogę.

Po kilku minutach strażnicy przyprowadzili wymienionych ludzi, z wyjątkiem Wojnicza, który spał pijany w lazarecie. Komendant wysłuchał kolejno opowieści Lemańskiego, właściciela burdelu i przypadkowego handlarza, a potem nakazał wyprowadzić ich za barak i urwać im jaja.

Kiedy już strażnicy wyciągnęli przerażonych mężczyzn, Komendant zwrócił twarz w stronę Doktora. Za ścianą rozległ się przeraźliwy krzyk Lemańskiego. Doktor zadrżał.

– W naszej społeczności każdy pełni jakąś funkcję – powiedział Komendant. – Ludzie uczciwi, ale niezbyt lotni, zostają strażnikami lub żołnierzami. Nieuczciwi zwykle imają się handlu. Ciekawscy wychodzą na powierzchnię i robią za szperaczy. Ludzie nijacy po prostu egzystują w barakach. Jest też miejsce dla takich jak ty, doktorze: uczciwych, niezbyt lotnych, ale mających fach w rękach. Tacy pełnią ważną funkcję: leczą innych, uczą, pracują dla dobra wspólnoty. W każdej społeczności musi się też znaleźć człowiek, który jest uczciwy, mądry, odważny i potrafi pociągnąć za sobą resztę. Jak się z pewnością domyślasz, u nas takim człowiekiem jestem ja.

Doktor tylko skinął głową. Komendant zapalił papierosa i dodał:

– Dlatego nie mam do ciebie żalu, doktorze, że nie zdołałeś ogarnąć całej grozy sytuacji…

Słowa Komendanta przerwał rozpaczliwy krzyk dobiegający zza ściany. Doktor natychmiast rozpoznał głos właściciela burdelu. Uśmiechnął się złośliwie.

– Ten dziwaczny starzec wprowadził do naszej społeczności tysiące nabojów… – mówił dalej Komendant. – Taka ilość z pewnością zatrzęsie naszą gospodarką. Stąd nagły wzrost cen i usług.

– Nie rozumiem.

– I dlatego stoisz przede mną. Ja przejrzałem wszystko na wylot.

Za ścianą rozległ się przejmujący krzyk handlarza. Komendant wstał.

– Chodź za mną, doktorze. Pokażę ci, jak załatwia się takie sprawy.

– Jest jeszcze jedna rzecz…

– Co takiego?

– Te naboje są fałszywe. Nie nadają się do strzelania. Można nimi tylko handlować.

Komendant obdarzył Doktora litościwym spojrzeniem.

– Do tego też się nie nadają.

– Dlaczego? To nielogiczne.

– Wręcz przeciwnie. W dawnych czasach moneta była warta tyle, ile kruszec, z którego została wykonana. Mówiono: moneta na wagę złota. Dziś funkcję złota pełni możliwość zabijania innych ludzi. Jeżeli tymi nabojami nie można nikogo zabić, są nic niewarte. To złom.

– Więc po co to wszystko?

– Żeby wprowadzić chaos. Kiedyś nazywało się to hiperinflacją. Pieniądze nie miały żadnej wartości, dobra drożały w zastraszającym tempie, a ludzie wychodzili na ulice… Buntowali się. A potem zwykle pojawiali się obcy i zabijali wszystkich.

Skrzypnęły otwierane drzwi i do baraku weszli strażnicy z rękoma ubrudzonymi krwią aż do łokci. Ostatni z nich odstawił pod ścianę nożyce do cięcia drutu.

– Rozkaz wykonany – zameldował. Wskazał głową Doktora i zapytał: – Tego też?

Doktor poczuł bolesne mrowienie w pachwinach. Przełknął ślinę. Rozejrzał się bezradnie, a gdy napotkał wzrok Komendanta, znieruchomiał ze strachu.

– Zastanawia mnie jedno… – mruknął Komendant, obracając w palcach papierosa. – Jak myślisz, doktorze, która forma jest prawidłowa: naboi czy nabojów?

Doktor zamrugał powiekami.

– Jakie to ma znaczenie? – szepnął.

– Obecnie żadnego. Dawni językoznawcy również tego nie rozstrzygnęli. A przecież każdą sprawę trzeba doprowadzić do końca. Rozwiać wszelką wątpliwość. Dzięki temu można uniknąć problemów w przyszłości.

Z baraku wyszli w asyście uzbrojonych strażników. Prowadził ich Komendant, tuż za nim Doktor niemrawo przebierał nogami. Wspięli się na pierwszy poziom i zatrzymali na środku bazaru, pomiędzy straganami.

– Gdzie jest ten stary głupiec? – zapytał Komendant.

Strażnicy szybko wmieszali się w tłum, a po kilku minutach wrócili, ciągnąc ze sobą rozwrzeszczanego Starca. Musiał się mocno opierać, bo już zdążyli podbić mu prawe oko i złamać nos. Następnie cisnęli Starca do stóp Komendanta, kopniakami pozbawiając go resztek godności.

– Czy ktoś z nim był? – zapytał Komendant.

– Dwaj miejscowi szperacze. Uciekli na nasz widok.

– A naboje?

– Zostały tylko puste skrzynki. Rozdał wszystko.

– Niedobrze. – Komendant stanął na szeroko rozstawionych nogach, otworzył kaburę z pistoletem i spojrzał z góry na Starca. – Dlaczego nam to zrobiłeś? – zapytał.

– Co takiego?

– Przywlokłeś się tu ze skrzynkami nabojów…

– Nikt nie może mi tego zabronić.

– Mylisz się. Kto cię przysłał?

– Nikt. Bóg.

– Posłuchaj mnie, starcze… – Ostatnie słowo Komendant wypowiedział z drwiną. – Powtórzę ostatni raz: kto cię przysłał? Samarytanie? – Dla podkreślenia własnych słów przydepnął dłoń leżącego starca. – Kto?

– Litości… Powiem!

– Kto? Samarytanie?

Starzec przytaknął z ciężkim westchnieniem. Komendant pokiwał głową.

– Założę się, że za grodzią już czekają z karabinami, minami i wszystkim, co jest potrzebne, aby zdobyć schron. Ci dobrotliwi Samarytanie. Te diabły z piekła rodem.

Starzec ponownie westchnął. Komendant również westchnął, a potem go zastrzelił.

Zarządzono zbiórkę przy wejściu do Mauzoleum. Na wezwanie miał się stawić każdy człowiek zdolny utrzymać karabin, siekierę, nóż lub kamień. Mauzoleum rozbłysło światłem lamp łojowych i ręcznych latarek. Z baraków przybyli wystraszeni mieszkańcy, wszyscy uzbrojeni i jednakowo zdziwieni.

– Oszukano was! – wykrzyknął Komendant ze stopą wspartą na trupie starca. – Oszukano was! – powtórzył. – Lecz ja przywrócę porządek temu miejscu. Nie pozwolę, żeby zniszczyła nas inflacja!

Tłum zaszumiał, rozległy się gniewne okrzyki. Komendant uspokajająco podniósł dłonie. Doktor przezornie cofnął się pod ścianę. Przestraszeni mieszkańcy otoczyli Komendanta.

– Przed czym chcesz nas bronić? – zapytał niepewny głos z tłumu.

– Przed wami samymi! – odpowiedział Komendant. – Dziś jesteście syci! Jest wam dobrze, macie dach nad głową, zapasy jedzenia i naboje! W tej krótkiej chwili jesteście dawną pieprzoną klasą średnią! Ale tylko się rozejrzyjcie! Jutro nie będzie was już na nic stać! A wtedy skoczycie sobie do gardeł! I będziecie zbyt słabi, żeby odeprzeć atak Samarytan! – Zamilkł. Popatrzył tryumfalnie na twarze otaczających go ludzi. – To ich wina! – wykrzyknął. – To ci podli Samarytanie przysłali tu starca, żeby swoimi nabojami namieszał wam w głowach! Ale ja na to nie pozwolę! Kolejny raz obronię to miejsce!

Tłum ponownie zaszumiał. A potem odezwały się pojedyncze głosy:

– Prowadź, Komendancie! Ty wiesz najlepiej, co trzeba robić!

– Wiem. I zrobię to!

Przed wejściem stanęła prowizoryczna barykada, a przy drzwiach rozpalono duże ognisko. Doktora odesłano do lazaretu. Wrócił posłusznie. Komendant zachrypniętym głosem wydawał dalsze rozkazy.

– Idą po nas… – szeptano w tłumie.

– Idą…

Wysłano małego chłopca, żeby z uchem przyciśniętym do stalowych drzwi Mauzoleum nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz. Maluch stał zgarbiony z policzkiem przytulonym do metalu. Nagle oderwał się od grodzi i pędem wrócił do Komendanta.

– Słychać jakieś kroki i szuranie!

– Idą…

W lazarecie pijany Wojnicz spał z prawą stopą w wiadrze na siki. Pomiędzy prętami koksownika tlił się słaby ogień. Doktor wszedł za zasłonę, przykucnął nad martwym Dimą.

– Widzisz, na co nam przyszło? Ty już sztywny, to nic nie zobaczysz. Idą na nas Samarytanie. Będzie straszna bitwa, będą chóralne śpiewy…

Za zasłoną coś się nagle poruszyło. Doktor poderwał się i spojrzał przez dziurę w worku: na progu lazaretu stali Komendant i dwaj strażnicy. Widok nożyc do cięcia drutu w rękach jednego z nich sprawił, że Doktorowi zaschło w gardle.

Wstrzymał oddech. W tej samej chwili usłyszał szelest za plecami. Powoli odwrócił głowę. Stała przed nim naga Ania owinięta tylko brudnym prześcieradłem.

– Co robisz? – wymruczała.

Doktor dotknął palcem wskazującym ust.

– Co robisz? – powtórzyła szeptem. – Kim są ci ludzie?

– To Komendant ze swoimi psami. Nie martw się. Idź spać.

– Po co tu przyszli?

– Po mnie. Idź spać.

Przestraszona dziewczyna wycofała się z Trupiarni, a Doktor odważnie

wyszedł zza zasłony. I znieruchomiał na widok pistoletu w dłoni Komendanta.

– Mamy jeszcze trochę czasu… – mruknął Komendant. – My już się przygotowaliśmy, a oni jeszcze nie zdążyli rozłożyć ładunków wybuchowych. Trzeba dokończyć porządkowanie tego miejsca. Na Wojnicza czekają nożyce do drutu, natomiast dla ciebie wybrałem łagodniejszą karę. Dostaniesz kulkę w łeb.

Doktor rozejrzał się po lazarecie. Rozłożył bezradnie ręce. Wojnicz zadrżał niespokojnie przez sen.

– Niech pan zaczeka… – poprosił Doktor, padając na kolana.

Zgrzytnął odbezpieczany pistolet. Komendant pokręcił głową.

– Nie! – wycedził przez zęby. – Nie byłoby tego syfu, gdybyś od razu do mnie przyszedł. To na mnie spoczywa odpowiedzialność za wszystkich mieszkańców Mauzoleum. A ja nie zostawiam spraw nierozstrzygniętych. – Uniósł pistolet. – Właściwa forma, doktorze, to: nabojów…

To były jego ostatnie słowa. W tej samej chwili Komendanta i dwóch strażników spowiła chmura dymu prochowego. Ciężkie pociski kałasznikowa cisnęły ich ciała na ścianę. Z otwartych ran trysnęła krew, mundury zaczęły płonąć. W ciszy rozległ się głos:

– Oto boska ręka sprawiedliwości! Jam jest samonaprowadzająca się przepowiednia, strzelba Czechowa i deus eks maszina w jednym… Skurwysyny!

Doktor odwrócił głowę. Przed nim stał Wojnicz z karabinem przymarzniętym do dłoni. Z lufy kałasznikowa unosiła się długa smuga dymu.

– Czuję ręce! – wykrzyknął stary wartownik. – Nie będzie cięcia paluchów!

Doktor popatrzył na zakrwawione ciała, potem na Wojnicza.

– Dlaczego to zrobiłeś, człowieku?

Upuszczony kałasznikow zabrzęczał na podłodze. Wojnicz ostrożnie

złapał zębami za rękawice i wolno zsunął je z dłoni. Popatrzył na swoje zsiniałe ręce.

– Bo pan obiecał mi pomóc… Bo pan wszystkim pomaga.

Doktor z pobladłą twarzą nachylił się nad Komendantem. Przez chwilę szukał pulsu na jego nadgarstku, a potem wyprostował się gwałtownie. Westchnął.

– Wojnicz, zabiłeś nas wszystkich.

– Jak to?

– Bez Komendanta nie zdołamy się obronić. To był jedyny człowiek, który mógł nas powieść do zwycięstwa nad Samarytanami. Teraz wszyscy zginiemy.

Wartownik wyciągnął posiniałe dłonie w stronę Doktora.

– Trzeba będzie obcinać?

– Już nie warto. Samarytanie nadchodzą…

Na twarzy Wojnicza pojawił się paskudny uśmiech.

Po wyjściu z lazaretu ruszyli biegiem na pierwszy poziom Mauzoleum, gdzie za barykadą ustawioną przed stalowymi drzwiami czekali już ludzie z bronią w ręku. Na spotkanie wyszedł im jeden ze strażników.

– Gdzie Komendant?

– Zaraz przyjdzie – skłamał Doktor. – Wszystko przygotowane do obrony?

– Tak. Komendant wszystko pięknie ustawił. Czekamy.

Znów posłano małego chłopca do stalowych drzwi, żeby nasłuchiwał. Wrócił po kilku minutach.

– Słychać głosy… – zameldował. – I chyba cykanie zegara…

W tej samej chwili nastąpiła eksplozja: wyrwane z zawiasów potężne drzwi runęły do wnętrza Mauzoleum. Z kłębów dymu rozległo się przeciągłe wycie Samarytan.

Nadeszli z ciemności przy dźwiękach piszczałek i bębnów. Ich chóralny śpiew niósł się wysoko pod sklepienie Mauzoleum.

Dobry Jezu, a nasz Panie, daj wam wieczne poczywanie…
Światłość wieczna niech wam świec…

Na przedzie szli ciężko opancerzeni żołnierze z miotaczami ognia. Przystanęli przed barykadą, syknęły odkręcane palniki, a już w następnej chwili smoczy płomień zamienił obrońców w dymiące pochodnie. Z szeregów Samarytan wystąpili rębacze, zaczęli ścigać rozbiegane płomyki i gasić je uderzeniami obuchów siekier. Po nich nadeszli księża z ostatnim sakramentem, a na koniec pojawili się podrzynacze, którzy dobijali rannych.

Wkrótce Samarytanie przedarli się przez barykadę, zdeptali trupy obrońców i rozpłynęli po Mauzoleum w poszukiwaniu łupów.

Rozpoczęła się rzeź. I przedziwna msza odprawiana w dymie palonych ciał. I chóralne krzyki mordowanych ludzi.

Zginęli wszyscy strażnicy, żołnierze i szperacze. Potem przyszedł czas na resztę mieszkańców. Pozbawieni dowództwa Komendanta, zamknięci w barakach, ginęli kolejno przy dźwiękach piszczałek i chóralnych śpiewów Samarytan. Betonowa posadzka Mauzoleum spłynęła krwią. Najdłużej bronili się rzeźnicy w Przetwórni, ale oni też padli od ciosów bagnetów i obuchów siekier.

Doktor widział z bliska śmierć Wojnicza: stary wartownik wystrzelał wszystkie naboje, a mając odmrożone dłonie, nie mógł zmienić magazynka w kałasznikowie. Tłukł więc atakujących kolbą karabinu, aż okrutnie skłuty bagnetami, padł przed wejściem do lazaretu.

Samarytanie pognali kobiety i dzieci jako niewolników do swego gniazda. W jednym szeregu, skute łańcuchami, szły małe dzieci, kurwy, matki, żony i córki. Na końcu wlokła się Ania z plecami zakrwawionymi od uderzeń bata.

Ciała mężczyzn ułożono w stertę na miejscu dawnego bazaru. Leżeli dziwnie wychudzeni, ze szponiastymi dłońmi wyciągniętymi ponad głowy i wyszczerzonymi zębami, na których gęstniała czarna krew. Na stertę

rzucono zwłoki Komendanta. U stóp martwego dowódcy ułożono żołnierzy, wśród nich Wojnicza i gadatliwego strażnika. Na koniec Samarytanie zrabowali wszystkie dobra, a puste baraki podpalili.

Doktora znaleźli w Trupiarni. Siedział opatulony w szmaty i wykrzykiwał:

– O Boże, o Boże… Wszystkich zabili, nikogo nie zostawili. Ci dobrotliwi Samarytanie… Wszystko na marne, wszystkie moje starania na marne… Wszyscy umrzemy…

Nie miał racji. Samarytanie zabili wszystkich mężczyzn z wyjątkiem Doktora, którego zostawili na stercie stygnących ciał jako świadectwo własnej łaskawości.

Doktor wciąż mówił sam do siebie.

I znów nikt go nie słuchał.

** Sofokles, *Antygona*, tłum. Kazimierz Morawski, Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, Lwów 1939.

Piotr Dudek

Lekcja odwagi

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

– Spokojnie – szepnął ojciec. – Jeszcze nie… Jeszcze… Jeszcze… Niech się trochę obróci… jeszcze… jesz… teraz!

Wstrzymałem oddech, odczekałem chwilę nie dłuższą niż uderzenie serca i wypuściłem strzałę. Wizg lotek i miękkie uderzenie grotu wbijającego się w pień brzozy, dobre trzydzieści centymetrów nad głową młodej sarny. Koziołek drgnął przestraszony, lecz nim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, drugi pocisk utkwił w jego szyi tuż poniżej podstawy czaszki. Zwierzę podskoczyło, wykonując coś na kształt fikołka, a nim upadło, było już martwe.

Zamierzałem coś powiedzieć, ale ostatecznie rozmyśliłem się i tylko westchnąłem. Nie było sensu silić się na przeprosiny ani tłumaczenia. Wiedziałem, że ojciec ich nie chce i nie potrzebuje.

Podbiegliśmy do koziołka i w milczeniu zabraliśmy się do roboty. W pierwszej kolejności ojciec wyciągnął swoją strzałę, wytarł z krwi i schował do wiszącego na plecach kołczanu, a potem wprawnie, choć z pewnym trudem, wyrwał mój pocisk z drzewa i obejrzał uważnie.

– Nie martw się, było już zupełnie nieźle – rzekł, uśmiechając się pokrzepiająco. – Robisz ogromne postępy.

– Nieprawda! Za każdym razem to samo. Jeśli tak dalej pójdzie, nigdy niczego nie upoluję!

– Przecież już upolowałeś – stwierdził ojciec. Spojrzałem na niego bez zrozumienia, lecz nim jeszcze dostrzegłem szeroki uśmiech i wesołe iskierki w przymrużonych oczach, domyśliłem się, że wpadł na kolejny idiotyczny żart, który w zamierzeniu miał poprawić mi humor. – A to wielkie, piękne drzewo, które…

– Przestań! – Zabrzmiało to znacznie ostrzej, niż powinno. Dodałem więc prędko: – Przestań, dobra? Jestem po prostu beznadziejny i doskonale o tym wiesz!

Strzelanie z łuku ćwiczyłem już od dobrych kilku miesięcy i szło mi całkiem nieźle, ale tylko dopóty, dopóki cel był zrobiony ze starych szmat i wisiał spokojnie zawieszony na drzewie. Na polowaniach, na które ojciec zabrał mnie parokrotnie, z jakiegoś powodu za nic nie mogłem trafić w żywy cel.

– A teraz to już gadasz bez sensu. Kiedyś w końcu ci się uda. – Tata puścił mimo uszu mój wcześniejszy wybuch.

Zamierzałem coś odburknąć, ale nie dopuścił mnie do głosu.

– No, dosyć marudzenia, musimy się śpieszyć – rzekł i zwrócił mi strzałę. – Masz, jeszcze ci się przyda.

Stałem przez chwilę nadąsany, a potem skinąłem niechętnie głową; ojciec jak zwykle miał rację – zapach krwi na pewno rozniósł się już po lesie, więc nie było ani chwili do stracenia.

Szybkie oględziny zdobyczy od razu poprawiły mi humor, ponieważ potwierdziły to, czego nie mogliśmy być pewni, obserwując zwierzę z daleka – koźlątko było czyste, nie miało żadnych widocznych śladów mutacji.

Zadowoleni rozciągnęliśmy jutowy, gęsto połatany wór, który nosiłem w skórzanym plecaku, i – z niejakim trudem – upchnęliśmy w nim zdobycz. Następnie wziąłem kołczan od ojca, a on związał tobół i za pomocą specjalnie doszytych szelek przytroczył go sobie do pleców, posapując przy tym ciężko i złorzecząc cholernej starości. Gdy już się z tym uporał,

ruszyliśmy do domu.

– Ciii… – Nim zdążyliśmy przejść choćby pięćdziesiąt metrów, tata przystanął nagle i ostrzegawczo uniósł rękę. A potem krzyknął: – Wij! Uciekaj!

Ja też go usłyszałem; dziesiątki koszmarnie szybkich odnóży przedzierających się przez opadłe dawno liście. Przypominało to szum wiatru; narastający i coraz gwałtowniejszy.

Ojciec puścił się biegiem, a ja popędziłem za nim ile tylko sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Prawie dorównywałem ojcu wzrostem, ponadto byłem o te dwadzieścia parę lat młodszy i biegłem niemal bez obciążenia, lecz mimo to ledwie dotrzymywałem mu kroku.

– Kurwa! Dogania nas! Na to drzewo, już! – Tata wskazał ręką dziwacznie pokrzywiony, ogromny buk.

Bez problemów wdrapałem się na najniższe konary, znajdujące się jakieś półtora metra nad ziemią, a ojciec, nim poszedł w moje ślady, podał mi swój łuk. Gdy odebrałem broń, tata również wspiął się na gałąź i przykucnął obok mnie. Zdjął wór z pleców, rozwiązał jednym pociągnięciem za sznur i zrzucił sarnę na ziemię, licząc, że mutant zadowoli się padliną.

– Właź wyżej!

Posłusznie wgramoliłem się na następną gałąź, a gdy spojrzałem w dół, ogromny robal przemknął właśnie obok truchła sarny, zupełnie je ignorując, i rozpoczął wspinaczkę po pniu; instynktownie, bezmyślnie, nie tracąc czasu na kalkulowanie ryzyka czy jakiekolwiek planowanie ataku.

Wije są urodzonymi maszynami do zabijania – promieniowanie nie tylko powiększyło je do niebotycznych rozmiarów, ale też uczyniło bardzo agresywnymi; atakują dosłownie wszystko, co stanie im na drodze, nawet kiedy nie polują. Ojciec mówił, że przed mutacją były nie dłuższe od kciuka, unikały światła słonecznego i zadowalały się owadami. Obecnie natomiast, żeby się nażreć, potrzebowały czegoś większego. Znacznie

większego.

– Uważaj! – krzyknąłem, jednakże niepotrzebnie.

Ojciec czekał już na drapieżcę z ciężką maczetą w ręce i najgorszym przekleństwem na ustach.

Kiedy tylko długie na kilkadziesiąt centymetrów, ruchliwe czułki robala dotknęły jego skórzanych butów, tata ciął szybko, odrąbując fragment jednego z nich. Wij zamarł w miejscu, a nawet trochę się cofnął zdezorientowany, ale nie przerwał polowania. Niemal natychmiast ponownie ruszył w naszą stronę. Ojciec też był już jednak gotowy do kolejnego starcia. Ku mojemu przerażeniu odrzucił maczetę, a potem objął rękami rosnący nad głową konar i czekał. Gdy okrągły ciemnobrązowy łeb mutanta znalazł się na wysokości jego stóp, tata uwiesił się na gałęzi i kopnął stwora z rozmachu.

Wij, odrzucony siłą uderzenia, oderwał się od pnia i spadł na ziemię. Wylądował na grzbiecie i przez ułamek sekundy bezradnie przebierał odnóżami w powietrzu, ale niemal natychmiast okręcił się wokół własnej osi i ponownie rozpoczął wspinaczkę. Lecz nim mutant znalazł się w połowie drogi, ojciec zeskoczył z gałęzi. Wylądował pewnie na nogach, błyskawicznie podniósł maczetę i ciął oburącz. Próbował trafić w łączenie między segmentami ciała, gdzie pancerz jest najsłabszy, ale stwór poruszał się zbyt szybko.

Ojciec chybił.

Cios co prawda dosięgnął celu, a przy tym był na tyle silny, że ostrze przebiło się przez chitynową osłonę, niemal rozcinając mutanta na dwoje, nie zdołał go jednak zabić.

Stwór odpadł od drzewa i zaczął się wić z bólu, ale ojcu nadal groziło ogromne niebezpieczeństwo: upadł podcięty przez rzucającego się na wszystkie strony robala i dostał się w zasięg jego szczęk. Co gorsza, nie miał już czym się bronić; łuk spoczywał bezużytecznie w moich rękach, a maczeta tkwiła w cielsku drapieżcy. Na szczęście wij za bardzo cierpiał,

by zwracać na cokolwiek uwagę. Ojciec wykorzystał to i zaczął się wycofywać, ani na moment nie spuszczając potwora z oczu. Bestia wyczuła jednak ruch, a instynkt mordercy wziął górę nawet nad bólem; uspokoiła się momentalnie, obróciła łeb w stronę ofiary, intensywnie poruszając czułkami i gotując się do ataku.

Przez cały ten czas stałem jak sparaliżowany, choć wszystko we mnie krzyczało, że muszę działać, że powinienem zrobić… coś, cokolwiek. Albo lepiej: wszystko. Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby strzelić z łuku, lecz wiedziałem, że to nie może się udać; nawet gdybym trafił, strzała najprawdopodobniej nie zdołałaby się przebić przez chitynowy pancerz. A nawet jeśli, zamiast zabić, tylko bardziej bym stwora rozjuszył. Kiedy mutant skupił uwagę na ojcu, zrozumiałem, że to nieważne, że muszę spróbować odciągnąć jego uwagę, choćby na moment. Dla zachowania równowagi oparłem się ramieniem o pień, odrzuciłem łuk taty – i tak nie dałbym rady go naciągnąć – i zdjąłem z pleców swój; krótszy, o mniejszej sile naciągu, niemal zabawkę, i nałożyłem strzałę. Ręce trzęsły mi się jednak tak bardzo, że nie zdołałem napiąć cięciwy. Po trzeciej czy czwartej nieudanej próbie opuściłem broń i zwyczajnie rozpłakałem się z bezsilności i strachu.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że wszystko to wydarzyło się w ciągu kilku sekund. Dla mnie jednak tamta chwila – najgorsza w całym dotychczasowym życiu – trwała wieczność. I miała powtarzać się jeszcze po tysiąckroć, za każdym razem gdy w myślach i snach wracałem do tego przeklętego dnia.

Ojciec tymczasem walczył o życie. Wij, ciężko, może nawet śmiertelnie, ranny, nie był już taki skory do bezmyślnej szarży; widocznie przestał postrzegać człowieka jako bezbronną ofiarę, a ujrzał w nim innego drapieżnika; zagrożenie, z którym należy się liczyć.

Na razie żaden z przeciwników się nie ruszał, jakby czekając na ruch tego drugiego, lecz kolejny atak wija mógł nastąpić w każdej chwili. Ojciec

tymczasem siedział na ziemi bez żadnej broni.

Patrzyłem na to wszystko przez łzy, z łukiem w bezużytecznych rękach, przekonany, że zaraz wydarzy się coś strasznego.

Nie zrozumiałem – bo i jak miałbym zrozumieć? – co się dzieje, kiedy wij wreszcie zaatakował, a ojciec uniósł w jego stronę wyprostowaną rękę.

Pierwszy ogłuszający grzmot zaskoczył i przeraził mnie tak bardzo, że straciłem równowagę i spadłem z drzewa. Nim wylądowałem na ziemi, dźwięk się powtórzył, gdzieś bardzo blisko, tuż obok, rozrywając mi uszy i kancerując duszę. W momencie uderzenia o ziemię poczułem przeszywający ból w całym ciele, ale nie zwróciłem na to najmniejszej uwagi. Po prostu zwinąłem się w kłębek, zakryłem uszy rękami i potulnie czekałem na śmierć, nawet nie próbując pojąć, co się właśnie stało.

Śmierć nie nadeszła. Zamiast niej ze stuporu wyrwało mnie łagodne poszturchiwanie. W pierwszej chwili pod wpływem tego dotyku skuliłem się jeszcze bardziej, lecz szybko zrozumiałem, że na moim ramieniu spoczywa ciepła ludzka dłoń, a nie sztywne odnóże zmutowanego wija.

Nieśmiało otworzyłem oczy i ujrzałem pochylonego nade mną ojca.

Płakał.

Mimo łez wyraźnie widziałem jednak uśmiech; szeroki, radosny i wyrażający trudną do opisania ulgę.

Ojciec mówił coś, ale potworny wizg w uszach zagłuszał słowa niemal zupełnie. Słyszałem wszystko jakby z daleka, niczym gasnące już echo prawdziwych dźwięków. Chciałem mu to wyjaśnić, więc zacząłem krzyczeć, by przebić się przez rozsadzający mi głowę hałas. Ojciec pokazał na migi, że mam mówić ciszej, i dał do zrozumienia, że wie, co chcę mu przekazać. A potem, zupełnie niespodziewanie – nigdy wcześniej tego nie robił – przygarnął mnie do siebie i mocno, mocno przytulił. Poddałem mu się bez oporu i również przylgnąłem do niego niczym małe, przerażone dziecko. Rozpłakałem się na nowo, a tata kołysał mnie i uspokajająco głaskał po głowie.

Siedzieliśmy tak może godzinę, może całą wieczność, nie wiem. Wydaje mi się, że usnąłem na jakiś czas. W końcu jednak zacząłem dochodzić do siebie. Palące wstydem łzy wyschły, a przyprawiający o ból głowy wizg zaczął cichnąć, pozwalając mi wreszcie zebrać myśli.

Pierwsze, co sobie uświadomiłem, to, że zapaskudziłem spodnie. Zażenowany spróbowałem wyrwać się ojcu w płonnej nadziei, że niczego jeszcze nie poczuł – bo czy mogłem przynieść większą hańbę temu nieugiętemu wojownikowi? – ale on nie pozwolił mi się ruszyć.

– Tato, ja… – odezwałem się, ale znów za głośno, co ojciec natychmiast dał mi do zrozumienia. Skinąłem głową, a potem mówiłem już znacznie ciszej, raczej czując wibracje strun głosowych, niż faktycznie słysząc własne słowa. Koszmarne uczucie. – Przepraszam, tato. Chciałem pomóc, chciałem coś zrobić, strzelać, ale…

Ojciec przerwał, nim znów się rozpłakałem.

– Już dobrze, synku… Już dobrze, Kacperku… Już wszystko dobrze… – powtarzał jak litanię, a ja z wdzięcznością wsłuchiwałem się w jego głos. Nie potrafiłbym jednak powiedzieć, czy większe ukojenie przyniosły mi słowa ojca czy sam fakt, że je w ogóle słyszę; wprawdzie nadal niewyraźne i zniekształcone, jakbym miał wodę w uszach, ale jednak słyszę. – Nic nie mogłeś zrobić. Nie zdołałbyś mi pomóc, za to mogłeś przeszkodzić i niepotrzebnie przy tym zginąć. Na szczęście zachowałeś zimną krew, postąpiłeś jak prawdziwy mężczyzna. Jestem z ciebie dumny, słyszysz? Dumny jak nigdy dotąd!

Chyba naprawdę potrzebowałem tych słów, bo z łatwością uwierzyłem, że moje tchórzostwo było po prostu roztropnością. Z czasem ta iluzja miała rozpaść się na milion kawałków, z których każdy będzie mi cierniem w duszy, ale na razie wystarczyła, żebym poczuł się lepiej.

– A… A co się właściwie stało? Co to był za dźwięk, te… grzmoty?

– Spójrz. – Ojciec wskazał na leżące nieopodal ścierwo.

Wij zastygł na dobre, powykręcany nienaturalnie, wręcz groteskowo.

W jego łbie ziały dwie niewielkie, asymetryczne dziury. Nigdy nic podobnego nie widziałem, a to, co przeszło mi przez myśl w pierwszej kolejności, odrzuciłem jako niemożliwe.

– Co to? – Wyciągnąłem rękę w stronę truchła.

– Ostrożnie! – upomniał mnie ojciec. – Kropla jadu na palcu i pożałujesz, że nie zdążyłeś poderżnąć sobie gardła, nim zaczął działać.

Cofnąłem rękę, a potem, by ukryć zawstydzenie kolejnym aktem upadlającego tchórzostwa, zapytałem:

– Ale… ale jak? Co mu zrobiłeś?

– Użyłem… tego. – Ojciec, ku mojemu totalnemu zaskoczeniu, wyjął z kieszeni przedmiot, który dotąd widziałem tylko na obrazkach. – Wiesz, co to jest?

Skinąłem powoli głową.

– Pistolet… Prawdziwy?

Ojciec parsknął śmiechem.

– Gdyby było inaczej, teraz byłbyś już sierotą.

Niewielki metalowy przedmiot wcale nie wyglądał groźnie i nie budził żadnego respektu. W pierwszej chwili poczułem się wręcz rozczarowany. Nie tak sobie wyobrażałem tę legendarną machinę zagłady, która w Starej Erze – bo tak dzieliliśmy czas przed wojną i po niej: na Ery – była podobno powszechna na całym świecie, a która mnie aż do dzisiaj wydawała się mitem.

– Skąd go masz?

– Zdo… Znalazłem dawno temu, w mieście – wyznał z wyraźną niechęcią ojciec. – W czasach kiedy jeszcze w ogóle miałem po co tam chodzić… Przepraszam, że nigdy ci o nim nie powiedziałem, ale taka broń to zbyt wielka pokusa, a równocześnie ogromne zagrożenie. Gdyby ktoś się dowiedział, że mam pistolet… Nawet nie wyobrażasz sobie, co ludzie mogliby zrobić, żeby go zdobyć. – Spojrzał w taki sposób, że zrobiło mi się słabo. Gniew, strach, odraza, wstyd… Wszystko to odbiło się na jego

twarzy aż nazbyt wyraźnie, na moment zmieniając ją nie do poznania. – A ty do niedawna byłeś jeszcze dzieckiem, nie chciałem ryzykować… Rozumiesz?

Rozumiałem.

– Zresztą to już i tak chyba nieważne – dodał po chwili – bo zostały mi tylko trzy naboje. Ale tego też nikt nie musi wiedzieć, zgoda?

– Wiadomo.

– Ech… Jeśli czujesz się na siłach, to wracajmy lepiej do domu… – Ojciec raczej zapytał, niż stwierdził, chowając pistolet. – Im szybciej się stąd zmyjemy, tym lepiej. Nie powinniśmy byli zapuszczać się tak blisko Żaru.

Kiedy spróbowałem się podnieść, cały lewy bok zapłonął promieniującym bólem – pamiątką po upadku z drzewa – ale na szczęście jakoś zdołałem to ukryć przed ojcem. Natomiast upokarzający smród przybrał na sile.

– To nic, nie przejmuj się. Na wojnie za takie drobnostki się nie rozstrzeliwuje – zażartował tata. – No… Na razie musisz wytrzymać, ale niedaleko jest potok, będziesz mógł się umyć.

Ojciec z powrotem upchnął sarnę w jutowym worze, a ja w tym czasie zebrałem naszą broń. Łuki i strzały znalazłem pod drzewem, nieuszkodzone, lecz kiedy podszedłem do wija, żeby wyrwać maczetę, zawahałem się, targany strachem i obrzydzeniem – maziowate wnętrzności stwora cuchnęły gorzej niż ja.

– Mieliśmy szczęście, że to był młody, nie w pełni rozwinięty osobnik – skonstatował ojciec, przerywając pracę. – Mogliśmy trafić gorzej, i dużo gorzej.

Spojrzałem na stwora z nową, podszytą grozą fascynacją. Wij miał na oko dwa metry długości i trzydzieści, czterdzieści centymetrów szerokości. Licząc odnóża, dwa razy więcej. Musiał ważyć ze dwadzieścia kilogramów. Jeśli spotkanie z czymś takim można nazwać szczęściem, to nie chciałbym trafić na dorosły okaz.

– Pomóc ci?

Pytanie ojca wyrwało mnie z zadumy. Zaprzeczyłem, złapałem rękojeść maczety, wsparłem się nogami o truchło robala i szarpnąłem z całej siły. Ostrze wyszło z pewnymi oporami, a każdy ruch sprawiał mi ból, ale cieszyłem się z tego, bo mogłem skupić uwagę na nim, niemal zapominając o ciążącym w spodniach gównie.

Obiecany potok rzeczywiście był dosyć blisko, choć zarazem o wiele dalej, niżbym sobie tego życzył. Wartki nurt schodził w dolinę korytarzem na tyle głębokim, że mogłem schować się w nim cały. I to, prawdopodobnie, ocaliło mi życie.

Szorowałem się pośpiesznie w lodowatej wodzie, a ojciec czekał cierpliwie na górze, gdy z nieokreślonej strony rozległ się dziwnie zmodulowany, ale wyraźny rozkaz:

– Nie ruszaj się! Mam cię na muszce!

Posłusznie zamarłem w bezruchu, równocześnie zaskoczony i przerażony. Ludzie? Tutaj? Skąd?

– Ręce w górę i odwróć się! Tylko powoli! – Znów ten sam, dziwnie modulowany głos.

– Dajcie mi chociaż skończyć! – odkrzyknął niespodziewanie tata. – Muszę się odlać!

W tej samej chwili coś zsunęło się do koryta potoku, tuż obok mnie. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, jak moja broń zjeżdża po zboczu, pchnięta delikatnym kopniakiem. Zaskoczony spojrzałem na ojca, a on, gdy tylko złapał moje spojrzenie, powiedział półszeptem coś, co niemal całkowicie zostało zagłuszone przez wizg w mojej głowie. Poklepałem się szybko po uchu, więc powtórzył polecenie, tym razem już prawie bezgłośnie. Słów oczywiście znów nie zrozumiałem, ale ruch warg i naglące spojrzenie wystarczyły. Skinąłem głową i rozejrzałem się za miejscem, w którym mógłbym się schować.

Kilka metrów w górę nurtu dostrzegłem naturalną półkę wystającą nad

korytem potoku. Stworzona przez splątane korzenie drzewa, spod którego rwąca woda podmyła grunt podczas jednej z coraz częstszych powodzi, w żadnym razie nie nadawała się na prawdziwą kryjówkę, ale przy odrobinie szczęścia, jeśli obcy nie będą mnie szukać, może spełni swoje zadanie. Zresztą w pobliżu i tak nie było nic lepszego. Zebrałem więc ubrania i broń i jak najciszej podbiegłem w tamto miejsce, a potem zwinąłem się w kłębek i czekałem w napięciu.

– Odłóż broń, tylko powoli! – Usłyszałem gdzieś nad sobą. Tym razem głos, choć również zniekształcony, wyraźnie należał do kogoś innego – Pistolet też! Wiemy, że go masz!

– Kim jesteście? – zapytał ojciec. – I po cholerę wam te kombinezony? Już od dawna praktycznie nie ma tu radiacji.

– Zamknij się i odłóż broń!

– Już dobrze, spoko… – Głuche łupnięcie i ojciec zamilkł w pół słowa. Mnie natomiast zalała fala strachu i wściekłości.

– Odbiło ci? Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał jeden z głosów, wyraźnie zirytowany.

– Ten facet musi być cholernie niebezpieczny, widziałeś, jak urządził robala. Nie możemy ryzykować. Związemy go, rozbroimy, a dopiero potem będziemy zadawać pytania.

– No dobra… Tylko co teraz? Zabieramy go do elektrowni? Nie wiem jak wy, ale ja jakoś nie mam ochoty puszczać dupą supernowych i świecić w ciemnościach.

– A jeśli naprawdę nie ma już promieniowania? Typek ewidentnie szlaja się po powierzchni od dawna, a nie wygląda, jakby umierał na chorobę popromienną. Może nawet ma działający dozymetr… Ech, dużo bym dał, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

– Ja też – zgodził się trzeci, milczący dotąd głos; również nienaturalnie przygłuszony – ale za życie oddałbym jeszcze więcej. A jakoś temu skurwielowi nie ufam. Może zmutował, tak jak wszystko dookoła, i na nim

promieniowanie nie robi już wrażenia? Uwierzymy mu i jutro zaczniemy zdychać albo już będziemy martwi. Bierzmy go i spieprzajmy na dół. Szary, pomóż mi dziada przeszukać, może faktycznie ma przy sobie jeszcze coś ciekawego.

Szary zaklął i zaśmiał się jakoś tak ordynarnie, a potem napastnicy zajęli się szabrowaniem dobytku ojca.

Domyśliłem się już, że to maski gazowe zniekształcają głosy obcych, ale wciąż nie mogłem pozbyć się wrażenia nierzeczywiści całej sceny. Zupełnie jakby to wszystko było tylko snem. Albo raczej koszmarem. Znów ogarnął mnie strach, niemal tak samo silny jak podczas spotkania z wijem. Ojciec tym razem jednak naprawdę był bezbronny i całkowicie zdany na łaskę wroga. Oraz na moją pomoc. Ale co może zdziałać przerażony dwunastolatek z łukiem przeciwko co najmniej trzem dorosłym, uzbrojonym facetom?

Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk jednego z mężczyzn:

– Chyba cię posrało! Uśpiłeś pacjenta, to sam se go teraz targaj!

Jego kompan Szary coś odpyskował i po chwili obcy omal nie skoczyli sobie do gardeł. Jednakże, ku mojemu ogromnemu rozczarowaniu, w spór wtrącił się ten trzeci, przekrzykując pozostałą dwójkę.

– Uspokójcie się, do cholery! – rozkazał. – Po prostu go obudzimy i niech sam lezie! Brona, zwiąż mu łapy z tyłu i ocuć jakoś, a ty pakuj fanty. – Tu najwyraźniej zwrócił się do Szarego, bo mężczyzna odszczeknął natychmiast:

– Ach, a jaśnie pan będzie tak sobie po prostu stał i nami dyrygował?

– Mogę jeszcze poganiać cię kopniakami, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej.

– Możesz mi też wylizać rowa. Chcesz?

Znów na moment odżyła we mnie nadzieja, że kłopot z obcymi rozwiąże się sam. Albo chociaż, że zdarzy się jakiś cud i okazja, by uwolnić tatę, a potem uciec.

Niestety…

– Skończcie pajacować i pomóżcie mi! – wtrącił ten zwany Broną. – Coś nie mogę go ocucić. Musiałeś walić tak mocno? Może ma krwiaka, wstrząs mózgu albo inne jakieś gówno i już jest po chłopie?

– Gówno to ty masz zamiast mózgu! – warknął Szary. – Ochlap go wodą, zamiast pieścić. Masz tu potok, nie?

– No, to jest jakiś pomysł…

Nim w pełni uświadomiłem sobie, co te słowa oznaczają, tuż obok mnie przemknęła postać ukryta pod szarą gumą kombinezonu ochronnego. Brona, bo to musiał być on, przykucnął nad taflą wody, może z metr od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą dokonywałem ablucji, ja zaś wstrzymałem oddech i jeszcze głębiej wcisnąłem się pod iluzoryczną osłonę z korzeni. Byłem pewien, że to już koniec. Nawet jeśli Brona nie zauważy moich śladów, to wystarczy, że zerknie w prawo, a wtedy… Zdążę napiąć łuk i strzelić, nim zdejmie z pleców karabin? Albo nim krzyknie? Na pewno nie. A nawet jeśli, to co z Szarym i tym trzecim? Zauważą? Usłyszą? Nie ma wątpliwości. Więc co, uciekać? Zdążę? I co wtedy z ojcem?

Te i inne pytania kłębiły mi się w głowie jak szalone, choć ciało odpowiadało na wszystkie aż nazbyt wyraźnie, przechodząc w doskonale znany mi stan przypominającego paraliż stuporu. Strach pokonał mnie na długo przed tym, nim wróg miał po temu w ogóle okazję.

Brona nie kwapił się jednak do zdemaskowania mojej kryjówki. Na chwilę zastygł w bezruchu, a potem, najwyraźniej w odpowiedzi na własne niespokojne myśli, wzruszył ramionami i na próbę nabrał wody do złożonych w miseczkę dłoni. Materiał kombinezonu dostatecznie uszczelniał prowizoryczne naczynko, więc obcy wstał i powoli ruszył pod górę, całą uwagę skupiając na tym, żeby się nie potknąć. Przeszedł tak blisko mojej kryjówki, że może nawet zdołałbym złapać go za nogę, a mimo to nic nie zauważył. Pomyślałem wtedy, dosyć irracjonalnie, że nie wróżę mu zbyt długiego życia na powierzchni.

I miałem całkowitą rację.

Woda faktycznie zadziałała; usłyszałem, jak ojciec jęknął, ale bandyci nie pozwolili wypowiedzieć mu choćby słowa. Ręce miał związane na plecach, a w usta wepchnięty knebel zrobiony – jak się później przekonałem – z rękawa własnej bluzy.

– Pójdziesz z nami, koleś – oświadczył ten, którego imię dotąd nie padło. – Znajdziemy jakieś spokojne miejsce i pogadamy. A potem… potem się zobaczy. No, idziemy!

Wśród pyskówek i kłótni o to, kto ma nieść naszą sarnę, kto resztę zdobytych na ojcu bogactw, a kto pilnować bezpieczeństwa i eskortować więźnia, mężczyźni ruszyli na zachód.

Kiedy ich głosy ucichły, odetchnąłem z ulgą, że bezpośrednie zagrożenie minęło, lecz poczucie bezsilności i beznadziei nadal nie pozwalało mi się ruszyć. Zresztą dokąd miałbym pójść? Po co? Co mogłem tak naprawdę zrobić?

Nic nie mogłeś zrobić. Nie zdołałbyś mi pomóc, za to mogłeś przeszkodzić i niepotrzebnie przy tym zginąć.

Ojciec miał rację. Za nic nie zgodziłby się, żebym narażał dla niego życie. Nie po to kazał mi się ukryć, abym teraz pchał się wrogom pod nos i ginął bez sensu albo, co gorsza, dał się złapać i został narzędziem, które mogliby wykorzystać przeciwko niemu. Zresztą tata pod każdym względem przewyższał swoich przeciwników, więc byłem pewien, że sobie poradzi – jak zwykle zresztą – i wróci wkrótce, cały i zdrowy, a w dodatku obładowany skarbami. Moja rola była o wiele prostsza: wrócić bezpiecznie do domu i czekać na niego cierpliwie.

Wygrzebałem się ze swojej nory, włożyłem mokre, zimne i wciąż zabrudzone spodnie na goły tyłek – bielizny, znoszonej i przyciasnej, nie opłacało się ratować – i zacząłem układać z patyków napis „DOM”, by zostawić ojcu wiadomość.

Nagle jednak, głośniej nawet niż to przeklęte dzwonienie w uszach,

usłyszałem inne słowa ojca: *Na szczęście zachowałeś zimną krew, postąpiłeś jak prawdziwy mężczyzna. Jestem z ciebie dumny, słyszysz? Dumny jak nigdy dotąd!*

Z kogo jesteś taki dumny, tato? – pomyślałem. Z syna, który nie potrafi walczyć, tylko ucieka albo chowa się gdzie popadnie przed każdym zagrożeniem? Z syna, który beczy przy byle okazji i sra pod siebie ze strachu? Z syna, który gotów jest cię opuścić, gdy grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo?

I wtedy, na samą myśl o tym, że zamierzam uciekać, kiedy ojciec potrzebuje mojej pomocy, poczułem do siebie pogardę i obrzydzenie tak wielkie, że łzy, od jakiegoś już czasu rozmazujące mi obraz przed oczami, popłynęły niepohamowanym strumieniem. Było to uczucie nieskończenie gorsze niż cały strach, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem; lepkie, wstrętne i odczłowieczające.

Klęczałem w niemal zupełnym odrętwieniu, łkając i litując się nad sobą przez jakiś czas, aż wstyd przerodził się w gniew, a gniew – w prawdziwą wściekłość i nienawiść do samego siebie.

Będąc dzieckiem, bardziej to wszystko czułem, niż faktycznie rozumiałem, ale jedno wiedziałem na pewno: jeśli czegoś nie zrobię, ojciec może zginąć, a mnie czeka hańba, której nie da się zmyć zimną wodą.

Wstałem, kopniakiem rozrzuciłem na wpół ukończony napis i ruszyłem tacie na ratunek.

Tropy, choć wyraźne, wcale nie były mi potrzebne, gdyż ci głupcy nie zachowywali żadnych środków ostrożności. Wręcz przeciwnie, słyszałem ich już z daleka, bo nadal kłócili się o coś zawzięcie, a w dodatku zeszli na szlak – od dawna nieuczęszczany, ale wciąż widoczny – odsłaniając się ze wszystkich stron.

Choć wyraźnie się śpieszyli, a ja szedłem lasem, próbując zachować ciszę, dogoniłem ich bez trudu i już nie spuszczałem z oka, wypatrując dogodnej okazji, by… by zacząć działać po prostu. Nie wiedziałem jeszcze

ani co, ani jak zrobię, ale to nie miało na razie znaczenia.

Gdyby ci trzej byli myśliwymi pokroju ojca, pewnie już dawno by mnie zauważyli, ale oni najwyraźniej nie mieli pojęcia o łowiectwie. W ogóle sprawiali wrażenie, jakby źle się czuli na powierzchni. Zdradzało ich zdenerwowanie; nie tylko nieustające, niemal groteskowe kłótnie o nic, ale też zbyt gwałtowne nieporadne ruchy i wielki pośpiech. Zastanawiałem się, jak to wykorzystać na swoją korzyść, lecz nic nie przychodziło mi do głowy. Śledziłem ich więc i czekałem cierpliwie.

Wtedy, za dzieciaka, praktycznie nie znałem jeszcze gór. Nie miałem zatem pojęcia, dokąd napastnicy prowadzą ojca. A przecież powinienem był zrozumieć to od razu. Nawet jeśli nie po kombinezonach, maskach przeciwgazowych i karabinach – tak obcych i niedorzecznych w moim świecie – nawet jeśli nie po słowie „Elektrownia”, to na pewno wtedy, gdy ojciec zaczął nerwowo wyrywać się bandziorowi trzymającemu koniec liny, którą skrępowano mu ręce, i mimo knebla nieustannie próbował coś mówić.

Zrozumiałem wszystko jednak dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się na grani, z której rozciągał się szerszy widok na panoramę Beskidu Małego.

Oto przed nami rozciągała się góra Żar – elektrownia.

– Kiedyś to była duma całej okolicy i jedna z najważniejszych atrakcji w regionie. Nie największa taka elektrownia w Polsce, ale za to jedyna podziemna, a w dodatku prawdziwy architektoniczny majstersztyk – opowiadał mi ojciec nie tak znowu dawno temu, pokazując Żar z bezpiecznej odległości. – Potrafiła zastartować sama z siebie w ciągu jakichś… dwóch czy trzech minut, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie to było naprawdę bardzo, bardzo krótko. Zwykłe elektrownie, takie na węgiel… pokazywałem ci kiedyś węgiel, pamiętasz?… No więc takie elektrownie potrzebowały nawet kilku godzin, by zastartować od zera. A tu proszę, ktoś nacisnął guzik, spuścił wodę ze zbiornika na górze – wskazał płaski jak stół szczyt – i gotowe. Tylko jakoś żaden matoł nie pomyślał, że taka elektrownia-bunkier, mająca niespotykane możliwości produkcyjne, jest ważnym celem strategicznym. A kiedy przyszło co do czego… Ech, szkoda gadać – zakończył gorzko.

Teraz, stojąc na grani Kiczery, miałem doskonały widok na rozciągnięty

kilka kilometrów dalej niższy szczyt Żaru. Pierwsze i tak naprawdę jedyne, co rzucało się w oczy, to ogromny lej szpecący wierzchołek góry. Dziura była tak wielka, że zrazu wziąłem ją za krater po tamtej przeklętej bombie. Szybko jednak zrozumiałem swój błąd – lej miał kształt regularny, przypominający owal, a na jego popękanych ścianach, powoli pogrążających się w morzu zieleni, wciąż widać było wielkie płaty czarnego asfaltu.

Zatem to musiał być ten słynny zbiornik, o którym opowiadał ojciec. Już w Starej Erze akwen z pewnością zapierał dech w piersiach, ale teraz, w dwudziestym roku Nowej Ery, był po prostu przerażający.

Od zachodu, gdzie zbiornik się zwężał, w ścianie widniał szeroki rozłam. Kilka podobnych, tyle że mniejszych, pęknięć znajdowało się również na południowym, dłuższym brzegu. Odpowiedź na pytanie, co rozerwało taką masę ziemi i betonu, mogła być tylko jedna.

Mimo wszystko w zbiorniku wciąż znajdowała się woda; nieruchoma, zupełnie czarna i jakby matowa – praktycznie nie odbijała promieni słonecznych, choć było popołudnie wczesnego lata – sprawiała wrażenie lodowatej i martwej. Niebezpiecznej.

Nawet bujnie rosnąca wokół zbiornika zieleń nie była w stanie rozwiać nieprzyjemnej atmosfery, a wręcz przeciwnie – pogłębiała ją tylko. Pewnie dlatego, że wśród traw, krzewów i młodników znanych mi drzew – brzóz, buków i świerków – zauważyłem też inne, niemające nazw rośliny, będące zapewne pokłosiem promieniowania. Były większe, bujniejsze i jakby… agresywne? Tak przynajmniej wyglądały, wgryzając się w ruiny stojących przy zbiorniku budynków, niemal całkowicie zniszczonych podczas wybuchu, i dusząc resztki wieży przekaźnikowej: zrobionego ze stalowych wsporników kolosa, który – choć wykrzywiony i ułamany – nadal górował nad okolicą.

Nie miałem jednak czasu przyglądać się wszystkiemu uważniej, ponieważ widok, który mnie poraził, a na obcych najwyraźniej zupełnie nie zrobił

wrażenia, na mojego ojca podziałał jak rozżarzony węgiel wrzucony za koszulę. Zaczął się rzucać, krzyczeć coś i zapierać nogami z całej siły, a kiedy jeden z porywaczy popchnął go zniecierpliwiony, ojciec oddał, taranując nieznajomego barkiem. Wtedy Brona, którego poznałem po głosie, uniósł karabin i zagroził:

– Rusz się albo cię zabiję!

Ojciec w odpowiedzi usiadł niezgrabnie na ziemi i zmierzył swego strażnika obojętnym wzrokiem.

– Kurwa, tego właśnie chcesz!? – krzyknął Brona, szarpnięciem wyjmując ojcu knebel. – Kulki w ten głupi łeb?

– A pewnie! Wolę tak, niż zdechnąć od napromieniowania! – odparł zimno tata. – Słuchajcie, nie wiem, kto wy i czego ode mnie chcecie, ale musicie wiedzieć, że w tamtą górę przyjebali atomówką, więc ja dalej nie idę, nie ma mowy! Wam też radziłbym zawrócić, jeśli chcecie jeszcze trochę pożyć. Nawet te szmatki was nie ochronią. Zresztą pewnie już jesteśmy w strefie skażenia, więc zjeżdżajmy stąd w cholerę, dobra?

– Mylisz się. Nie trafili w górę.

– Co?

– Skrewili, skurwysyny – odparł Szary. – Pieprznęli gdzieś w Międzybrodzie. Tylko dlatego nie zginęliśmy tamtego dnia…

– Co? – zapytał ponownie ojciec, autentycznie zdumiony. – Co ty… Kim wy jesteście?

– Bardziej interesuje nas, kim ty jesteś. I jakim cudem przetrwałeś na powierzchni? Są jeszcze inni? Co się w ogóle stało? Jak wygląda dzisiaj świat?

– Świat? A jak ma wyglądać? Najogólniej rzecz ujmując, wszystko szlag jasny trafił. Dlaczego, nie wiem. Pewnie nikt nie wie. Jedni zaczęli, drudzy skończyli, ale sprzątać już nie było komu. – Ojciec wzruszył ramionami. – Ale zaraz… Chcecie mi powiedzieć, że jesteście z elektrowni? Spod góry? Jakim cudem?

– My zadajemy pytania, a ty odpowiadasz, jasne?

– Nie. Nic z tego, przyjacielu. Rozwiążcie mnie, oddajcie wszystko, łącznie z kolacją, i odejdźmy stąd w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Dopiero wtedy pogadamy, jak cywilizowani ludzie. Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

– Nie cwaniakuj, koleś – odparł Brona. – Znaleźliśmy ciebie, to znajdziemy i innych. Nie jesteś nam niezbędny, rozumiesz?

– Z ludźmi w dzisiejszych czasach jest ten problem, że lepiej ich jednak nie spotykać… – w tonie ojca czaiła się groźba. – Nie mogliście po prostu podejść, przywitać się i pogadać?

– Nie, kurwa, nie mogliśmy!

– Dosyć tego! Pogadamy tutaj, zaraz, a jeśli usatysfakcjonuje nas ta rozmowa, wypuścimy cię i zwrócimy twoje rzeczy.

– Karol…

– Zamknij się, Szary! Po prostu się zamknij! Mam dosyć twoich wyskoków na dzisiaj, rozumiesz? – Nie doczekawszy odpowiedzi towarzysza, Karol zwrócił się do mojego ojca: – Więc?

– Ech… No dobra, byle szybko. Co chcecie wiedzieć?

– Jakim cudem przeżyłeś?

– Nie bardzo wiem, o co pytasz.

– O wojnę, bomby i wszystko…

– Naprawdę siedzieliście przez dwadzieścia lat w elektrowni i o niczym nie wiecie? Zupełnie o niczym? – nie dowierzał ojciec.

Ja, prawdę mówiąc, też. Tak bardzo pochłonęła mnie ta dziwaczna rozmowa, że zupełnie zapomniałem o swoim zadaniu; zamiast szukać sposobu na ocalenie taty, po prostu siedziałem i słuchałem.

Karol skinął głową i wyjaśnił:

– Akurat tego dnia pojechaliśmy do elektrowni na wycieczkę z technikum, z Kopera. Cała klasa. Elektrycy. Same chłopy. – Uśmiechnął się krzywo. – Kiedy się zaczęło, byliśmy w środku, pod górą. Na początku

nikt nie wiedział, co się właściwie stało. Pamiętam tylko wstrząsy, huk i ciemność. Kilku ludzi zginęło, ale większość przeżyła. Okazało się, że elektrownia oberwała i głównych turbin nie da się uruchomić. Na szczęście po kilku dniach elektrykom udało się odpalić tę mniejszą, służącą do użytku własnego elektrowni. Przez jakiś czas łapaliśmy informacje z różnych miejsc. Wszędzie mówili o bombardowaniach, zniszczeniach i śmierci, ale z czasem wszystko ucichło. Uwierzyliśmy, że świat się skończył, i nauczyliśmy się żyć w tym grobie.

Karol mówił krótkimi, suchymi zdaniami, głosem zupełnie wypranym z emocji. Jakby to wszystko nie dotyczyło go osobiście, jakby było tylko snem szaleńca.

– Ale dwadzieścia lat? Matko Boska… Co jedliście? Dlaczego wychodzicie na powierzchnię dopiero teraz? Skąd macie kombinezony i broń…? Biedacy… To się naprawdę nie mieści w głowie…

Jedli – jak wyjaśnił Karol z lekką pomocą Brony – ryby złowione w rzece, do której elektrownia miała bezpośredni dostęp. Potem założyli własną hodowlę, a nawet uprawiali jakieś poletka z warzywami; nasiona były wśród żelaznych rezerw, a ziemię, czy raczej muł, wydobywali z wody. I jakoś trwali, choć choroby, niedożywienie i ogólnie fatalne warunki przetrzebiały ich małą społeczność coraz bardziej. Niektórzy oczywiście próbowali szukać pomocy, inni chcieli zwyczajnie uciec z tego więzienia. Odeszło wielu, nie wrócił nikt. A wraz z zaginionymi przepadała broń, kombinezony oraz nieliczne dozymetry znajdujące się w magazynach umieszczonego w elektrowni oddziału Ligi Obrony Kraju.

– Ostatniego, który został, nie chcieliśmy już oddać, bo tylko dzięki niemu mogliśmy sprawdzać, jak wygląda sytuacja w pobliżu wyjścia. Ale i jego w końcu straciliśmy, ktoś go rozbił. Sytuacja stała się tak rozpaczliwa, że zabraliśmy ostatnie trzy kombinezony i ruszyliśmy szukać pomocy. A teraz dowiadujemy się, że świat jednak przetrwał, że promieniowania nie ma, że na powierzchni żyją ludzie. Dlaczego nikt po

nas nie przyszedł? – zakończył Karol z wyraźnym wyrzutem.

– To nie tak. Mówiłem już, że wszystko szlag trafił. Mieliśmy szczęście, bo tutaj spadła tylko ta jedna bomba, w dodatku chyba wcale nie największa, jaką mogli nam sprzedać, a góry wzięły na siebie niemal całą siłę uderzenia. Tu, między Żarem a Przegibkiem, nie było co zbierać. Porąbka, Kęty… cała okolica zdrowo oberwała. W stronę Żywca też poszła fala, ale miasto przetrwało, przynajmniej przez jakiś czas. Jednakże im dalej od Żaru, tym lepiej. Taki Andrychów na przykład w ogóle nie dostał.

– Więc co się stało potem? Dlaczego wszystko przepadło?

– Radioaktywny opad, choć niezbyt mocny i tylko w pierwszych latach… A i z tym natura zdumiewająco szybko sobie poradziła… W miastach było gorzej. Radiacja trzymała mocniej, a do tego totalna anarchia, brak prądu, paliwa, jakiejkolwiek władzy, głód, szaleństwo, choroby, walka o te gówniane resztki… wybierzcie sobie. Jak w starych filmach o apokalipsie, tylko jeszcze gorzej chyba. Brakuje tylko zombie. Kiedy ostatni raz byłem w mieście, w Andrychowie właśnie, pewnie z piętnaście lat temu, było tam jedno wielkie pole bitwy. A walczyli już nie ludzie, tylko zwierzęta ze zwierzętami. Uciekłem więc w góry i jakoś radzę sobie sam. Choć z roku na rok jest coraz trudniej, bo mutantów przybywa… Ech, to co? Uwolnicie mnie i rozejdziemy się w pokoju? Rozumiem was i nie żywię urazy. Wy też chyba nie macie powodu mnie dłużej więzić… Co więcej, możemy sobie nawzajem pomóc, nawiązać współpracę. – Mówiąc to, ojciec podniósł się powoli. – Was ktoś musi nauczyć, jak żyć w dzisiejszym świecie, a ja sam długo się przed mutantami nie obronię. No więc jak będzie? A, i sarnę sobie zostawcie, wam pewnie bardziej się przyda.

– Zaczekaj tutaj – rozkazał Karol, jakby ojciec mógł gdziekolwiek się ruszyć.

Mężczyźni odeszli nieco na bok i naradzali się przez kilka minut. Mówili szeptem, a ja byłem zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć, jednakże widziałem wyraźnie, że się kłócą. Szary spierał się z Broną, pokazując co

chwila w stronę ojca, a Karol stał spokojnie i tylko się przysłuchiwał. W końcu uniósł rękę i najwyraźniej zakończył spór, biorąc stronę Szarego.

Gdy wrócili do ojca, Karol oznajmił:

– No dobra, masz rację. Jeśli nie nawiążemy współpracy, wszyscy zginiemy. Zwrócimy ci łuk, ale pistolet na razie zachowamy. Jeśli okażesz się… rozsądny, to go odzyskasz, okej? Mięso podzielimy po połowie. Mam nadzieję, że uznasz to za sprawiedliwe rozwiązanie?

– Jasne – tata skinął głową. – Dzięki.

– Szary, rozwiąż…

– Adam – skłamał ojciec.

– Ja jestem Karol, a to Tomek – tu wskazał na Bronę. Potem skinął na Szarego, który właśnie zdjął ojcu więzy: – No i Janusz.

– Cześć – rzekł ojciec, rozcierając ręce.

– Ten robal… – Szary zmienił temat. – Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem.

– To tylko jedno z wielu stworzeń, jakie można teraz spotkać w lesie. Wcale nie najgorsze – rzekł ojciec, wstając.

I nagle, bez ostrzeżenia, zaatakował. Popchnął Szarego ramieniem, a ten stoczył się po stromej skarpie i zniknął gdzieś w krzakach. W tym czasie ojciec dopadł kompletnie zaskoczonego Karola i kopnął go w brzuch z taką siłą, że mężczyzna zwalił się na ziemię i zwinął w kłębek, jęcząc głośno.

– Ożeż ty skur…! – Brona spróbował zdzielić tatę kolbą karabinu, ale był zbyt wolny. Chybił i stracił równowagę. Ojciec wykorzystał to natychmiast i pchnął przeciwnika, a potem, gdy Brona upadł, kopał go z całej siły w głowę wojskowym butem, aż okular maski gazowej wypełnił się krwią. I może czymś jeszcze.

Karol nadal leżał i chyba wymiotował do swojej maski. Ojciec podszedł i oplótł szyję nieszczęśnika sznurkiem, który jeszcze przed chwilą krępował mu ręce. Karol szarpał się gwałtownie, lecz ojciec coraz mocniej zaciskał pętlę.

– Puść go, albo cię rozpierdolę! – Szary wyłonił się z krzaków, celując w szamoczących się mężczyzn. – Przysięgam, że cię zabiję!

Ojciec natychmiast zluzował sznur, ale nie puścił go całkowicie. Karol zaczął kaszleć i rzęzić.

– Zabij go… – wychrypiał. – Załatw… tego… pojeba!

– Dlaczego? – Szary, zamiast strzelić, nadal wpatrywał się w ojca. – Dlaczego, kurwa? Przecież cię uwolniliśmy! Mieliśmy…

– Mówiłem wam, że dzisiaj ludzi lepiej nie spotykać – przerwał mu tata. – Na świecie wiele się zmieniło, ale nadal nie ma na nim potworów gorszych niż my. A grupa obcych z bronią… Za duże ryzyko po prostu.

– A więc będzie o jednego potwora mniej. – Szary splunął, przyłożył oko do szczerbinki i wycelował.

Zrozumiałem natychmiast, że muszę działać. Teraz albo nigdy. Już od dłuższego czasu stałem z napiętym łukiem i czekałem na rozwój wypadków. Strach nadal ściskał mnie za gardło, a ręce drżały mocno, ale tym razem nie wahałem się ani chwili. Wiedziałem, że nie mogę sobie na to pozwolić.

Uniosłem broń nieco wyżej, wstrzymałem oddech, tak jak uczył mnie ojciec, i wypuściłem strzałę w plecy Szarego.

Chybiłem.

Paweł Hamanowski

Marcin Wójcik

Fala nośna

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

Borowski wyznawał prostą filozofię. Bezpieczeństwo, szczególnie w takich burzliwych czasach jak obecne – zwykł mawiać – gwarantowane jest przez minimum tysiąc pocisków na minutę. Mniejsze ilości dają tylko częściowe zabezpieczenie, które jest – tłumaczył, gdy człowiek nieświadomy, z kim ma do czynienia, postanowił ciągnąć temat – uzależnione od skali zagrożenia, z jakim przyjdzie się zmierzyć. Wystarczyło być najgrubszą rybą, żeby bez obaw zamykać każdej nocy nie jedną, lecz obie powieki. To rządzące światem prawo, głównie dzięki nieskomplikowanym założeniom, trafiało do serc i umysłów niemal wszystkich mieszkańców osiedla. Zaspokajało potrzebę zasad, bez których ludzie nie potrafią żyć, i stanowiło wyraz awersji do dodatkowego komplikowania sobie życia, które i tak wydawało się piekielnie skomplikowane.

Klarował to wielokrotnie każdemu, kto chciał słuchać, a nierzadko też tym, którzy nie opierali się wystarczająco skutecznie. Miał w tym swój cel. Był człowiekiem ciężko doświadczonym przez życie – nawet jak na dzisiejsze warunki – a przez to zgorzkniałym, chowającym się często za maską cynizmu. Niektórzy słuchali go z litości, wiedząc, że nie dowiedzą się niczego nowego, bo wyłożył swoje poglądy w jednym zwięzłym wywodzie sprzed kilku lat, a teraz po prostu się przypomina, odświeża w pamięci, z uporem, metodą ciągłych powtórzeń, próbuje wbić do głów

prawdy objawione, nie zdając sobie sprawy, że prawi truizmy. Sądził, że odnalazł sznurki do pociągania i że jest to odkrycie na miarę Nagrody Nobla, bynajmniej nie pokojowej. Wierzył, że myśli, wystarczająco głośno artykułowane, krystalizują się w rzeczywistości. Byli też tacy, co – w akcie znudzenia – spierali się z nim. Wskazywali zrujnowany kościół Świętej Marii Magdaleny, niegdyś górujący nad otaczającym go z obu stron cmentarzem, a teraz po prostu kolejnym nagrobkiem. Sięgali po przykład ulicy Grota-Roweckiego, dawniej pełnej banków, a teraz będącej kolejnym cmentarzem, innego tylko wyznania. Krzyczeli, udając przed sobą, że jest po co gardłować nad dawno wystygłymi trupami, i w obronie fałszywych racji, twierdząc, że to zamordyzm doprowadził do epidemii śmierci. On zaś śmiał się, mówiąc, że wszystko rozegrało się według praw natury, a ludzie okazali się za małą rybą. Czasami spory ciągnęły się godzinami, zawsze przy użyciu tych samych słów, przestawiony był tylko szyk zdań. Reguła łańcucha pokarmowego to idealne lekarstwo na rozterki natury filozoficznej i egzystencjalnej, a odpowiedź „tysiąc pocisków na minutę” wystarczała tym, którzy bali się nawet zadać pytanie. Borowski osiągnął swój cel z precyzją strzelca wyborowego, choć nie można powiedzieć, by to on pierwszy pociągnął za spust. Teraz strzelał już tylko na wiwat, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Czas ponoć leczy rany. Słowa nadziei, zwykle wydobywające się z ust rannych, prawdopodobnie niosły pierwiastek prawdy, lecz dotyczyły wyłącznie ran powierzchownych. Teraz czas był inny i przede wszystkim nie znał litości. Mimo że dni wydawały się długie, upływał bardzo szybko, jakby w jednej dobie mieścił się tydzień życia, i właśnie tygodniem rysował się na twarzach każdy kolejny świt. Okrutna odmiana dylatacji czasu dotykała szczególnie ludzi starszych. Rozorane coraz głębszymi zmarszczkami oblicza z trudem przybierały zdziwiony wyraz, kiedy ludzie uświadamiali sobie, kto puka do ich drzwi i że tym razem ucieczka oknem nie wchodzi w grę. „Przecież ja jeszcze nie skończyłem!” Nie istniał jednak

trybunał, do którego można by się odwołać. Jedni – warto nadmienić, że raczej nieliczni – odchodzili szybko, we śnie. Drudzy w okropnym, narastającym miesiącami bólu, nękani chorobami. Borowski, urodzony pragmatyk, prędko się pogodził ze stanowczym tykaniem zegara. Nie mógł się jednak pogodzić z protekcjonalnym traktowaniem. Uznał, że najlepiej będzie rzucać się w oczy, wywoływać gwałtowne reakcje neurochemiczne i zaznaczać swoją obecność w sposób tak dobitny, jak to tylko możliwe. Dzięki temu, traktem przebytym wcześniej przez wielu innych, dotarł na ostatnią prostą swego życia, hucząc i grzmiąc. Pozostali zaś, spoglądając na niego, nagle zaczynali drżeć ze strachu przed starością.

Na początku nikt nie wziął więc na poważnie słów, które skierował do ogółu na zebraniu osiedlowej rady. Być może nikt ich nawet nie usłyszał, a ci, do których świadomości jednak się dostały, odfiltrowali je jakoś, w konsekwencji słysząc tylko coś o wartości merytorycznej dziecięcego gaworzenia. Jak to jednak miał w zwyczaju, nie dał za wygraną. Budynek Teatru Małego zadrżał od fundamentów aż po dach, gdy Borowski wybuchnął pełnym frustracji gniewem.

– Zbliża się wataha, idioci!

Kiedy udowodnił, że wciąż dysponuje siłą przebicia zarezerwowaną dla żywych, udało mu się uzyskać odrobinę uwagi. Na deskach dawnego teatru odbył się spektakl utrzymany w estetyce *cinéma-vérité*, a płynące z niego wnioski, choć niejasne, zasiały niepokój w sercach, w których jak wszyscy sądzili, nie było miejsca na ani odrobinę więcej niepokoju.

Borowski miał problem z utrzymywaniem zdrowych relacji z innymi członkami powojennej społeczności osiedla, a powojenna społeczność osiedla miała jeszcze większe problemy z utrzymywaniem relacji z nim. Gdy więc w ręce wpadła mu niewielka radiostacja, nie wahał się ani chwili – swoje skromne środki z powodzeniem poświęcił na zdobycie źródła zasilania w postaci niewielkiego agregatu.

Radiostacja dawała nieopisane wprost możliwości. Ciskanie gromów nie

było już ograniczane siłą jego głosu, a wędrować mogło na setki kilometrów, rażąc każdego po drodze. Mógł nawet skierować sygnał w kosmos i rozpocząć próby nawiązania kontaktu z obcą cywilizacją, którą chętnie zmieszałby z ziemskim, swojskim błotem jako pierwszy człowiek w historii. Była wreszcie szansa, że usłyszałby go sam Bóg; w Stwórcy zagotowałaby się boska krew, gdyby usłyszał, co Igor Borowski, mieszkaniec zrujnowanej Ziemi, ma do powiedzenia na temat bytów transcendentnych, które – choć nie miało to w tym przypadku żadnego znaczenia – w jego mniemaniu nie istniały.

Sygnał nie dotarł jednak tak daleko. Sądząc po języku, w którym otrzymał odpowiedź, brzmienie jego zachrypniętego głosu dotarło do uszu znajdujących się bardzo blisko, w skali planety dosłownie tuż za rogiem. Najbardziej zaskakujące jednak było to, co usłyszał. Z głośników dobyło się niejasne ostrzeżenie, które na deskach teatru Borowski zacytował, zaznaczając, że jest to cytat dokładny, z autentycznym dramatyzmem godnym występujących tu niegdyś aktorów.

Nadchodzi, nadchodzi wataha. Jeśli to słyszycie, lepiej się ukryjcie. Są już blisko.

Próbował wówczas o coś zapytać, ale komunikat tylko się powtórzył. Raz i drugi. Nadawano go automatycznie w regularnych odstępach czasu. Po kilku dniach przekaz zamienił się w biały szum. I to w zasadzie było bardziej niepokojące niż treść, która poprzedzała głuche milczenie. Bo oto gdzieś, być może bardzo blisko, nadchodziło coś, zapewne coś bardzo groźnego. Sąd wydał wyrok w zawieszeniu, pozwalający mieć nadzieję. Ostrze gilotyny opadło nagle, zupełnie bezgłośnie, a w białym szumie ukryła się makabryczna wróżba. Przed ścięciem skazany ostrzegł wszystkich wspólników – współwinnych życia w świecie, który nie był życiu pisany – a potem zabrała go tajemnicza siła, najwyraźniej nieuginająca się pod ciężarem prawa łaski. Widownia niecodziennego spektaklu gwałtownie uświadomiła sobie, że nie ma biletów.

Z początku znalazło się kilku sceptyków podchodzących z rezerwą do sprawy rzekomej „watahy”. Na lidera niedowiarków wyrósł Gębiński, mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie sześćdziesięciolatka, człowiek łagodnego usposobienia, którego kręgosłup moralny opierał się najpotężniejszym nawet podmuchom. Seminarium – tak tłumaczono sobie tę jego przypadłość – nauczyło go naiwności. Przytomnie jednak zwrócił uwagę, że o źródle komunikatu nie wiadomo właściwie nic, zatem równie dobrze mógł to być głupi dowcip, zwyczajne nieporozumienie, jak i informacja dawno już nieaktualna. Nie znalazł powszechnego posłuchu i zamilknął po chwili, seminarium bowiem nauczyło go również, że obsiewać należy wyłącznie żyzny grunt. Tej samej nocy modlił się żarliwie o rozsądek dla swoich sąsiadów.

Więcej poparcia zdobył Tomaszewicz. Oficjalnie społeczność nie miała wyraźnego lidera, a decyzje podejmowano wspólnie na drodze porozumienia. Natura jednak nie znosi próżni, człowiek zaś ma to do siebie, że potrzebuje kogoś, kto weźmie na siebie odpowiedzialność – i Tomaszewicz funkcję tę spełniał. Rzekł on, z charakterystycznym dla siebie namaszczeniem, że jedyną słuszną drogą będzie przygotowanie się na to, co próbował im zgotować los. Najlepiej – szepnął w przestrzeń, gdy zapadła absolutna cisza – przez podniesienie gardy.

Cała grupa zamieszkująca osiedle „B” liczyła niemal setkę osób. Lata zbieractwa umożliwiły tej setce dozbrojenie się. Sklep chemiczny mieszczący się na skrzyżowaniu alei Bielskiej i ulicy Edukacji stanowił arsenał, który bardziej lub mniej skutecznie uzbroić mógł niemal jedną trzecią mieszkańców. Nie brakowało także amunicji, gdyż ku ogólnej radości warunki zwykle nie wymagały swatania iglicy ze spłonką. Zdziczałe, wyrośnięte psy, stworzenia wyjątkowo jak na swój gatunek śmiałe i przerażająco nieregularne w kształtach, na szczęście bały się płomieni ognisk i pochodni. Ludzie zaś, nieobawiający się ognia innego niż z broni palnej, pojawiali się wyjątkowo rzadko; ze wzrokiem wbitym

w chodnik czy ulicę przychodzili z mroku i po chwili w mrok wracali. Niczym zjawy, duchy dawno umarłych, obciążone wspomnieniami tak brzemiennymi, że przez nie niezdolne do oderwania się od ziemi.

Niektórzy w milczeniu czekali na ten moment, na chwilę gdy jako swego rodzaju mikropaństwo będą mogli zaznaczyć swoją obecność na mapie okolicy. Tym chętniej podchwycili oni pomysł Tomaszewicza, by w ramach profilaktyki rozstawić wyposażone w broń maszynową posterunki w odległości kilometra od serca osiedla. Oprócz tego dwie osoby miały zająć dach siedemnastopiętrowego wieżowca przy ulicy Nałkowskiej, skąd rozciągał się doskonały widok na całą okolicę, i w razie konieczności zasygnalizować zagrożenie wystrzałami. Opracowany został nawet składający się z kilku komunikatów system, dzięki któremu zakres przekazanych w ten sposób informacji rozszerzył się znacznie poza „nadchodzą".

Ochotnicy do ostatniego z zadań znaleźli się bardzo szybko. Pokonanie schodami siedemnastu pięter stanowiło uczciwą cenę za bezpieczeństwo, które gwarantowała im wysokość i urlop od codziennych obowiązków. Tam, na górze, wystarczyło mieć oczy szeroko otwarte, a takimi dysponował niemal każdy – może poza Czerwińskim, który nocą, gdy wyciągał z lewego oczodołu to szklane, dysponował tylko jednym. Zdecydowanie trudniejsze okazało się obsadzenie naziemnych posterunków; obietnica niemal nieograniczonej ilości amunicji i szybkiego wsparcia w sytuacji kryzysowej nie wystarczała. Sfrustrowany tchórzostwem i wbitymi w ziemię spojrzeniami Tomaszewicz osobiście wybrał ochotników, ci zaś nie odważyli się zaprotestować.

Tylko Pietrzak, młody chłopak o kruczoczarnych długich włosach, zgłosił się sam. Oczyma wyobraźni zobaczył siebie, jak pruje długimi seriami z MG3 do nacierających fal potworów rodem z piekła, a potem dobija te, które uparcie sprzeciwiały się śmierci. Niektórzy ludzie walkę mieli we krwi, potrzebowali wrogów jak powietrza, a nie mając komu się sprzeciwić,

zmuszeni byli wymyślać przeciwników, wyszukiwać ich pośród swojego otoczenia. Bunt był zwykle domeną młodych, rzadziej starszych i emocjonalnie niedojrzałych czy też zawiedzionych życiem. Wreszcie, w trzeciej kolejności, bywał uzasadniony, jednakże nawet taki pociągał za sobą masę frustratów, którym z trudem przychodziło pojęcie, o co toczy się bój, nie potrzebowali przecież zrozumienia, żeby wymachiwać pięściami. Pełnili oni funkcję pożytecznych idiotów lub – jeśli idea była z gruntu zła – szkodników. Kłopot sprawiało zaklasyfikowanie z całą pewnością do jednej z tych grup Pietrzaka, aczkolwiek sprawa jego klasyfikacji niedługo później rozwiązała się sama. Dwa dni od rozpoczęcia misji zignorował żelazne zasady bezpieczeństwa i usnął po zmroku. Prawdopodobnie uniknąłby tragicznego losu dzięki zbawiennemu działaniu ognia, lecz wszystko wówczas skrzyknęło się ze śmiercią, łącznie z mocno niesprzyjającą pogodą. Pietrzak zatem nie zdołał nawet pisnąć, gdy wysoki na metr pies z zimną, drapieżną obojętnością w oczach chwycił go za gardło. Potężny zastrzyk adrenaliny przyśpieszył rytm jego serca, rozszerzył mu źrenice, uodpornił go na ból. Mężczyzna miotał się jak oszalały, próbował bić na oślep, drapać nienawykłymi do tego paznokciami. Uścisk jednak tylko się wzmocnił. Pietrzak poczuł ciepło rozlewające mu się po klatce piersiowej, gęsty strumień tętniczej krwi, ale i na to organizm miał swój mechanizm obronny. Po umierającym z niedotlenienia mózgu rozlała się psychodeliczna fala, spadochron zmiękczający nadchodzący kontakt z glebą. Ta dawka chemii przyniosła spokój i już nie cichą nadzieję, ale pewność, że śmierć jest dopiero początkiem. Ruszył więc żwawo w stronę oślepiająco białego światła. Euforia, którą poczuł, była ostatnią emocją Pietrzaka na kilka sekund przed ostatecznym zgaszeniem światła. Potem zapanował nieprzenikniony, niewyobrażalny dla żyjących mrok i nastąpił kolejny mały koniec świata. Zanim Pietrzak uświadomił sobie, że nie żyje, przeszło mu jeszcze przez myśl, że los bywa okrutny dla ochotników.

Pies, zabierając się do jedzenia chwilę później, wydawał się zupełnie

nieświadom mistycznego doświadczenia i dłoni Boga, która niemal dotknęła Pietrzaka.

Nie mogli jednak wiedzieć o tym ani ludzie w centrum, ani ci z pozostałych posterunków. Śmierć, jeśli nieobserwowana, potrafiła być bardzo dyskretna. Misja przebiegała więc bez zakłóceń.

Tydzień później wysłano kilka osób na, jak się okazało, opuszczony posterunek przy ulicy Budowlanych. Na miejscu nie znaleziono nie tylko Pietrzaka, ale też najmniejszych śladów jego obecności. Wniosek nasunął się sam: dezercja. To nie był czas na żałobę. Z tłumu wyciągnięty za kołnierz został następny ochotnik, pozbawiony zapału swojego poprzednika, a zatem wydający się idealnym kandydatem do przetrwania.

Kształt nadchodzącej „watahy" był tajemnicą. Niektórzy utożsamiali ją ze sforą psów, dużo liczebniejszą i śmielszą od tutejszych. Sugerowała to użyta nazwa. Stado miałoby się przedzierać z miasta do miasta na podobieństwo szarańczy, niszcząc plony próbującej powstać z kolan cywilizacji. Motyw również byłby jasny – przetrwanie za wszelką cenę. Nie wszyscy jednak przychylali się do tej hipotezy, miała ona bowiem kilka istotnych luk. Najbardziej rzucało się w oczy to, że człowiek, ze swoją przewagą intelektualną, a ponadto uzbrojony, powinien albo dać sobie radę z taką sforą, albo chociaż zdołać się przed nią ukryć czy zabarykadować, gdyż żadna liczba zdziczałych i najbardziej nawet zajadłych psów nie może sforsować betonowego muru ani wyważyć grubych metalowych drzwi. Ktoś, kto potrafił nadać ostrzeżenie drogą radiową, najwyraźniej był zbyt sprytny, aby dać się rozszarpać zwierzętom.

Druga, popularniejsza, hipoteza głosiła, że chodzi o ludzi. Zabójczo inteligentni, wyposażeni w narzędzia, sforsują dowolne zabezpieczenia, ponadto zaś – co przerażało najbardziej – wykażą się nieopisanym okrucieństwem. Grupa takich bandytów mogłaby przemierzać kraj, zostawiając za sobą zgliszcza; podążać za światłem jakiejś chorej ideologii,

prowadzić politykę ekspansywnego rozwoju w myśl zasady „my albo oni” bądź kierować się spuszczoną ze smyczy bezzasadną nienawiścią. Jeśli nawet to prawda – wołał w prywatnych rozmowach ten czy ów – można z takimi ludźmi pertraktować, jesteśmy przecież szczytem ewolucyjnej drabiny, dano nam mowę, rozum, dyplomację! A jeśli rozmowy zawiodą, lider takiej watahy, osoba z całą pewnością praktyczna, widząc, że tubylcy są dobrze uzbrojeni, zwątpi. Po cóż prowokować konflikt, który niechybnie spowoduje duże straty? Byłby to tylko problem; w czasach gdy więcej osób unosi się w atmosferze, niż stąpa po ziemi, problem bardzo poważny.

Domysły jednak nie miały mocy kształtowania rzeczywistości. Na dodatek drugi z nich skonstruowany został w zgodzie z zasadami logiki, z której ludzie często nie korzystali bez wyraźnego powodu. W socjologii, podobnie jak w fizyce kwantowej, można ocenić tylko prawdopodobieństwo – a było ono niezerowe nawet dla najbardziej niewiarygodnego scenariusza. Spodziewanie się niespodziewanego wyczerpywało nawet tych zahartowanych apokalipsą.

Granica wytrzymałości rysowała się linią, za którą sprawa powrotu komplikowała się coraz bardziej z każdą minutą. Tydzień wystarczył, by wartownicy stracili zapał. Wracali do centrum, niby uzupełnić wodę, której przecież mieli pod dostatkiem, i narzekali na dolegliwości, być może nabyte w drodze autosugestii, a być może z premedytacją zaplanowane. Tomaszewicz wpadał we wściekłość, gdy słyszał, że tylko połowa umocnień funkcjonuje bez zakłóceń. Wykrzykiwał wówczas, wypluwając z siebie więcej śliny niż powietrza, że ogradzanie się dziurawą siatką nie ma najmniejszego sensu i równie dobrze można popełnić zbiorowe samobójstwo, oszczędzając sobie nerwów, a potencjalnym wrogom kłopotu. Zawadzki, człowiek wyrastający w tych trudnych dniach na wiceprezydenta upadającego na duchu stuosobowego państwa, wysunął propozycję zbytą z początku przez Tomaszewicza spojrzeniem zamrażającym rozgrzane piece hutnicze.

Zawadzki miał duszę cichego organizatora. Nikomu nie zwierzał się z historii swojego życia, czym wzbudzał podszytą zaintrygowaniem sympatię. Zwykł się trzymać w cieniu i długo ukrywał swoje talenty. Dopiero kryzys zmusił go, być może z patriotycznej troski, a być może z troski o własny byt, do coraz śmielszego przedstawiania swych racji na forum. Tomaszewicz, któremu zmęczenie także zaczęło dawać się we znaki (krzyk spala kalorie, które po apokalipsie trudno było uzupełniać), przyjął pomoc z radością. W ten sposób ciężar decyzji rozłożył się na szerokość czterech barków, co okazało się nieocenione podczas stąpania po cienkim lodzie. Decyzji, którą pewnego wieczoru zasugerował Zawadzki, nie mógł jednak wziąć na siebie ani na nich obu, był to bowiem ciężar godny co najmniej Atlasa.

W nocy z dwunastego na trzynastego marca dwa tysiące trzydziestego trzeciego roku, przy szklance samogonu, w namiocie rozbitym na strychu bloku przy alei Bielskiej, Zawadzki odezwał się lekko bełkotliwymi słowy: „Tutaj nie jest bezpiecznie. Musimy stąd spieprzać”.

Lodowate spojrzenie oszroniło szklankę, ale pozostało bez wpływu na zaprawionego jej zawartością Zawadzkiego. Zrodziła się dyskusja, coraz bardziej otwarta wraz z opadaniem poziomu płynu w butelce, a chwilę później wykiełkowały również wnioski. Choć miały one radykalny charakter, nie dało się odmówić nieoficjalnemu wiceprezydentowi tego, że podpiera się argumentami niemożliwymi do obalenia.

Zwracał on uwagę, że wyczerpuje się odwaga i zapał, tak jak musi się wyczerpywać każde inne paliwo, które spalane jest tym gwałtowniej, im większa energia wchodzi w grę. Linie obrony, powtarzał, nie mają w obecnym kształcie prawa spełnić swojej funkcji, zatem są totalnie bezużyteczne przeciwko wszystkiemu, co chociaż trochę wybija się pod względem intelektualnym ponad pierwotniaki. Społeczność, która powinna być ich największą dumą, ulegała powolnej degeneracji i niewykluczone, że w obecnym tempie rosnąca entropia pożarłaby ją jeszcze przed tym, zanim

od tyskich bloków odbiłyby się echa ciężkich butów nadchodzącej zagłady.

Ta wizja, mimo promili we krwi, zarysowała się w głowie Tomaszewicza bardzo wyraźnie. Właściwie powinien był ją zauważyć już dawno. Co noc, w snach, których nikomu nie odważył się nigdy opowiedzieć, ogromnym brzemieniem na kręgosłupie jawiła mu się odpowiedzialność za setkę osób, odpowiedzialność, której nie mógł zrzucić, nie rozbijając wszystkiego, co budowali przez ostatnie lata, w drobny mak.

Z początku chciał poddać sprawę pod głosowanie, tak jak większość wcześniejszych decyzji. Rozłożyłby ciężar po równo na każdego z głosujących. Tak wręcz należało to rozegrać, ponieważ jego władza była tylko pozorna, wynikająca z rzadko słyszanego sprzeciwu i umiejętności szybkiego przejmowania inicjatywy – ot, wpadał na pomysł, ogłaszał go, a niemal wszyscy się z nim zgadzali. Demokratyczną drogę odradził mu jednak Zawadzki, bo jak zauważył, skutki tej decyzji będą poważniejsze niż zwykle, a ludzie, choćby narzekali na swój los, odczuwają strach przed zmianą. Gdyby z kolei głosowanie się nie powiodło, przekreśliłoby to los całego projektu. Powinien raczej – zasugerował Zawadzki – napisać odpowiedni manifest i decyzję po prostu ogłosić. Manifest uderzyłby we wrażliwe społeczne struny, nakreślił czarną wizję najbliższej przyszłości i zwrócił uwagę na zagrożenie czające się tuż za rogiem, zagrożenie, wobec którego bierność równała się podłożeniu głowy pod topór. Nie podniesie się ani jeden głos sprzeciwu, zapewniał, klepiąc Tomaszewicza po plecach.

Nie mylił się. Kilka dni później Teatr Mały, nadal pełen woni przesyconego strachem potu po uprzednim spektaklu, znowu zapełnił się widownią. I kolejny raz publiczność okazała się zawiedziona scenariuszem.

Manifest był krótki, sformułowany w żołnierskich słowach. Tomaszewicz miał naturalny talent i dobrze wiedział, kiedy fakty należy przedstawić oszczędniej i z pomocą pokrętnych metafor, a kiedy bardziej dosłownie – w tym przypadku trafnie ocenił, że suche informacje sprawdzą się najlepiej. Nie było pola na interpretacje – z manifestu płynął tylko jeden słuszny

wniosek, a zarazem tylko jedna słuszna decyzja. Ogłosił ją na sam koniec przemówienia. Na widowni pojawiło się kilka zdziwionych twarzy – najwyraźniej ludzie dopiero teraz uświadomili sobie oczywistą puentę całego przedstawienia.

Rozległo się kilka niezadowolonych głosów, ozwał się pomruk dezaprobaty. Bo jak to tak? Zostawić wszystko z takim trudem budowane i jak to robactwo albo szczury schronić się w kanałach? Jeszcze do niedawna wszyscy byli w bojowym nastroju, a tymczasem znienacka duch podupadł i jego miejsce zajął strach? Czemu miejsce podniesionych pięści zajęła opuszczona głowa i podkulony ogon? Były to pytania stawiane głównie przez regularnych malkontentów i tych, którzy ze względu na stan zdrowia lub zaawansowany wiek skutecznie unikali rotacji na wartach – nawet razem wzięci, stanowili mniejszość. Reszta przyjęła pomysł z umiarkowanym entuzjazmem charakteryzującym ludzi podejmujących trudną, ale słuszną decyzję. Usta sceptykom ostatecznie zamknął Zawadzki, który swoim zwyczajem wyrósł jak spod ziemi i stwierdził, że działania ogółu powinny przybrać jasno ustalony kształt, zostać z góry określone z uwzględnieniem bezpieczeństwa jako priorytetu, aczkolwiek przynależność do zgodnego ogółu nie jest przymusowa. Gdy więc wyruszą ci, którzy wysoko cenią sobie życie i zdrowie, a ponadto wybiegają myślami w przód dalej niż do jutrzejszego śniadania, pozostali nie zostaną skuci łańcuchami ani pociągnięci za resztą – podejmą samodzielną decyzję, bo poza bezpieczeństwem liczy się przecież ich osobista wolność, a tej nikt im zabierać nie zamierza. Co więcej, ogłosił uroczyście, dostaną broń, amunicję, racje żywnościowe, a w razie gdy dosięgnie ich gniew nadchodzącej siły, gdy śmierć i pożoga staną tuż za rogiem, a oni nagle zmienią zdanie, będą mogli zapukać do podziemnych bram, które zostaną przed nimi otwarte.

Brzmiało to wystarczająco uczciwie, by w gronie sceptyków błyskawicznie zapanował umiarkowany entuzjazm.

Uzbrojony w sklepowe wózki pochód wyruszył kilka dni później. Siła grzbietów i pojemność wózków mocno ograniczały ilość możliwych do zabrania zapasów, selekcja była więc trudna. Wszystko, czego nie dało się zabrać – tutaj ogół był zgodny – należało zniszczyć, stosując taktykę spalonej ziemi. Dotyczyło to szczególnie broni. Następnie spośród mieszkańców wydzielono najbardziej obytą z uzbrojeniem grupę, która z odbezpieczonymi karabinami automatycznymi wycelowanymi w nieznane miała stanowić straż pielgrzymki do ziemi obiecanej.

Narzucona organizacja i dyscyplina szybko zaczęły słabnąć, słabły również oddziaływania grawitacyjne pomiędzy cząstkami najwolniejszymi a tymi, które rwały się do przodu poganiane ścianą mroku, rozciągającą się za ich plecami ciemną materią, która w każdej chwili mogła wydać na świat mackę zguby. Nieświadomie tym samym składano w ofierze starców i chorych. Los tych ostatnich miał być losem wszystkich pozostałych. Nie każdemu było to w smak, ale jak zwykle nikt nie odważył się zaprotestować. Gdy tylko jakaś grupa uciekała od peletonu, Tomaszewicz darł się, aż drżały otaczające ich drzewa i cofały się wyimaginowane macki.

Nie dalej jak na ósmym kilometrze z sił opadł nie kto inny jak sam dowódca całej operacji. Ciało, zaskoczone nagłą słabością, zmusiło go do kucnięcia, a później położenia się na drodze. Chwycił się za klatkę piersiową i z trudem łapał powietrze, wzbudzając niepokój wśród maszerujących. To tylko stres, powtarzał sobie, leżąc. Ostatnie dni przypominały bowiem senny koszmar. Do zebranych wokół szepnął, że to tylko chwilowa niedyspozycja, nic godnego uwagi. Nakazał kontynuowanie marszu i dodał w swoim stylu, że taki ślimaczy pochód dogoni, nawet jeśli będzie musiał się czołgać. Zawadzki jednak nie chciał o tym słyszeć i polecił przerobienie jednego z wózków transportowych na wózek osobowy, to jest wyrzucenie z niego zapasów i umieszczenie zamiast nich Tomaszewicza. Chyba postradałeś zmysły, powiedział Tomaszewicz. Będziesz nam potrzebny, usłyszał w odpowiedzi. Przemożna chęć życia,

którego w podbramkowej sytuacji człowiek trzyma się zębami i pazurami, nie pozwoliła mu się kłócić.

Jadąc wygodnie, być może wskutek niedotlenienia, wybuchał co rusz śmiechem. Bo oto elekt został oficjalnie koronowany; choć nie znaleziono dlań korony, podróżował wariacją lektyki.

Niemal dwa dni trwał ten marsz, który z każdą godziną coraz bardziej przypominał pochód żywych trupów uciekających przed piekłem. Drugiego dnia tuż po świcie zarządzono odpoczynek, ale niemal nikt nie zmrużył oka. Dzikie psy bowiem instynktownie wyczuwały słabnących i podchodziły coraz śmielej. Instynkt nie chronił jednak zwierząt przed kulami, które za każdym razem karały śmiałość śmiercią.

Od czasu do czasu mijali zabudowania, większe lub mniejsze, z popękanego betonu, z dziurawymi dachami, pokryte mchem. Małe firmy, których księgi rachunkowe już dawno porwał włamujący się przez rozbite okna wiatr, bloki mieszkalne, od lat już niezamieszkane, z zawalonymi klatkami schodowymi i mnóstwem wspomnień zamkniętych na piętrach, gdzie nikt poza kurzem i deszczem już nigdy się nie dostanie. Ulica Podleska, spokojna, otoczona przestrzenią zarośniętych chwastami pól, poprawiła wszystkim nastroje. Ostatnia prosta, koniec wędrówki, bezpieczny sen w zamkniętej na cztery spusty podziemnej norze kopalni eksperymentalnej „Barbara”. Nagroda za trud, premia za odwagę podjętej decyzji. U bram skończyła się tęsknota za domem. Mimo zmęczenia wszyscy zakasali rękawy, żeby na miękkich nogach dopiąć co trzeba na ostatni guzik. Żeby móc powiedzieć, że było warto.

Nikt nie miał mapy kompleksu. Należało więc improwizować, lecz w tym świecie każdy rodził się z taką umiejętnością bądź szybko jej nabywał. Rychło zasypano tunele, które odprowadzały gazy podziemnych wybuchów, tak samo potraktowano wszystkie drogi wiodące do serca ośrodka poza jedną tylko, gdzie postawiono barykadę.

Na zewnątrz wychodzili nieliczni, ci najlepiej wyszkoleni, którzy byli

w stanie uzupełniać na powierzchni niezbędne zapasy. Jednakże nawet oni nie mogli przekraczać barykady wedle swojego uznania, uchodziło to bowiem za poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa – wypady, jasno ukierunkowane na zdobycie konkretnych surowców, wymagały autoryzacji z góry. Surowo wzbroniono marnowania cennego czasu. Nie będziemy musieli bronić się i wykrwawiać, powtarzał Zawadzki na pierwszym podziemnym zebraniu, jeśli nikt się nie dowie, że pod ziemią znajduje się coś wartego uwagi. Ponieważ miało to sens, obyło się bez protestów. Rozpoczęła się nowa epoka, epoka oświecenia latarkami, świecami, lampami naftowymi i ogniskami. Oświecenie żarówkowe, choć możliwe z pomocą skromnego generatora napędzanego silnikiem diesla, zostawiono sobie na czarną godzinę.

Wataha, czymkolwiek była, nie mogła sięgnąć tak głęboko. Na dnie świata niestraszne stały się sztormy i burze. Tam gdzie lata temu prowadzono badania nad bezpieczeństwem górników, teraz – pięści badaczy uderzające w niematerialny stół w zaświatach musiały dawać właśnie głośny koncert – schronienie znalazła zbieranina łachmaniarzy, których porzucił okrutny świat na powierzchni.

Ludzie, obdarzeni niesamowitą zdolnością adaptacji, szybko przyzwyczaili się do braku słońca. Spokój ducha z nawiązką rekompensował wieczną noc. Kilka dni po pogrzebaniu się żywcem ludu wybranego, gdy wyznaczono już kalendarzowego mającego sprawować pieczę nad upływającym czasem, a miejsce do spania przestało być dobrem luksusowym, zarządzono próbę elektrycznego oświetlenia. I stało się światło. Agregat szybko jednak wyłączono i zaraz zapalono świece i ogniska, gdyż poza światłem stał się hałas. Niósł się korytarzami, nie pozwalał zasnąć, a na dłuższą metę z pewnością mógł doprowadzić do szaleństwa. Wszyscy zgadzali się co do tego, że tutaj, pod ziemią, tradycyjne źródła światła będą zdecydowanie lepiej spełniać swoją funkcję.

Tego samego dnia w improwizowany dzwonek w postaci metalowej

płytki zawieszonej obok wejścia do namiotu Tomaszewicza zapukał Zawadzki. Musimy się napić, oświadczył. Było to jedno z tych zdań, które zwykle zapowiadało większą lub mniejszą, ale zawsze nieuniknioną tragedię. Na zewnątrz czekał już Borowski, lecz pytające spojrzenie Tomaszewicza pozostało bez odpowiedzi. Metalowe kubki zostały odruchowo napełnione wódką wkrótce po przekroczeniu progu podziemnego biura. Za pierwszą porcją natychmiast pojawiła się następna; trzecia zamykała pierwszy konwój uciekający przed trzeźwością. Wszystko odbywało się bez słów, za to wśród odgłosów przełykania i chlupotu uzupełnianych naczyń. Wreszcie, kiedy twarze nabrały rumieńców, a niepokój sięgnął zenitu, Zawadzki przemówił.

– Borowski… czym była zasilana ta twoja radiostacja?

Starzec wolno trawił pytanie, szukając pułapki.

– Jak to: czym? Agregatem, dieslowym. Coś myślał, że na korbę?

– Czy dopuszczasz możliwość…

Rumieniec na twarzy Tomaszewicza ustąpił miejsca trupiej bladości. Wiedział już, do czego zmierza Zawadzki.

– Jaką znowu możliwość? Chciałeś pić czy dostać wykład?

– Czy mogłeś się przesłyszeć? Czy komunikat mógł brzmieć inaczej?

Borowski uniósł brwi.

– Co? Przesłyszeć? Przecież on się powtórzył kilka razy! Dziesięć, powiedzmy… Według ciebie dziesięć razy się przesłyszałem? Może słuch mam już nie ten, ale na litość boską…

Zawadzki nie dał za wygraną.

– Słuch nie ten. Obok ciebie dudnił agregat. Choć to już w zasadzie bez znaczenia, jestem zwyczajnie ciekawy. Chcę zasnąć bez dodatkowych pytań w głowie. Może nie chodziło o watahę, a wachę? No wiesz, paliwo? Może nie było mowy o ukrywaniu, a upijaniu? – Wzruszył ramionami. – Wyobraźnia, szczególnie teraz, gdy czasy niespokojne, sama podpowiada to, co spodziewa się usłyszeć. To strach tworzy demony.

Borowski odpowiedział nieobecnym spojrzeniem.

– Chyba nie brzmi to całkiem absurdalnie? Pomyłki się zdarzają. Oczywiście nie można było ryzykować, ale fakty są takie, że aż do naszej podróży nic nie nadeszło.

– Nadal sądzę…

– A ta radiostacja? – Zawadzki nie pozwolił mu skończyć. – Pewnie, jak to teraz bywa z takim sprzętem, nie była w najlepszym stanie? – Borowski otworzył usta, chcąc zaprotestować, jednakże Zawadzki kolejny raz wszedł mu w słowo i kontynuował dyskusję, która niechybnie zmieniała się w monolog. – Niesprawna radiostacja, hałas, atmosfera strachu, radiowiec… – Przez krótką chwilę szukał właściwego słowa. – Radiowiec amator… Musiała zajść pomyłka. Borowski, przecież jesteś racjonalistą!

I to wreszcie był spektakl godny oklasków. Skłonienie skały do refleksji stanowi sztukę najwyższego sortu. Pech chciał, że widownia składała się z samych tylko aktorów.

– Nie mogę tego wykluczyć. Na litość boską, tak bardzo zależało ci na tym, żeby mnie upokorzyć? Brawo, co za osiągnięcie! Pokonałeś starca. Coś jeszcze chciałeś usłyszeć? Może porwałem i zjadłem Pietrzaka? – syknął.

– Nie sądzę, miałbyś z nim problem. – Zaśmiał się Zawadzki, potem zaś dodał nieco ciszej: – Aczkolwiek cholera wie, gdzie zniknął. Bo dokąd mógłby uciec? Zresztą on, uciec? Mało prawdopodobne, choć wszyscy woleli zaakceptować taką wersję dla świętego spokoju. Jeśli jednak założyć, że Pietrzak zginął na warcie… Szkoda go jak diabli, dobry chłopak z niego był, taki młody! Jeśli więc zginął na warcie, to… No cóż, to też twoja wina. Częściowo. Oczywiście nie zarzucam umyślnego działania, wypadki się zdarzają, pomyłki też. Poza tym… O czym my tu w ogóle rozmawiamy? Było, minęło. Trzeba żyć dalej. – Klepnął Borowskiego w ramię, a ten niemal się przewrócił.

Ruszył w stronę biurka i stojącej na nim butelki. W tej części

pomieszczenia znajdował się również Tomaszewicz, który przysłuchiwał się rozmowie z zaciśniętymi pięściami. Napełniając szklanki, Zawadzki szepnął w jego stronę:

– Ten stary bydlak kłamie. To nie była żadna pomyłka.

Dla Tomaszewicza oznaczało to sygnał startowy. Czerwona mgła przesłoniła mu oczy, mięśnie napięły się… Pierwszy krok był sprężysty i zdecydowany, drugi szybszy, trudniejszy technicznie, albowiem do pracy nóg dołączyły unoszące się w zamachu ręce. Przy wejściu w trzecią, ostatnią fazę wydusił z siebie „pierdolony dziadu…", lecz słowa stanowiły tylko tło dla trasy pociągu towarowego wypełnionego po brzegi bezmyślnym gniewem, którego przejawem była pięść zmierzająca w kierunku twarzy Borowskiego. Zaatakowany mężczyzna nie miał najmniejszych szans na unik czy podniesienie gardy; nie zdążył nawet pomyśleć. Cios wygładził jedne zmarszczki na jego twarzy, spowodował drugie, a ułamek sekundy później bezwładne ciało upadło na betonową posadzkę. W dźwięku, który temu towarzyszył gdzieś na granicy słyszalności, obecny był trzask jeżący włosy na głowie.

Zawadzki ogłosił zebranie tego samego wieczoru. Było obowiązkowe. Sprawa bezpieczeństwa nie znosiła zwłoki i miała najwyższy możliwy priorytet. Od tego też zaczął. Echo jego głosu odbijało się korytarzami, zwielokrotniając siłę przekazu.

– Nasze bezpieczeństwo – powiedział po krótkim wstępie – zależy od nas wszystkich. Jedno pęknięcie może zniszczyć z trudem budowaną tamę odgradzającą nas od zagrożeń. Jeśli nie jesteś największą rybą w akwarium, to musisz być najmniej widoczną. Gorzej, gdy zagrożenie znajduje się po niewłaściwej stronie, wówczas trzeba walczyć aktywnie. Podróż nie była długa, ale okupiliśmy ją trudem i potem. Zaryzykowaliśmy. Obecnie mogę stwierdzić z całą stanowczością, że nasze poświęcenie nie poszło na marne. Niemniej porzucenie przez nas dotychczasowego wygodnego życia na powierzchni okazałoby się niepotrzebne, gdybyśmy sprowadzili „watahę"

ze sobą. W tej materii nie ma miejsca na kompromis. Tomaszewicz zostanie rozstrzelany. – Zrobił pauzę, pozwalając dojrzeć ciszy.

Tomaszewicz zaś z rosnącym rozbawieniem obserwował zbiorowy dysonans poznawczy. Stał się ciałem doskonale obojętnym, nie podejmował nawet prób obrony, do końca nie dopuszczając do siebie myśli, że kara zostanie wykonana. Przecież to był wypadek, powtarzał w myślach. Wypadki się zdarzają, to nie jest powód do morderstwa.

Zawadzki kontynuował:

– Targają wami wątpliwości i jest to zrozumiałe. W normalnym trybie poddalibyśmy taką decyzję pod głosowanie. Nietypowe okoliczności wymagają jednak nietypowych metod. Dziś nie ma miejsca na litość, którą niektórzy z was z pewnością chcieliby okazać. Słabość mogłaby ściągnąć na nas zgubę w niedalekiej przyszłości. Wygnanie również nie wchodzi w grę – dodał natychmiast, gdy to słowo, niby mysz, prześlizgnęło się bezszelestnie wśród zebranych. Owszem, Borowski nie był do końca pewien, co usłyszał. – Niemniej wciąż należy zachować czujność, bo przecież nie musiał się mylić… – Przerwał na moment. – Gdybyśmy wygnali jednego z nas, a ów wpadłby w ręce wroga, bylibyśmy straceni. Na uwięzienie go zwyczajnie nie mamy środków. Poza tym wszyscy jesteśmy po trosze uwięzieni. Zatem to żadna kara. Niech więc zatriumfuje sprawiedliwość. Mogę mówić tylko za siebie, ale przecież wszyscy jesteście inteligentnymi ludźmi. Nie chcę być następną osobą w kolejce do grobu wykopanego przez tego mordercę. Karą za zabójstwo będzie śmierć.

Milczące protesty, objawiające się niepewnymi spojrzeniami, nerwowymi gestami i zaciśniętymi wargami w ostatniej chwili powstrzymującymi przed wyartykułowaniem opinii, powoli nikły. Nadeszło oświecenie. Nie tylko Zawadzki nie chciał być następny w kolejce; nikt nie chciał. Priorytet stanowiło bezpieczeństwo, które pozwalało funkcjonować, spać bez obaw, śmiać się i odpoczywać. Tymczasem w towarzystwie mordercy zawsze trzeba mieć się na baczności. Ludzie łaknęli sprawiedliwości ujętej w ramy

nieskomplikowanego prawa. Wszak, zakwitły myśli, nie ma nic uczciwszego i prostszego niż zasada „oko za oko”. A że Tomaszewicz? Kto jak kto, ale on miał prawo oszaleć. Od dawna zachowywał się dziwnie. Wściekłego psa należało uśpić, szczególnie jeśli mieszkało się z nim w jednej budzie.

„To było nie tyle nasze moralne prawo, ile nasz moralny obowiązek” – miał napisać tydzień później w jednym z nagrodzonych oklaskami manifestów.

Tej scenie rodzajowej Gębiński przyglądał się z obojętnym wyrazem twarzy. Gdy udzielał ostatniego namaszczenia, pchały mu się na usta tysiące słów, które jednak zamknęły się w standardowej formule. Tomaszewicz wchodził mu w słowo, pytał o sens wszystkiego, o cel przedstawienia. Zarzekał się, że dostał już nauczkę, puszczał oko i szeptał konspiracyjnie, iż wystarczy tej farsy. Gębiński nie przerwał nawet na moment.

Nocą modlił się wyjątkowo żarliwie. O ogień piekielny, który pochłonie Zawadzkiego, i za wszystkich tych, którzy zdecydowali się go poprzeć i którzy postanowili milczeć. W tym siebie samego.

Zasnął dopiero wtedy, gdy dźwięk wystrzału dotarł do jego uszu.

Zawadzki wiedział, że zachowanie grupy łatwiej jest przewidzieć niż zachowanie jednostki, otoczył się więc profilaktycznie uzbrojoną strażą złożoną z ludzi, na których tymczasową lojalność mógł liczyć w zamian za złożone obietnice.

W ciągu kilku kolejnych dni często przywoływał w pamięci dzień swojego przybycia do Tychów. Obraz Piramidy, niegdyś pięciogwiazdkowego hotelu, a wtedy już ruiny, której kształt dało się odtworzyć wyłącznie z pomocą wyobraźni. Ta geometryczna figura wryła się głęboko w jego pamięć. Wiele lat później uświadomił sobie jednak, że człowieka najlepiej opisuje trójkąt. W piramidzie objawia się hierarchia indywidualnych potrzeb, które zaspokoić może tylko sprawny system

oparty na tej samej bryle.

Społeczeństwo potrzebuje przywódcy, kogoś zdolnego do podejmowania ważnych decyzji, patrzącego na świat z szerszej perspektywy. Najlepszą perspektywę zaś daje obserwacja z góry, tak więc tylko system hierarchiczny gwarantuje stabilność i bezpieczeństwo wieloosobowego tworu społecznego.

Drogowskaz nie może się mylić, powtarzał w myślach Zawadzki, próbując zapaść w sen. Drogowskaz musi wskazywać cel, wskazywać skutecznie, nawet drogą manipulacji w imię większego dobra. Jeśli nie dosłownie, to w przenośni, jeśli nie osobiście, to za pośrednictwem wszelkich dostępnych środków przekazu. W tym radia.

Bartosz Majorczyk

Krótki rys człowieka współczesnego

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

CZŁOWIEK RODZINNY

A było to tak:

„Wilk nadchodzi!”. Krzyk poderwał zaspanych Szaraków. Przerażeni pobiegli w kierunku wieży obserwacyjnej, gdzie wciąż ktoś uderzał w zawieszoną na sznurze szynę. Dźwięk przycichł, zastąpiony nagle przez piskliwy chłopięcy rechot. Syn przywódcy znów z nich zakpił, zastraszył wartownika i wszczął fałszywy alarm, aby z wysokości dawnego masztu sieci elektrycznej patrzeć, jak w popłochu wybiegają ze swych bud, pośpiesznie narzucając na grzbiety brudne kurtki. Wartownik, młody chłopak od Kruszewskich, ze łzami w oczach stał u podnóża stalowej konstrukcji, kiwając głową z rezygnacją. Brnąc boso przez głęboki śnieg, Szaraki szczękali zębami, w poczuciu bezsilności zaciskając zgrabiałe dłonie na styliskach łopat i wideł. Wracali do swych skromnych chałup zmarznięci i rozdygotani od emocji, żegnani gromkim śmiechem i szyderstwami. Chłopaka przywódcy nikt nie ruszy, chociaż po raz kolejny wyciął im ten sam numer. Przywódca bardzo nie lubił, gdy ktoś źle się wyrażał o jego najmłodszym, ukochanym synu, nie wspominając już o starszych braciach smarkacza, którzy jako jedyni w wiosce mieli broń, a kiedy popili, wspinali się na wyżyny okrucieństwa. Mały żartowniś robił im podobne żarty regularnie, przywódca nie reagował, a oni wszyscy

w końcu zobojętnieli na dźwięk alarmowego dzwonka. Aż pewnego razu Wilk rzeczywiście do nich przybył, aby porwać dzieci. Nikt nie zareagował na alarm, a gdy rozpędzona ciężarówka przebiła się przez bramę i z jej wnętrza wypadli uzbrojeni ludzie, było już za późno. Pijani w sztok synowie przywódcy nie zdołali obronić osady. Ten, którego hełm zdobiła spreparowana głowa wilka, plecy zaś okrywała niczym peleryna wilcza skóra, osobiście zabił przywódcę, a potem zabrał im wszystko, co mieli cennego, oraz porwał każde dziecko, które wpadło w łapy jego ludzi.

– …i kiedy pełniący straż Żartowniś naprawdę zauważył nadciągającego wilka i zaczął uderzać w alarmowy dzwonek, nikt nie zareagował. Wszyscy byli przekonani, że po raz kolejny chce ich nabrać. Spali więc dalej smacznie, kiedy drapieżnik wchodził do kurnika, by porwać wszystkie kury. Koniec. Czas już spać, księżniczko.

Leżąca na łóżku polowym dziewczynka bynajmniej nie wyglądała na śpiącą. Jej duże niebieskie oczy skupiły się na chwilę na brezentowym dachu namiotu. Adam znał tę minę. Mała układała w myślach pytanie.

– Zatem, tatusiu, to wina chłopca, że mieszkańcy stracili swoje kury, prawda? To jemu powinno być wstyd.

– Rok temu, mój misiaczku, odpowiedziałbym, że masz rację, ale jesteś już duża, zadajesz mądre pytania, zasługujesz więc na prawdziwą odpowiedź. Wina leży po stronie wszystkich mieszkańców. Nie tylko Żartowniś zrobił źle. Mieszkańcy powinni zachowywać czujność, a że tego nie zrobili, ponieśli konsekwencje. Najbardziej odpowiedzialny za stratę kur był przywódca wioski. To on powinien zadbać o dyscyplinę. On powinien pogonić Żartownisia do ciężkiej pracy, przy której odechciałoby mu się robienia kawałów. W końcu to on powinien wystawić wartownika, który nie tylko ostrzegłby innych, ale sam pogoniłby złego wilka. Ten przywódca był słaby i nieudolny i przez to wszyscy musieli zapłacić wysoką cenę. Sama wiesz, ile na targowisku chcą za żywą kurę. Majątek.

– A nasza przywódczyni? Czy ona jest silna? Czy jak przyjdzie wilk, to

nas obroni?

Adam nie pierwszy raz był zaskoczony dojrzałością pytania swej pięcioletniej córki. Czuł dumę, jak pewnie każdy ojciec, któremu wydaje się, że jego dziecko jest wyjątkowe. Pięciolatka istotnie taka była, chociaż nie chodziło o niezwykłą w jej wieku inteligencję. Adam przebiegł wzrokiem po wyblakłym różowym kocyku do miejsca, w którym powinny się odznaczać dwa duże wybrzuszenia nóg. Jego córka urodziła się zdeformowana i nigdy na własnych nogach nie przemierzy przepastnych podziemi ich schronienia. Siłą woli powstrzymał zaciskające się z determinacji wargi. Już dawno obiecał sobie, że zrobi wszystko, aby ją ochronić i zapewnić jej przyszłość. Byli tacy, co twierdzili, że w nowym, okrutnym świecie nie ma miejsca dla kalek. Po jego trupie! Otrząsnął się i wrócił myślami do pytania dziecka. Ich przywódczyni, Cesarzowa, jak zwykło się po cichu mawiać, była najlepszą kandydatką do tej roli. Znała warunki panujące na powierzchni, była twarda, nie poddawała się emocjom i choć preferowała rolę ciepłej, lecz surowej matki, potrafiła też być stanowcza i bezlitosna aż do granic okrucieństwa. Zmarły przyjaciel Adama zwykł mawiać, że na takim stanowisku trzeba mieć ostry jak brzytwa umysł, twardą dupę i serce z lodu, zdolne od czasu do czasu się roztopić, by chwilę później stężeć na podobieństwo skały. Każdy, kto miał okazję słyszeć tę sentencję, twierdził, że wyjątkowo dobrze opisuje ona Sylwię Strzelecką, władczynię Wileniaka, największego ludzkiego skupiska na prawym brzegu zrujnowanej stolicy.

Niecierpliwe ponaglania córki wyrwały Adama z zamyślenia.

– Wybacz, złotko. Chciałem dobrze się zastanowić, zanim odpowiem na twoje pytanie. Odpowiedz brzmi: tak. Nie znam osoby, która lepiej by się nami opiekowała. Nasza przywódczyni jest zresztą bardzo podobna do ciebie. Chciałbym, abyś w przyszłości była taka jak ona. No – nie pozwolił jej zadać kolejnego pytania – czas już na mnie. Muszę iść do pracy.

Zgasił świecę osłoniętą ściankami dużego słoja. Znał swoją córkę

wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że i tak zada jeszcze jedno pytanie.

– Kiedy zabierzesz mnie do swojej pracy?

– Już ci mówiłem, że to niemożliwe. Tam, na dole, jest strasznie wilgotno i ciemno. Wujek Michał nie darowałby mi, że narażam życie jego ulubionej przyjaciółki.

– Wujek Michał powiedział, że mam zadatki na wybitną tancerkę i on mnie kiedyś zaprosi na bal, i będzie ciągle ze mną tańczył. Opowiedział mi też o twojej pracy.

Ręka Adama zamarła w pół drogi do kotary, która przedzielała ich wspólny namiot na namiastki pokoi. Ponownie usiadł na łóżku, starając się opanować głos.

– Co… co ci powiedział?

– Że razem dbacie o to, żeby nie zalała nas woda, i pilnujecie, żeby robaki nie zjadały marchewki. Że jesteś bohaterem.

– Ja tylko pilnuję, by moja kochana córeczka miała co jeść i nie musiała się bać, że któregoś dnia wielka woda uniesie jej łóżko i zabierze ją na wycieczkę.

– To byłoby zabawne. – W ciemności rozległ się radosny chichot małej.

– Dobranoc, księżniczko. Do zobaczenia jutro.

Kolejny punkt wspaniałego rodzinnego rytuału dobiegł końca. Adam uwielbiał układać do snu swoją córkę, opowiadać jej bajki i toczyć dyskusje na temat tego, co z nich wynikało. Uwielbiał moment, gdy jego żona przynosiła mu jedzenie zawinięte starannie w otłuszczony brązowy papier. Uwielbiał przed wyjściem z namiotu całować ją w usta, życząc miłego wypoczynku. Zawsze krzywił się teatralnie, kiedy żartobliwie mówiła, by nie pozwolił uciec żadnej marchewce. Kochał swoją rodzinę ponad wszystko. To ona dawała mu energię do pracy, której szczerze nie znosił.

CZŁOWIEK PRACUJĄCY

Adam okiem gospodarza zlustrował zza ciemnych szkieł okularów pracujące przy sadzonkach dzieci. Ostre światło zalewało prawie cały

poziom peronu oraz tuneli, którymi niegdyś, przed katastrofą, opróżnione z pasażerów składy odjeżdżały do zajezdni na przegląd i przygotowanie do podróży w drugą stronę. Teraz najniższy poziom całego kompleksu zamieniono w gigantyczną uprawę warzyw. Skrzynki wypełnione ziemią zajmowały każdą wolną przestrzeń torowisk i peronu, a ścieżki między nimi były tak wąskie, że podczas obchodu Adam musiał stawiać jedną nogę za drugą. Niekiedy utrzymanie równowagi w czasie marszu było iście akrobatycznym wyzwaniem. Spoglądał na dzieci, które na wychudzonych nogach poruszały się zadziwiająco sprawnie między skrzynkami. Lękliwie odskakiwały od niego, momentalnie wyszukując sobie jakieś pożyteczne zajęcie. Nauczyły się już, że nie znosi, gdy ktoś stoi bezczynnie lub nie przykłada się do swoich obowiązków. Chude jak patyki i brudne od ziemi, mrugały bez przerwy zapuchniętymi od ostrego światła powiekami. Miały szarą skórę, miejscami tylko przechodzącą w bardziej naturalny odcień. Adam na początku wzdrygał się, widząc, jak ciężko muszą pracować. Z czasem zrozumiał jednak, że taką cenę muszą zapłacić za szansę na przedłużenie życia. Skażone powietrze na powierzchni było bezlitosne. Ci, którzy musieli nim oddychać od urodzenia, stale tracili siły, skóra im szarzała coraz bardziej, a każdy kolejny rok życia przytępiał ich zmysły i reakcje. Spotykani na powierzchni czterdziestolatkowie byli niczym artretyczni starcy, dla których każdy ruch stanowi niebotyczny wysiłek. Jedynym ratunkiem były dla nich dzieci, które przyszedłszy na świat w skrajnych warunkach, lepiej znosiły trudy i później niż ich rodzice wpadały w stan otępienia. Nawet one jednak słabły, stając się ciężarem dla kolejnego pokolenia. Dzieciaki, które właśnie obserwował, za swój wkład otrzymywały nieskażone jedzenie i mogły oddychać czystym, filtrowanym przez oczyszczacze powietrzem. Odsuwano w ten sposób wyrok śmierci wiszący nad ich głowami od urodzenia. Bywało też tak, że młody organizm zwalczył chorobę całkowicie. Wtedy dzieciak mógł wrócić do normalnego życia. Dostawał własną pryczę na poziomie mieszkalnym, w jednej ze

wspólnych sypialni. Zaczynał od zera, ale otwierały się przed nim nowe możliwości. Adam znał takich, co dochrapali się kramików na targowisku lub ujawniwszy unikalne talenty, pięli się po szczeblach kariery. U tych dzieciaków, na które teraz spoglądał, każda nowa jaśniejsza plama na szarej skórze była powodem do dumy i nadzieją na przyszłą poprawę zdrowia. Z inicjatywy Adama każda nowa grupa zaczynająca pracę wśród sadzonek miała możliwość porozmawiać z Jarkiem, który zaczynał jak wszyscy, lecz w końcu wyzdrowiał i objął funkcję konserwatora sieci wodociągowej, mieszkał w osobnym namiocie, a nawet podobno ostatnio się ożenił.

Adam był zadowolony z pracy zmiany, którą skontrolował. W raporcie zaznaczył nagrodę w postaci dodatkowego kwadransa przerwy i dodatkowej połówki racji żywnościowej. Przyjaźnie pomachał mijanym nadzorcom, ale szybko przestał się uśmiechać. Zbliżał się do najciemniejszej części metra. Tunele prowadzące na południe, w kierunku stacji Stadion Narodowy, przegrodzone zostały solidną stalową zaporą pilnowaną przez znudzonych strażników. Chociaż bariera tłumiła dźwięki znajdujących się po drugiej stronie pomp i agregatów, to i tak denerwujące monotonne buczenie przyprawiało go o ból zębów. Członkowie jego ekipy szykowali się już do wejścia, naciągając na siebie wysokie gumowane spodnie na szelkach, zakończone solidnym nieprzepuszczalnym obuwiem z antypoślizgową podeszwą. Przywitali się z nim serdecznie, wymieniając mocne uściski dłoni i trwające mgnienie oka uśmiechy. Nikomu nie było wesoło, zważywszy na to, że znów musieli wejść tam, gdzie żaden z nich nie miał ochoty się zapuszczać. Michał, zwany w ekipie Dzikusem ze względu na mocną szczękę, niesforną burzę słomianych włosów i masywne łuki brwiowe, złapał Adama za rękę, odciągając go nieco od strażników przy grodzi.

– Ten dzieciak, którego przywieźliśmy z ostatniego wypadu w okolice Jasienicy… syn tamtejszego przywódcy. No wiesz, ten… – Dzikus przełknął ślinę, zezując na strażników. – Ten, którego wczoraj skatowałeś

za to, że odmówił dalszej pracy…

– Nie skatowałem go, tylko mu parę razy przyłożyłem, bo chciał podnieść rękę na Huberta. Wyduśże to z siebie, Dzikus. Co ze szczylem?

– Nie żyje. Trochę za mocno mu przyłożyłeś. Niby dobrze, bo Śmierdziele będą robić co trzeba bez szemrania. Strażnikom powiedziałem, że szczyl miał wypadek, ale wiesz, jak jest. Trzeba im coś zarzucić, żeby plotki nie poleciały na górę. Cesarzowa nie lubi takich akcji, a wiem, że starasz się mieć u niej dobre notowania ze względu na Zuzię.

Adam zagryzł wargi. Nie było mu żal gówniarza, który podburzał inne dzieciaki do oporu i był niereformowalny. Poniewczasie żałował jednak, że go poniosło, gdyż mogło się to zakończyć niezłą aferą. Na szczęście miał schowane kilka butelek przedwojennej wódki i teraz postanowił uszczuplić nieco ten drogocenny zapas, aby przekonać strażników do rozpowszechnienia odpowiedniej wersji wydarzeń, w myśl której mały gnojek został przygnieciony fragmentem zapory w trakcie likwidowania przecieku.

– Dobra, Dzikus. Biorę to na klatę. A ty uważaj, co opowiadasz Zuzi. Mała twierdzi, że zabierzesz ją na bal…

– Bo zabiorę! – Michał się obruszył. – Niech w końcu zorganizują jakąś imprezę, to ja porywam twoją córkę. Zobaczysz, jak będziemy wywijać. Na całym Wileniaku nie znajdziesz lepszych tancerzy.

Adam miał już coś dodać, ale tylko się uśmiechnął, przyjacielsko klepiąc Dzikusa po ramieniu. Pozostałym dał znać, że pora ruszać. Sam pośpiesznie włożył ochronną odzież, obserwując spod oka, jak strażnicy otwierają ciężką bramę.

Weszli w gęstą falę smrodu i przytłaczającego hałasu. Adam skrzywił się, opanowując chęć splunięcia, by pozbyć się tłustego nalotu, który momentalnie pokrył mu język i podniebienie. Siłą woli powstrzymywał się przed zerwaniem chusty szczelnie owiniętej wokół twarzy. Widział, że pozostali przeżywają podobne męki. Każdy z nich schodził tutaj wiele razy,

a mimo to zawsze doświadczali prawdziwych katuszy. Jak widać, do pewnych rzeczy nie można się przyzwyczaić. Mocne latarki czołowe rozświetlały czerwony półmrok, w jakim skąpane były oba tunele. Huk agregatów boleśnie wbijał się klinem pod czaszkę. Adam dał znak dwóm swoim ludziom, aby skontrolowali maszynerię odpompowującą wodę. Sam z Michałem zajął się sprawdzaniem stanu stalowej bariery, którą przed chwilą minęli. Dzikus ciężko dyszał, niosąc na plecach turystyczny plecak, wypełniony po brzegi prowiantem, zmianą odzieży i innymi potrzebnymi przedmiotami.

Kwadrans później ludzie Adama, gestami potwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, ruszyli w głąb prawego korytarza. Sprawnie pokonywali kolejne bariery z foliowych worków z piaskiem chroniących cenne urządzenia przed niszczycielskim żywiołem, którego przesączające się przez tamę strużki spędzały sen z powiek Cesarzowej. Lodowata, ciemna i oleista woda sięgała im już do kolan. Dwieście metrów dalej mogli wreszcie zerwać chusty z twarzy i wyjąć zatyczki z uszu. Tutaj smród nie był tak intensywny, a odgłosy pracujących na pełnych obrotach agregatów i pomp, chociaż potęgowane przez akustykę tubingu, nie przeszkadzały w swobodnej komunikacji. Dzikus, który oddał ciężki plecak swojemu zmiennikowi, z ulgą rozprostował plecy. Wszyscy łapczywie wciągali powietrze, co rusz charcząc i spluwając. Gdy rytuał oczyszczenia dobiegł końca, Adam wyjął zza pazuchy plastikowy bidon z rozcieńczonym spirytusem, który szybko zaczął przechodzić z rąk do rąk.

– Poziom wody jest niższy niż ostatnio. – Hubert, spec od wszelkiego mechanicznego ustrojstwa, z żalem oddał alkohol koledze. – To znaczy, że Śmierdziele wzięli się solidnie do pracy.

– Wystarczy więc, że od czasu do czasu zatłuczemy jakiegoś nygusa, a… – Tomasz, zwany Myszką ze względu na niesfornie sterczące wąsy, umilkł nagle, napotykając spojrzenie Adama.

Wszyscy w milczeniu przygotowywali się do następnego etapu kontroli.

Zza pasków wyciągali stare policyjne pałki, rzemieniem mocując je do nadgarstka. Adam wydobył z wodoszczelnej kieszeni na piersi krótki rewolwer, zakręcił bębenkiem, sprawdzając, czy w każdej komorze tkwi tępo zakończony nabój. Zrobił to, by uspokoić towarzyszy i zasygnalizować, że siła jest po ich stronie. Wreszcie ruszyli z ociąganiem w stronę tamy.

Ostry dźwięk gwizdka poderwał pracujące przy zaporze ciemne cienie. Z tunelu technicznego zaczęły wybiegać kolejne humanoidalne sylwetki. Wszyscy karnie ustawili się w długim szeregu, stojąc po kolana w wodzie pośrodku tunelu. Mrużyli oczy, nieprzywykłe do ostrego światła latarek, ponieważ większość czasu spędzali przy ciepłym czerwonawym blasku lampek technicznych. Adam dał znak i ruszył wzdłuż szpaleru przygarbionych młodzieńców, z przodu i z tyłu mając swojego człowieka. Lustrował przy tym uważnie każdą postać z osobna. Cała dziewiętnastka była równie wychudzona i brudna. Niemal wszyscy mieli poranione i napuchnięte od wody dłonie, zniszczone od ciągłej pracy przy zaporze. Było też kilku, którym brud wżarł się głęboko w naskórek. Ci zajmowali się wybieraniem i suszeniem mułu nanoszonego przez wodę przedostającą się szparami. Adam przypomniał sobie gnojka, którego zbyt mocno pobił w czasie ostatniej kontroli. Ten miał czyste ręce, potrafił za to omotać swoich nowych kolegów tak, że o mały włos nie doszło do buntu. Teraz oczy tych, których oblepiło światło latarki, nie były już pełne buty. Kulili się, gdy uwaga kontrolerów skupiała się na ich mizernych postaciach. Posłusznie pokazywali dłonie i podciągali brudne, przemoczone koszulki. W większości mieli po dwanaście lat, czyli byli w tym trudnym wieku, w którym człowiek gotów jest robić irracjonalne i szalone rzeczy bez troski o szanse na sukces czy o konsekwencje. Do tej pracy nadawali się znakomicie. Byli na tyle silni, że bez problemu sobie radzili z trudami ciągłego łatania bariery, i na tyle inteligentni, by wiedzieć, czego się od nich wymaga. Dzięki drobnej budowie docierali w miejsca, w które nie

dotarłby żaden dorosły.

Adam miał z ich powodu wyrzuty sumienia, jak pewnie każdy, kto nie był psychopatą. W końcu to też były dzieci; nie zasłużyły sobie, by pracować w tak trudnych warunkach, w ciemności, brudzie, wilgoci. Kuliły się bezwiednie na swoich pryczach ze świadomością, że za barierą, którą bez ustanku reperują, piętrzą się hektolitry mętnej cieczy, gotowej ich pochłonąć, kiedy tylko przeszkoda ulegnie skruszeniu. Cesarzowa potrafiła jednak rozwiać wszelkie wątpliwości w tej sprawie. Jeśli nie one, będą to musiały robić dzieci wasze i waszych sąsiadów. Taka jest cena za bezpieczeństwo naszego schronienia. To był dostatecznie dobry powód, aby znieczulić własne sumienie. Zresztą te dzieciaki miały tu jakieś szanse. Tutejsze powietrze było czyste, a jedzenie, które dostawały, wolne od skażeń. Ci, którzy wyrośli i zmężnieli, przestając się nadawać do tej pracy, trafiali do innych zadań, co było dla nich prawdziwym awansem. Tam, na powierzchni, skąd zostali zabrani, czekał ich nieuchronny los wszystkich Szaraków…

Z zamyślenia wyrwał Adama chlupot wody. Jego zastępca dał mu do zrozumienia, że kontrola przebiegła pomyślnie. Wcześniejszy incydent ostudził buntownicze nastroje, praca wykonywana była rzetelnie, na co wskazywały obniżenie się poziomu wody oraz rosnąca sterta wysuszonego mułu, który wkrótce zostanie użyty do użyźnienia upraw. Adam ruchem ręki nakazał wydać przyniesiony prowiant. W plecaku było coś jeszcze, co wywołało radosne pomruki wśród zgromadzonych w szeregu młodzieńców. Dzikus wyciągnął niewielką karbidówkę oraz prezent w postaci pudła z warcabami i kilkoma zeszytami komiksów. Jest kij, musi też być marchewka, pomyślał cierpko Adam, pośpiesznie zbierając ekipę. Chciał jak najprędzej opuścić to piekielne miejsce. Wiedział, że pozostali z ulgą przyjmą rozkaz do powrotu.

CZŁOWIEK ROZUMNY

O tym, że Cesarzowa wzywa go do siebie, dowiedział się chwilę po tym,

jak zrzucił z siebie ubranie ochronne i przesiąkniętą smrodem tuneli koszulkę. Cieszył się na myśl o ciepłym prysznicu, który przysługiwał kontrolerom; po dziewięciu godzinach przepatrywania zakamarków najniższego poziomu metra, pisania raportów, naprawiania usterek i zwyczajowych kłótni z magazynierami był naprawdę wykończony. Obmywany gorącymi kroplami, z przykrością uświadomił sobie, że będzie musiał zrezygnować z planów rodzinnego wypadu na targowisko. Uwielbiał, kiedy Zuzia kręciła się na jego rękach, pełnymi radości oczami obserwując wystawiane przez handlarzy rzeczy, które trafiły z powierzchni na dół dzięki wynajętym Szarakom.

Domyślał się, że skoro Cesarzowa go wzywa, przyjdzie mu ślęczeć długo nad papierami. A może czekał go wypad na powierzchnię? Ta myśl dodała mu nieco otuchy. Odkąd zdecydował się na żonę i dziecko, tłumił w sobie dawne stalkerskie przyzwyczajenia. Przez pierwsze lata po Ataku wiecznie ciągnęło go na powierzchnię. Dusił się pod ziemią, źle mu się oddychało bez maski, a cywilne ubrania gryzły go i uwierały. Łapał się na tym, że przed pójściem pod prysznic łapczywie wdycha tak dobrze mu znany zapach smaru do konserwacji broni, pozostawiony na jego dłoniach przez służbowy rewolwer. Z czasem przyzwyczaił się do zamknięcia. Kochał żonę i nie chciał, by cierpiała, wyczekując jego powrotu. Przepadał za Zuzią, zwłaszcza że jej kalectwo zmusiło go do działania. Dało mu cel, pozwoliło zaangażować większość uwagi i energii. Osobista tragedia ostatecznie skłoniła go do porzucenia dawnego życia. Trzy lata temu w czasie badania ruin stacji Stadion Narodowy w celu sprawdzenia, jak bardzo jest zalana i jak bardzo zagraża ich schronieniu, stracił najlepszego przyjaciela. Z nim zdobywał pierwsze doświadczenia, by później nie raz, nie dwa otrzeć się wspólnie o śmierć. Od początku zdawali sobie sprawę, że któryś z nich prędzej czy później przegra z przeznaczeniem…

Choć nie chciał do tego wracać, bolesnej fali wspomnień nie dało się już powstrzymać.

Natura nie znosi próżni. Biało-czerwona korona stadionu stała się tuż po katastrofie jednym wielkim gniazdem dla dzikiego ptactwa. Gdy wypuszczając się na rekonesans, wielokrotnie przechodzili w pobliżu, chmary pokracznych czarnych sylwetek unosiły się nad ich głowami, wypełniając teren wokół krzykliwym jazgotem. Aż przyszedł dzień, w którym ich patrol pierwszy przekonał się na własnej skórze, że ptaki mogą być agresywne. Zaatakowały nagle, setkami spadając z nieba, nieczułe na huk wystrzałów i pociski rozrywające je w locie. Adam wpełzł pod wrak samochodu i stamtąd bagnetem dźgał te pokraki, które po wylądowaniu, kiwając się na cienkich nóżkach, próbowały go dziobać i drapać. Wkrótce był otoczony przez mur martwych ptaków. Cały czas widział swojego przyjaciela, przygniecionego ciężarem pierzastych napastników; Nowicki spazmatycznie zaciskał z bólu dłonie, gdy setki dziobów szarpały go i kłuły. Adam słyszał jego krzyk, tłumiony przez maskę. Uciekając, zgubił karabin i teraz z bezsilności tylko zaciskał pięści do krwi. Nie mógł się ruszyć ze swojej kryjówki. Parę godzin później, gdy nareszcie wyczołgał się spod wraku, po Nowickim nie zostało prawie nic, za to całe pobojowisko pokryte było obżartymi skrzydlatymi drapieżnikami, leniwie dziobiącymi padłych towarzyszy. Przebiegł wtedy przez rzekę ptactwa, które z pełnym wyrzutu skrzekiem rozstępowało się na boki, najedzone tak bardzo, że ignorowało jego obecność. Od tamtej pory Adamowi zawsze trzęsły się ręce, ilekroć zobaczył nad sobą ciemne chmury ptactwa.

– Matko, wzywałaś mnie.

Sylwia Strzelecka zwróciła ku niemu pulchną twarz, obdarzając go promiennym uśmiechem, który zawsze odmładzał ją o dwie dekady. Adam wiedział, że lubi, jak nazywa się ją Matką. Kobieta kiwnęła ręką na ochroniarza, który dopiero na ten znak pozwolił Adamowi podejść bliżej. Cesarzowa była dojrzałą matroną, na której twarzy z roku na rok gościło coraz więcej zmarszczek. Wskazała Adamowi wolne krzesło. Mebel był

prosty, jak zresztą cały wystrój jej ascetycznego gabinetu. Cesarzowa nie lubiła błyskotek. Ceniła sobie użyteczność.

– Wezwałam cię, Adasiu, gdyż potrzebuję twojej pomocy. Idąc za twoją radą, zebrałam kilkunastu przedsiębiorczych Szaraków, którzy w zamian za pewne deficytowe towary zaprowadzą porządek w tym dzikim kłębowisku namiotów i baraków, jakie wyrosło nam ostatnimi czasy nad głowami. Zmieniłam też nadzorcę odpowiedzialnego za całe dawne Centrum Handlowe. Mój nowy człowiek od razu wpadł na pomysł naprawy budynku i podłączenia starej klimatyzacji do jednego z naszych filtrów powietrza. Inżynierowie już badają sprawę, ale być może uda nam się wynagrodzić część Szaraków zasłużonych dla Wileniaka, przenosząc ich do lokum, gdzie powietrze przynajmniej w teorii powinno być nieco mniej skażone. Kontrola, którą rekomendowałeś, rzeczywiście wykazała, że ta gnida Zalewski w swoim skorumpowaniu i malwersacjach przekroczył wszelkie granice. Jutro zawiśnie po pokazowym procesie. Nie, nie zabiję go. Zamknę go w klatce. Niech pooddycha powietrzem na powierzchni, skoro nie potrafił docenić naszego.

– Matko… – Adam odchrząknął. – Intuicja podpowiada mi, że masz dla mnie jakąś sprawę…

– Ta twoja cholerna stalkerska intuicja. I cholerny brak cierpliwości. Dałbyś staruszce się wygadać i poukładać w głowie myśli. Jasne, że mam dla ciebie zadanie… a właściwie osobistą prośbę. Rozmawialiśmy kiedyś o twoich planach. Dalej zastanawiacie się z małżonką nad adoptowaniem jakiegoś dziecka?

Adam był niemal pewien, że nigdy nie poruszał tego tematu z Cesarzową. Nie dziwiło go jednak, że się dowiedziała. W końcu jej potęga tkwiła w tym, że lubiła gromadzić przeróżne informacje i obracać nimi. Na wszelki wypadek zanotował sobie w pamięci, by kolejne prywatne rozmowy przeprowadzać w bardziej dyskretnych warunkach, z dala od wścibskich uszu sąsiadów. Postanowił również sprawdzić, czy przypadkiem

do namiotu nie przyczepiła się żadna pluskwa.

– Tak. Chcemy mieć drugie dziecko, ale po defekcie Zuzi wolelibyśmy nie ryzykować…

Cesarzowa klasnęła w dłonie.

– I dlatego tak bardzo cię cenię, Adasiu. Jesteś rozsądnym człowiekiem, który wie, jak korzystać z galaretowatej szarej brei, jaką ma w głowie. Przypomnij mi, dlaczego nie zgodziłeś się objąć stanowiska mojego osobistego doradcy.

– Wiedziałem aż za dobrze, że twoi pozostali zausznicy zjedzą mnie i moją rodzinę na deser, a potem z przyjemnością wydalą, to zaś, co po nas zostanie, z mściwą satysfakcją rozgniotą obcasem. Wybacz mi, proszę, ten chwilowy brak szacunku dla twojego poczucia estetyki. Nie potrafię odnaleźć się w roli polityka i intryganta. Skończyłbym pewnie oskarżony o sabotaż, wykradanie żywności i spiskowanie przeciw tobie, Matko. Jest mi dobrze na obecnym stanowisku. Jeżeli mogę moimi pomysłami i przemyśleniami przydać się Wileniakowi, z przyjemnością będę się nimi dzielił. Z tobą. Kiedy tylko rozkażesz.

Sylwia Strzelecka spoważniała. Długo wpatrywała się w twarz Adama, świdrując go swoimi błękitnymi oczami.

– Trzymaj ze mną, Adasiu, a wszystkie twoje pragnienia zostaną spełnione, o ile tylko będzie to leżeć w mojej mocy. A teraz do rzeczy. Moja prośba jest następująca. Mam na powierzchni pewną parę Szaraków, którzy wiernie mi służyli, dostarczając bardzo istotnych informacji. Sami są w dość podłym stanie, tak więc sprowadzanie ich pod ziemię nie miałoby sensu. Jednakże urodził im się przedwczoraj syn. Zdrowy. Na razie trzymają go pod namiotem tlenowym, który dostali ode mnie w prezencie. Obiecałam zabrać dziecko pod ziemię i umieścić u dobrych ludzi. Uważam, Adamie, że jesteś dobrym człowiekiem, byłabym ci więc bardzo zobowiązana, gdybyś przyjął tego malca pod swoje skrzydła. Zaryzykowałam nawet konflikt ze swoim doradcą, cofając obietnicę

oddania jego dziecka pod opiekę doktora Marchlewskiego. Na zwolnione nieoczekiwanie miejsce mogłaby wskoczyć twoja córka. Lekarz nie potrzebuje nóg. A poza tym na powierzchni znalazł się dziecięcy wózek inwalidzki. Różowy. Przechodzi właśnie proces dekontaminacji. Co do decyzji… – Uniosła dłoń, powstrzymując Adama od odpowiedzi. – Decyzję chcę usłyszeć pojutrze. Tymczasem wezwałam cię tutaj w innym celu. Wiem, że nie jesteś politykiem ani intrygantem, lecz człowiekiem czynu. Jest do wykonania zadanie na powierzchni. Weźmiesz swoją ekipę plus kilku młodych Szaraków, których przeszkolisz. Dojedziecie pociągiem pod osłoną nocy w rejon ruin Małkini, a potem ciężarówką czternaście kilometrów na południe, gdzie traficie na osadę…

Adam pilnie notował w pamięci dokładne wytyczne przyszłego zadania.

W głębi duszy krzyczał z radości. Był bliski osiągnięcia celu, który przyświecał mu, odkąd urodziła się Zuzia. Miał ochotę wstać i porwać Cesarzową do tańca. Stalkerska cząstka jego duszy, ta, której nigdy nie udało mu się zgasić, tłumiła skutecznie wszelkie objawy dzikiej radości. Dostał nowe zadanie. Miał wyjść na powierzchnię. Z trudem udało mu się powstrzymać cisnący się na wargi uśmiech.

CZŁOWIEK CZYNU

Spod kół parowozu buchnęły kłęby pary, pokrywając okolicę gęstym białym całunem. Adam zlustrował swoich ludzi, których rozróżniał mimo kompletnego ubioru ochronnego. Na platformę przypiętą do parowozu wjeżdżała właśnie chałupniczo opancerzona ciężarówka. Hubert, spec od wszelkiego mechanicznego ustrojstwa, biegał, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Kilkanaście metrów dalej czekała na wezwanie grupka młodych mężczyzn w wypłowiałych i zdekompletowanych mundurach, przyglądając się niepewnie stalowemu kolosowi, który miał ich zabrać na pierwszą w życiu misję. Na ich szarych twarzach widniał wyraz skupienia. Od dzisiaj stanowili nową armię Wileniaka na powierzchni. Na dany przez Adama sygnał zajęli swoje miejsca w ciężarówce. Adam wraz z Dzikusem

wsiedli do kabiny parowozu. Klepnięty w ramię młody kolejarz kiwnął łysą szarą głową. Kolos szarpnął do przodu, z minuty na minutę nabierając prędkości.

Dzikus podał Adamowi worek z grubego płótna. Nadszedł czas, by zostawić za sobą poczciwego Adasia Ciepielaka, kochającego męża i ojca, sumiennego pracownika, rzetelnego doradcę i uczynnego obywatela.

Trzasnął pod pochłaniaczem zatrzask paska przytrzymującego hełm ozdobiony spreparowaną głową wilka. Narzucona na plecy wilcza skóra przyjemnie grzała.

Wilk uniósł jedną ręką poobijanego beryla i wypuścił w stronę krążącego nad nimi ptactwa krótką serię. Na moment odsunął maskę od twarzy i zachłysnął się mroźnym, skażonym powietrzem.

Chwilę potem długo i przeciągle zawył.

Starszyk A.M.

Kapitan

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

Oczywiście nie mogła być tylko żywą legendą. Kapitan Estera, ta, która poprowadziła dziesiątki udanych ekspedycji na Powierzchnię, ostatnich dziesięć bez jednej ofiary śmiertelnej. Opowieści o jej wyczynach powtarzano półgłosem w kątach kantyny i dusznych dormitoriach. Każdy kadet świeżo po przeszkoleniu marzył, by trafić do jej oddziału. Każda kadetka chciała być nią. Całkiem niedawno żandarmi przyłapali jakiegoś cwaniaczka, który sprzedawał łuski po nabojach, podobno należących do Kapitan. Jakby to nie wystarczyło, musiała być jeszcze najładniejszą kobietą, jaką Marek kiedykolwiek widział. Oczywiście mógł się tylko domyślać, co dokładnie kryje jej idealnie regulaminowy mundur. Ale też wyobraźni mu nie brakowało. Dlatego omal nie zemdlał z wrażenia, gdy dowiedział się, że jego pierwszym przydziałem ma być właśnie oddział Kapitan Estery.

– A więc Dowództwo postanowiło, że otwieramy przedszkole – stwierdziła, kiedy zameldował się u niej z rozkazem w spoconej dłoni.

W głosie Kapitan nie było prawdziwej złośliwości, jednakże on poczuł gorąco rozlewające mu się po twarzy. Nie z powodu oburzenia. Wiedział, że niczym nie zasłużył na przydział do oddziału żywej legendy. Raczej z zażenowania, że w ogóle miał czelność tu się pojawić. Chociaż akurat w tej kwestii nie miał wielkiego wyboru…

– Pani Kapitan! Technik medyczny Marek Nowicki gotowy do służby. – Mimo że wydawało się to niemożliwe, spróbował stanąć jeszcze odrobinę bardziej na baczność.

– To się okaże. Spocznij. I pakuj manatki, techniku medyczny. Jutro ruszamy na Powierzchnię. Zbiórka przy śluzie zaraz po porannym apelu. – I tym razem w jej głosie nie było złośliwości. Ani napięcia, z jakim oficerowie szkoleniowi często wydają polecenia: jakby delektowali się każdym rozkazem. Ot, czysty komunikat ogłoszony przez doskonałą maszynę wojenną.

Zasalutował. Kapitan odpowiedziała mechanicznym, choć wcale nie niedbałym gestem. Nie zostało mu nic innego, jak wymaszerować z jej kwatery. Dopiero po przejściu kilku korytarzy doszedł do siebie na tyle, by zacząć myśleć. I by uświadomić sobie, że nie zapytał nawet, na jak długą wyprawę ma się szykować.

Swoją kwaterę, klitkę, w której z trudem mieściły się cztery koje i cztery niewielkie szafki, dzielił z innymi nieszczęśnikami tak samo jak on świeżo wypuszczonymi z przeszkolenia medycznego. Wszyscy byli podekscytowani pierwszym przydziałem Marka nie mniej niż on. Pewnie dlatego zadawali teraz pytania, na które powinien znać odpowiedzi… gdyby tylko nie był tak oszołomiony pierwszym bliższym spotkaniem z Kapitan Esterą.

„Dokąd idziecie?”, „Ile was nie będzie?”, „To stały przydział czy jednorazowa akcja?”, „Poznałeś już jej oddział?”

Oczywiście nie poznał ludzi Estery. Nie ośmieliłby się zbliżyć do elitarnej grupy bez wyraźnego zaproszenia. Albo wyraźnego rozkazu. A ten otrzyma dopiero jutro rano.

Resztę dnia spędził na pakowaniu, rozpakowywaniu i przepakowywaniu swojej torby medycznej. A potem sprawdzaniu, czy wszystko znajduje się na właściwym miejscu. Tak jakby raz ułożone rzeczy mogły się złośliwie

przemieścić i przemieszać, kiedy nie patrzył na nie. Zaabsorbowany pakowaniem, omal nie zapomniał odebrać przydzielonego mu skafandra.

– Pierwszy raz wychodzisz na Powierzchnię, co? – zagadnął kwatermistrz, równocześnie mierząc go uważnym spojrzeniem.

– Tak jest. – Marek zasalutował odruchowo.

– Spokojnie, żołnierzu. Szybko przejdzie ci ten zapał. Masz, ten powinien na ciebie pasować.

Medyk poczuł uderzenie gorąca. Pakunek zawierający szary workowaty skafander i maskę ochronną wyglądał niepozornie. Był jego przepustką na Powierzchnię, gdzie świeciło słońce, a nad głową zamiast betonowego sufitu rozciągało się błękitne niebo. Do świata, który znał dotąd tylko z filmów puszczanych od święta w kantynie, z opowieści szkoleniowców i weteranów.

– Hej, nie zapomnij pokwitować! – Głos kwatermistrza sprowadził go z powrotem pod ziemię.

Marek drżącą dłonią nabazgrał swoje nazwisko w odpowiedniej rubryce i prawie biegiem ruszył z powrotem do kwatery.

– Jak myślisz, gdzie idziecie? – Piegowaty Artur pierwszy zakłócił ciszę po regulaminowym gaszeniu świateł. Żaden z nich jeszcze nie spał, a powietrze w maleńkim pomieszczeniu wibrowało od napięcia.

– Nie wiem – musiał przyznać Marek.

– Myślisz, że spotkacie jakichś Pajaców? – odezwał się Oleg/Olek z dolnej pryczy.

– Chciałbyś, co, zbolu? – prychnął Julek.

Przekazywane szeptem podania o mieszkańcach schronu spod dawnego Pałacu rozpalały wyobraźnię niejednego rocznika kadetów. Może dlatego, że nikt nie potrafił określić, jakież to perwersje uprawiali.

Młode umysły wypełniały luki w opowieściach najbardziej fantastycznymi scenariuszami.

– Skoro wysyłają żołnierzy, a nie zwiadowców, spodziewają się kłopotów

– stwierdził Artur, gdy nerwowe chichoty wreszcie umilkły. – To znaczy Pałac albo Przyczółek. Albo dywersja gdzieś w Metrze. Nie wiesz, ile was będzie?

– Myślisz, że dlatego dodali mnie do oddziału? Bo idziemy z kontyngentem?

– Kto wie… choć to byłby dłuższy przydział. O przeniesieniu powiedzieliby ci chyba wcześniej?

Ich schron, najlepszy w okolicy, jedyny, który spełniał militarne standardy, miał tego pecha, że umieszczono go w miejscu, które Kiedyś było totalnym zadupiem. A co dopiero teraz, gdy każdą odległość trzeba pokonywać pieszo, przedzierając się przez zdziczałą okolicę. To oczywiście powinno zmienić się z chwilą, gdy uda im się wreszcie opanować Metro. Generał od lat snuł plany ponownego uruchomienia chociaż części linii, ale to była pieśń przyszłości.

Na razie musieli oczyścić tunele z gnieżdżącego się w nich wrogiego elementu. Warszawskie metro nie zostało pomyślane jako schron atomowy. Tunele wydrążono zbyt płytko, nie zabezpieczono ich jak należy. Mimo to znajdowało się pod ziemią i dawało jakieś poczucie bezpieczeństwa. Ludzie, którzy się w nim gnieździli, ledwo zasługiwali na to miano. Zdegenerowani, dziesiątkowani przez choroby, nie mieli szans na przeżycie. Nawet ci, którym udało się zdobyć skafandry ochronne, musieli pić skażoną wodę i jeść skażone jedzenie. A jednak kurczowo czepiali się życia.

Część próbowała oczywiście szukać schronienia w ich Bazie, lecz Dowództwo dokładnie wyliczyło, jaką populację schron może utrzymać bez przeciążania żadnego z systemów. Mogli uratować własnych ludzi albo wpuścić tamtych i umierać razem z nimi. Zatem śluzy i bramy pozostały zamknięte. A uciekinierzy szybko zrezygnowali z oblężenia i wrócili do swoich tuneli, pełni żalu i nienawiści do wojskowych. Oba te uczucia były żywe i teraz. Dlatego akcja oczyszczania Metra szła powoli, stacja po stacji

i korytarz po korytarzu. Każdy kolejny metr okupiony był nową porcją krwi. Obecnie, po latach walk, Przyczółek dotarł do Marymontu.

Marek zdołał wreszcie zapaść w płytki sen, wypełniony obrazami nierealnych orgii przemieszanymi z wizjami koszmarów zaludniających korytarze Metra.

Rankiem zerwał się grubo przed pobudką i z sercem w gardle czekał na włączenie świateł. Kiedy w końcu mógł wstać, ubrać się, po raz tysięczny sprawdzić regulaminowy ekwipunek i zjeść śniadanie, wciąż czuł się jak we śnie. Jakby nic z tego, co się działo dookoła, nie było realne. Ten stan oszołomienia utrzymał się przez poranny apel i całą drogę do ostatniego przed śluzą posterunku Regimentu Warszawskiego. Marek mógł tylko dziękować autorowi instrukcji wojskowej, która nakazywała, by przegląd przed wyjściem na Powierzchnię odbywał się w pełnym kombinezonie i w masce. Dzięki temu nikt nie widział, jak bardzo Marek się poci i jak bardzo nieprzytomny ma wciąż wyraz twarzy. Dołączył do piątki żołnierzy, od których odróżniał go jedynie wymalowany na ramieniu kombinezonu biały kwadrat z czerwonym krzyżem pośrodku. To i fakt, że zamiast karabinu jego ramię obciążała torba wypchana sprzętem medycznym.

– Zadanie jest proste, chłopcy – zaczęła Kapitan Estera. – Ale niełatwe. Pewnie słyszeliście, jaki łomot dostała drużyna Adama. – Pozwoliła wybrzmieć pogardliwym parsknięciom żołnierzy. – Wycofywali się w takim pośpiechu, że zostawili za sobą ważny sprzęt. Teraz my mamy go odzyskać. Idziemy w stronę rzeki. Wchodzimy w sam środek terytorium Koprów, nie muszę wam mówić, co to znaczy. Nasz cel znajduje się na piętrze, w skrzyni z tymi oznaczeniami. – Uniosła wysoko fotografię drewnianego sześcianu, opatrzonego ciągiem czerwonych cyfr.

Po chwili puściła ją w obieg, by każdy z żołnierzy przyjrzał się celowi. Gdy przyszła kolej Marka, wziął zdjęcie w dłoń i przez chwilę bezmyślnie się w nie wpatrywał, po czym przekazał kolejnemu w szeregu. Jego zadanie polegało na sprowadzeniu żołnierzy i ich sprzętu w jak najlepszym stanie

z powrotem pod ziemię.

Po trzech dniach przedzierania się przez chaszcze porastające dawne przedmieścia Warszawy czuł się jak weteran, chociaż właściwie nie był wiele mądrzejszy niż tego ranka, gdy wyruszali na misję. Tyle że widok zasnutego chmurami nieba nie przyprawiał go już o zawrót głowy. No i Marek nie podskakiwał na każdy nowy, nieznany dźwięk, a tylko na te głośniejsze. Nasłuchał się też absurdalnej ilości historii. Maszerującym w milczeniu żołnierzom na postojach rozwiązywały się języki. Ich opowieści przebijały najdziksze plotki, jakie kiedykolwiek słyszał na temat Kapitan Estery. Wszystkie kręciły się wokół starć z Koprami.

– Najpaskudniejsze stworzenia, jakie gnieżdżą się w Metrze. – Co do tego żołnierze byli zgodni.

– Gówno mają przed sobą, a nie życie, to i śmierci się nie boją – splunął jeden z nich.

– Chociaż jaj im nie brakuje – dodał inny.

– Kopry? – Marek pierwszy raz słyszał to przezwisko.

– Gnieżdżą się przy Koperniku. Stąd Kopry.

– Dlaczego o nich nie słyszałem?

– Bo wy tam na dole tylko o Pajacach fantazjujecie – skwitował trzeci żołnierz, wywołując tym salwę śmiechu. Medyk mógł tylko dziękować, że przez skafander nie widać, jak czerwienieją mu policzki i uszy. – Nie przejmuj się, młody. Gdy świeżak wychodzi pierwszy raz na Powierzchnię, to jakby wyciągał głowę z tyłka. Zorientujesz się, że tu, na górze, nie ma nic bardziej zjadliwego niż Koperki.

– Ani nikogo, kto poluje na nich skuteczniej niż nasza Kapitan. – To stwierdzenie wszyscy przyjęli pomrukiem aprobaty.

– Jeśli połowa z waszych historii jest prawdziwa, to musieliście ich wykosić dziesiątki – stwierdził Marek rozdarty między podziwem a niedowierzaniem.

– Kto by tam liczył.

Nie zauważyli, kiedy dołączyła do nich Kapitan. Teraz wszyscy poderwali się jak na komendę.

– Ruchy, koniec fajrantu – rzuciła tym samym co zawsze bezbarwnym głosem.

Większość czasu trzymał się środka grupy, tak jak mu przykazano. Szedł, gdy inni szli, i zatrzymywał się, gdy inni się zatrzymywali. Kilka razy zamierał skulony w zaroślach i obserwował przesuwający się w oddali cień olbrzymich skrzydeł albo wsłuchiwał się w ciężkie kroki czegoś tak wielkiego, że aż ziemia drżała. Jednakże wciąż nie brał udziału w prawdziwej walce.

Gdy bez przeszkód dotarli pod dziwaczną bryłę Centrum Nauki, niebezpiecznie pochyloną ku wodzie, chyba nie tylko on zaczął wierzyć, że szczęście uśmiechnęło się do Kapitan po raz jedenasty.

Zdradził ich dźwięk fletu. Gdyby nie to, grupa Koprów pozostałaby zapewne niezauważona. Żołnierze nie od razu zidentyfikowali melancholijny, żałosny trel.

– Ktoś kojarzy, co to za ptak? – spytał jeden półgłosem bez większej nadziei.

Nawet zwiadowcy tylko mgliście orientowali się, jakie stworzenia zamieszkują teraz Warszawę.

– To nie ptak – oznajmiła Kapitan i uniosła pięść.

Cały oddział znieruchomiał w pół kroku. Przez pełną napięcia minutę wsłuchiwali się w wibrującą melodię. Marek przesunął językiem po spierzchniętych wargach. To była muzyka, ale jakże inna od musztrowych przygrywek, które znał z korytarzy Bazy. Skąd się wzięła pośrodku tej dziczy?

Kapitan otworzyła dłoń i wykonała obrót nadgarstkiem, wskazując żołnierzom kierunek. Zareagowali natychmiast. Kolumna marszowa przekształciła się w luźną tyralierę, która zaczęła bardzo ostrożnie

przesuwać się ku źródłu melodii. Medyk został z tyłu, dość blisko, by mieć chociaż jednego z towarzyszy w zasięgu wzroku. Po raz pierwszy od opuszczenia Bazy zabrakło mu tej kojącej świadomości, że ktoś pilnuje jego pleców.

Wzdrygnął się, gdy wyobraźnia podsunęła mu naraz cały repertuar zagrożeń, jakie mogły teraz czyhać poza polem widzenia. Zacisnął zęby i przesunął dłoń bliżej kabury kryjącej glocka. Pistolecik był żałosną namiastką bezpieczeństwa, ale dodawał otuchy.

Zanurzony we własnych lękach nie zauważył nawet, kiedy luźna linia idących przed nim żołnierzy wygięła się w łuk, otaczając źródło muzyki. Aż podskoczył na odgłos pierwszych wystrzałów. Zaraz potem przypadł do ziemi. Z trudem opanował odruch ucieczki. Instynkt podpowiadał mu, że zbliżanie się do walczących nie jest dobrym pomysłem.

I wtedy usłyszał krzyk Kapitan. Kula przeszła na wylot przez jej lewe ramię. Nieskończenie długą chwilę Marek wpatrywał się w kobietę bezmyślnie. Krew szumiała mu w uszach, jakby wypełniła je woda.

– Medyk, kurwa! – Warknięcie Kapitan ledwo przebiło się do jego świadomości.

A potem jakaś sprężyna przeskoczyła i ruszył przed siebie Padł na kolana obok dowódcy i już wciskał dwa gaziki przez rozdarcia skafandra. Prawie na ślepo umocował je kawałkami plastra. W duchu podziękował opatrzności za prostą ranę. W tym stanie nie poradziłby sobie z niczym, co wymagałoby finezji. W końcu mógł się skupić na najważniejszym, czyli na skafandrze. Wyciągnął z torby łaty, nałożył spoiwo i z największą starannością dociskał każdy milimetr, pilnując, by żadne zanieczyszczenie nie dostało się do nowego łączenia. Jak z oddali słyszał chaotyczny klekot broni przeciwników, pojedyncze, precyzyjne wystrzały żołnierzy, ostre rozkazy Kapitan. Dopiero gdy oba otwory zostały zamknięte, odważył się głębiej odetchnąć i rozejrzeć dookoła.

Grupa przeciwników utknęła w niewielkim zagłębieniu terenu. Otoczeni,

nie mogli się rozproszyć, nie mieli też dobrej osłony. Odpowiadali jednak gęstym ogniem.

– Medyk! – Okrzyk z lewej flanki poderwał Marka z ziemi, co omal nie kosztowało go życia.

Gdyby nie hełm skafandra, poczułby podmuch powietrza, gdy kula minęła go dosłownie o milimetry. Przypadł z powrotem do ziemi i poczołgał się w kierunku wzywającego pomocy żołnierza.

Prawie siłą zmusił skulonego mężczyznę, by zabrał przyciśnięte do brzucha dłonie i pozwolił obejrzeć ranę, a następnie pośpiesznie wyciągnął narzędzia z torby. Przy rozszczelnionym skafandrze każda minuta była bezcenna. Najszybciej, jak potrafił, wyciągnął kulę, ignorując jęki rannego. Wciśnięcie opatrunku przez niewielki otwór wlotowy okazało się znacznie trudniejsze, lecz w końcu i z tym sobie poradził. Uszczelnianie poszło już jak z płatka.

– Przelicz, ile masz morfiny. Teraz myślisz, że bardziej boleć nie może, ale będzie tylko gorzej – wyrecytował podręcznikową formułkę. Żołnierz skinął głową. – Nie ruszaj się i nie próbuj sam wstawać. Wrócę do ciebie.

Walka z instynktem samozachowawczym przychodziła mu coraz łatwiej. Może pomógł fakt, że okrzyki i strzały powoli cichły. Mimo wszystko przezornie trzymał się blisko ziemi, chociaż takie półczołganie się przez zarośla było wykańczające. Może dlatego Kapitan nie zauważyła go od razu? Stała nieruchomo z jedną nogą na klatce piersiowej powalonego przeciwnika i z glockiem w dłoni. Pochylała się nad ofiarą, jakby próbowała coś dojrzeć za szybą hełmu. Po chwili zdjęła palec ze spustu i schowała broń do kabury. Zdjęła nogę z Kopra, tak zdumionego całą sytuacją, że w pierwszej chwili nawet się nie ruszył. Dopiero gdy Kapitan cofnęła się jeszcze o krok, wstał z ziemi. Chwilę wpatrywał się we własną broń, bezużyteczną po opróżnieniu magazynka. Właśnie wtedy sucha gałązka trzasnęła pod łokciem medyka. Natychmiast uniósł dłoń w geście powitania. Estera odruchowo zwróciła się w stronę dźwięku, ledwie

przesunęła wzrokiem po skulonym w zaroślach Marku, wyjęła zza paska nóż, błyskawicznie doskoczyła do przeciwnika i jednym płynnym ruchem poderżnęła mu gardło. Krew chlusnęła na skafander. Mężczyzna zrobił dwa chwiejne kroki w tył, przewrócił się na plecy i znieruchomiał.

Marek powoli wstał z przyklęku i podszedł do zabitego. Po raz pierwszy miał przed oczami jednego z Koprów zaludniających żołnierskie opowieści. Pistolet, który trup wciąż zaciskał w dłoni, pokrywały kolorowe znaki. Niektóre tylko namalowane, inne wydrapane w metalu i wypełnione farbą. W drugiej ręce tkwił za to prosty kawałek drewna bez żadnych zdobień.

– Czy to…? – nie dokończył.

Mimo to Kapitan odpowiedziała.

– Flet. Widzisz gwint? Rozregulował filtry. Żeby móc grać.

– Ale… przecież truł się tym!

– Tak.

– Więc czemu…? – Pytanie zawisło w powietrzu.

Marek pochylił się nad leżącym i zdjął hełm jego skafandra. Nie zdołał powstrzymać westchnienia na widok drobnej, bladej, bardzo wychudzonej twarzy. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Dzieciak nie mógł mieć więcej niż trzynaście lat. Gładkie policzki i czoło pokrywała sieć szarych wzorów.

– Tatuaże? – spytał półgłosem. – Coś oznaczają?

– Musiałbyś jego zapytać.

W głosie Kapitan było coś takiego, że medyk podniósł na nią wzrok. Otworzył usta i zaraz je zamknął. Nie zapytał, dlaczego dowódca wyjęła flet z dłoni przeciwnika i schowała go w kieszeni własnych spodni.

Stracili jednego żołnierza. Oparty o pień rachitycznego drzewka mężczyzna wyglądałby, jakby drzemał po ciężkiej pracy, gdyby frontu jego skafandra nie znaczyły cztery otwory po kulach. Krwi było niewiele, musiała się zebrać wewnątrz kombinezonu. Nic nie mogli dla niego zrobić. Sprzęt również był nie do odratowania.

Żołnierze znieśli siedem ciał pokonanych przeciwników i ułożyli je na ziemi pokotem. Marek gapił się na kolekcję kości nanizanych na drut oplatający ramię jednego z Koprów, na pęki kolorowych piór pokrywające kask leżącego obok. Krew wypływająca z rany w głowie barwiła je teraz na jednolitą czerwień.

– O tym nie mówili ci na szkoleniu? – Poczuł na ramieniu twardą żołnierską dłoń.

– Po co to robią? – zapytał, przyglądając się skafandrowi jednego z przeciwników.

Owinięto go czymś w rodzaju płaszcza uszytego z kolorowych gałganków i kawałków folii. W tym stroju musiał być widoczny w leśnej gęstwinie jak znak ostrzegawczy.

Zamiast odpowiedzi usłyszał beznamiętny głos Kapitan:

– Ruchy, panowie! Bierzcie, co się da, i ruszamy. Jesteśmy za blisko stacji.

Tej komendy nie trzeba było dwa razy powtarzać. W ledwie kilka chwil zarówno ciała towarzyszy, jak i przeciwników zostały ogołocone z całego zdatnego do użytku sprzętu.

Marek znalazł rannego w brzuch żołnierza tam, gdzie go zostawił. Uśmiechnął się, kucając przy nim.

– Karnie na miejscu… Teraz oprzyj się na mnie – polecił.

Powstrzymał jęk, gdy dźwigał większą część ciężaru żołnierza z pełnym wyposażeniem. Zaciskając zęby z wysiłku, pomógł towarzyszowi zająć miejsce w środku formującej się kolumny marszowej.

Kilka chwil później pokonywali już ostatnie metry dzielące ich od wejścia do Centrum Nauki. Nie natknęli się po drodze na kolejnych Koprów. Szybko znaleźli wskazaną przez Dowództwo skrzynię; medyk nie odważył się zapytać, co takiego zawiera. Żaden z żołnierzy nie wydawał się tym zainteresowany. Bardziej zajmowało ich jak najsprawniejsze przeniesienie ciężkiego, niewygodnego pakunku.

Marek holował rannego w brzuch i z każdym metrem coraz mocniej wątpił, czy mężczyźnie uda się dotrzeć z powrotem do Bazy. Gdyby tylko było ich więcej. Albo gdyby mieli choć trochę bliżej. Potrząsał głową, zaciskał zęby, dźwigał coraz bardziej bezwładny ciężar i koncentrował wzrok na Kapitan. Mimo przestrzelonego ramienia, które przecież wciąż musiało krwawić pod opatrunkiem, na zmianę pomagała nieść skrzynię i szła w straży. Jeśli Kapitan nie skarżyła się nawet jęknięciem, to i on nie powinien.

Pod koniec dnia bolały go każdy mięsień i każda kość. A jednak kiedy kulił się do wieczornego spoczynku, tuż po zamknięciu oczu zobaczył pod powiekami tę samą scenę. Kapitan chowała do kieszeni flet. Mechanicznym, prawie nonszalanckim ruchem. Jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego. Jakby zabierała kolejny magazynek z nabojami albo zdatny do użytku nóż.

Ranny żołnierz obudził się po krótkim odpoczynku z wysoką gorączką. Wcześniej Marek mógł jeszcze liczyć, że to przez wyczerpanie i utratę krwi. Teraz, kiedy widział, jak mężczyzna się słania i z jakim wysiłkiem mówi, nie miał już wątpliwości. Mimo to tylko zacisnął zęby, gdy jego kręgosłup zaprotestował ponownie. Tego dnia żołnierz kilkakrotnie tracił przytomność. Może dlatego, a może z czystego uporu medyk nie od razu zauważył, że dźwiga trupa. Wreszcie, gdy dotarło do niego, że mężczyzna nie reaguje, że wewnątrz hełmu nie paruje już oddech, padł na kolana i został tak chwilę, dysząc ciężko. Kapitan, która szła w tylnej czujce, pochyliła się nad nimi.

– Skafander w dobrym stanie – oceniła sucho.

Marek wiedział, co ma robić. Nie zostawia się dobrego sprzętu na terenie przeciwnika. Kiedy rozszczelniał hełm żołnierza i wyłuskiwał ciało z zakrwawionego wnętrza, tłumaczył sobie, że dłonie drżą mu nadal z wysiłku. Mechanicznie złożył skafander w kostkę i wcisnął do torby razem z bronią, zapasem amunicji, nożem i kilkoma drobiazgami. Ledwo

zdążył zerknąć przez ramię na zwłoki, które zostawiali za sobą.

– Ruchy, musimy dołączyć do reszty. – W głosie Kapitan nie było więcej emocji niż zwykle.

Medyk zacisnął pięści i odruchowo zerknął w stronę kieszeni, w której schowała tamten niepraktyczny kawałek drewna. Nic nie powiedział. Ruszył przed siebie równym krokiem.

Prawie im się udało. Zarośla już się przerzedzały, minuty, a nie godziny marszu dzieliły ich od śluzy prowadzącej do bezpiecznych, znanych korytarzy. Wszyscy przyśpieszyli kroku, jakby faktycznie szło im się nieco lżej. I właśnie wtedy padły strzały. Marek instynktownie rzucił się na ziemię. Odwrócił głowę, by zorientować się w sytuacji, i napotkał szkliste spojrzenie Kapitan Estery. Leżała może metr od niego, krew z przestrzelonej tętnicy już wypełniała hełm jej skafandra. Jakaś część umysłu technika medycznego zarejestrowała, że kula roztrzaskała mechanizm mocujący i sprzęt jest nie do odratowania. Poza tym była w Marku tylko pustka, bez jednej świadomej myśli. Jak gdyby szok z powodu śmierci Kapitan uszkodził i jego. Nie słyszał wystrzałów ani głosów żołnierzy. Nie wiedział, ile czasu minęło. Ktoś siłą podniósł go z ziemi i potrząsał nim tak długo, aż wrócił chociaż częściowo do siebie.

– Musiał iść za nami i czekać na okazję – wycedził jeden z żołnierzy i kopnął nieruchome ciało.

Skafander mężczyzny zdobiła dziwna konstrukcja z koralików i zasuszonych liści, która doskonale maskowała go w gęstwinie. Zapewne był ostatni z tamtej grupy Koprów. Może odłączył się na chwilę, a może zdołał wycofać się w porę? To już nie miało znaczenia.

Trzej żołnierze stali nad ciałem Kapitan, jakby nie wiedząc, co dalej. A sprawa była oczywista. Należało zabrać dowódcę pod ziemię. Do Bazy. Ciała martwych żołnierzy miały swoje przeznaczenie; ostatnią rolę do odegrania w zamkniętym ekosystemie. A jednak żaden z nich nie wspomniał nawet o Instrukcji. Zerkali tylko po sobie niepewnie.

– Pewnie wolałaby zostać tutaj – odezwał się jeden nieśmiało.

Pozostali, jakby z ulgą, skinęli głowami.

Każdy z nich miał większe doświadczenie w obchodzeniu się z trupami niż Marek. Ale że to on był technikiem medycznym, właśnie jemu powierzono przygotowanie ciała Kapitan do tej improwizowanej ceremonii. Zostawili mu manierki z resztkami nieskażonej wody i rozproszyli się po okolicy „sprawdzić, czy ktoś jeszcze nie czai się w krzakach”. Powinien być przerażony – nagle sam, poza Bazą. A jednak nie czuł strachu.

Ostrożnie wyjął ciało Kapitan ze skafandra, którego już nie potrzebowała. Zamknął wreszcie jej oczy i starannie obmył twarz z zaschniętej krwi. Spróbował zapleść sztywniejące dłonie na piersi. Musiał szarpnąć zbyt mocno, bo jeden guzik munduru oderwał się niespodziewanie. Marek wpatrywał się w odsłoniętą skórę z niedowierzaniem. Potem bardzo powoli i ostrożnie podwinął rękaw. Ramię Kapitan na całej długości znaczyły rzędy niewielkich nacięć. Cztery pionowe kreski i przecinająca je piąta, pozioma. Rząd za rzędem pięły się w górę. Medyk przełknął ślinę i zabrał się do rozpinania bluzy dowódcy. Nacięcia pokrywały też drugie ramię, barki i brzuch kobiety. Większość blizn dawno się zagoiła, kilka wyglądało na świeże. Dwie rany były całkiem nowe. W pierwszym odruchu próbował je policzyć, ale zaraz przerwał. Rozejrzał się nerwowo. Żołnierze w każdej chwili mogli wrócić ze spontanicznego patrolu. Pośpiesznie ubrał ciało Kapitan z powrotem. Starannie zaszył mankiet munduru. Po chwili wahania sięgnął do kieszeni spodni, wyjął flet, który nadal w niej tkwił, i wsunął go do torby.

Marta Wnorowska

Muszka Anuszka

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

Z barłogu skleconego z brudnej pościeli i koca zwlekły ją ostatecznie głód i pragnienie. Skołtunione w najdalszym kącie pokoju bety były zmieniane mniej więcej wtedy, gdy po raz ostatni przywieziono jedzenie.

Naczynia podzwaniały na blaszanym blacie wózka, którego kółka skrzypiały nieśpiesznie, podobnie jak nieśpieszne były kroki pchającego ów wózek mężczyzny. Powolny wędrowiec miał na imię Hank. Czuć go było potem oraz okropną „perfumą" – jak mawiała zgryźliwie Anna Kostova – używaną ewidentnie, choć nadaremno w celach maskujących odór długo niemytego ciała.

Prócz Hanka byli jeszcze Gene i Tommie. Ten pierwszy, eks-marine, maszerował równo i sprężyście, i to pomimo sześćdziesiątki z hakiem na karku oraz kilku tytanowych śrubek w lewej piszczeli – pamiątek wywiezionych za młodu z tej paskudnej draki w Syrii. Zawsze trzymał coś w ustach, międląc i ciamkając głośno. Tommie, najmłodszy z całej trójki, podczas swojej zmiany człapał za wózkiem chyba jeszcze wolniej niż Hank. I choć nigdy, tak jak pozostali, słowem do niej się nie odezwał, czuła, że zerka na nią z zaciekawieniem podszytym życzliwością.

Poza tym Anna stwierdziła kiedyś, że temu chuderlawemu dzieciakowi dobrze patrzy z oczu.

Dźwięki spływały łagodną falą prosto pod drzwi, które otwierały się

z głuchym kliknięciem, przez próg przetaczał się wózek, a na koniec pojawiała się Anna. Było w jej krzątaninie, w tym codziennym rytuale, gdy karmiła, myła, przebierała i sprzątała, jakieś chłodne panowanie nad sobą i wyuczony rytm. Kojącą dłonią zgarniała rozbiegane myśli i porządkowała je, nadając wszystkiemu, co przebijało się do mózgu, znaczenie i sens. To nic, że gdy dużo później znowu stawała w drzwiach, by kłuć, wstrzykiwać, badać, sondować, naświetlać i pobierać, nie miało to znaczenia, gdyż senna słabość, rozlana po zwiotczałym ciele jak ciepłe mleko, plątała myśli i paraliżowała umysł, czyniąc ból niczym więcej niż rozgorączkowanym wspomnieniem.

Najpierw był wstrząs, tak silny, że jedyna w pomieszczeniu szafka zwaliła się z wielkim hukiem, miażdżąc taboret i niski stolik, przy którym Anna czytała jej i uczyła ją różnych niepotrzebnych – jak twierdziła – rzeczy. Po pierwszym wstrząsie nastąpiła seria kolejnych, słabszych nieco, lecz nie na tyle, by pozwolić ścianom przestać dygotać. Spadały więc, jeden po drugim, znoszone przez Annę obrazki ze zwierzątkami i widokami. W pękającym szkle dźwięczało zdziwienie, że taki oto spotyka je los.

A ona, klęcząc na łóżku z twarzą wzniesioną ku górze i rozwartymi ustami, raczej w zdumieniu niż strachu chłonęła kakofonię nieznanych dźwięków i wrażeń, dopóki kawał tynku nie odpadł z sufitu i nie trafił jej w czoło. Nieoczekiwane zderzenie zachwiało nią i wyrwało wreszcie z bezruchu, zmuszając do chaotycznej rejterady pod łóżko. Na czole wymacała rosnącą pod palcami wypukłość oraz wilgoć. Wypukłość pulsowała i bolała. Nic nowego. Wilgoć natomiast, zamiast jak zwykle ściekać z nosa do gardła, spływała wolno i oszczędnie w dół policzka. Ale smakowała znajomo. Pod kopułą czaszki, przez chaos, ból, głód i strach, przebiła się myśl, że musi odnaleźć Annę.

Zręczny rzut posłał kostki w róg „areny”. Zamiast prysnąć z pola walki niczym trzy kanciaste i czarnokropkowane pchły, kostki wyrżnęły

o drewnianą barierkę i wytracając pęd, poturlały się po lśniącej gładzi przytaszczonego skądś łazienkowego kafla.

Wykonane z kości słoniowej, materii szlachetnej, ciężarem i kształtem układały się w dłoni zupełnie inaczej niż wyrabiane z czego popadnie kostki będące w powszechnym użyciu pośród mieszkańców Zielonego Młyna. Charlie przypomniał sobie, że dziadek pokazał mu kiedyś, jak się robi kostki do gry z ugniecionego w palcach kawałka chleba. Rzecz nie do wyobrażenia w obecnych czasach. Szczęśliwym posiadaczem drogocennych przedmiocików był Biagio Jacopo Rinaldi, zwany BJ-em. Zarzekał się, że znalazł je podczas odgruzowywania południowego tunelu uszkodzonego dość znacznie podczas ostatniego trzęsienia i łączącego kwatery pod Zielonym Młynem z salą koncertową Riviera na Broadway Street.

BJ nie miał oczywiście pojęcia, co to jest kość słoniowa, jednakże pan Sapoznick w mig go uświadomił. Po prawdzie BJ mógł je równie dobrze zwędzić komuś, kto nie był tak skory do chwalenia się reliktami minionego świata.

– A niech mnie, jeśli łżę! – zapewniał żarliwie. – Mówię wam, że należały do samego Świętego. Jeszcze je czuć dymem z cygara.

– Albo moim bąkiem – dobiegło z niskiej zielonej sofy, na której odpoczywał po posiłku pan Sapoznick, erudyta i filozof wedle niektórych, cynik, bluźnierca, pyskacz i stary dureń zdaniem wszystkich pozostałych. – Wiedz, synu – kontynuował, moszcząc się wygodniej na swoim legowisku – że jakkolwiek *corpus delicti* w twoim przypadku jest dość mizerny i dowieść jednoznacznie się nie da, żeś tych cacuszek nie wyniósł z jakiegoś szabru, nie oznacza to, iż ława przysięgłych w postaci tu obecnych niepokalanych duszyczek całkowicie wyzbyła się pewnych podejrzeń, urzeczona jasnym i czystym spojrzeniem ócz twych zielonych, niewinnych jak u dziewczęcia lat co najwyżej… hmmm… siedemnastu, którego walor najrozkoszniejszy w przedziwny sposób rymuje mi się

z owymi cacuszkami, które…

– Zamilknij nareszcie, ty stary zboku! – wykrzyknęła mocno już poirytowana pani McCluskey, uderzając otwartą dłonią w stół. – Słuchać już tego nie można! Uszy puchną!

– *Quo iure* mnie uciszasz, kobieto?

– A ten swoje! To ci jeszcze powiem, ty skamielino, żeś jest żywy dowód na to, że bździć można nie tylko stroną wylotową. Tobie się to przytrafia za każdym razem, ledwo otworzysz gębę.

– *Facta probantur et cetera*.

Na takie *dictum* niepoprawnego staruszka Charlie i BJ, krztusząc się ze śmiechu, podnieśli gotującą się z wściekłości panią McCluskey i wyprowadzili ze świetlicy.

– *Absens carens* – staruszek, emerytowany wykładowca prawa na Uniwersytecie Loyola, po swojemu żegnał się z wychodzącymi, zasępiony nieco, że mu się kurczy widownia.

Tunel łączący świetlicę z resztą kompleksu był tak niski, że obaj, Charlie i BJ, musieli mocno się pochylić. Pokoik pani McCluskey mieścił się z dala od wyziewów kur i świń, które jako jedyne spośród zwierząt wykazały zdolność do przetrwania oraz – co najważniejsze – do rozmnażania się w nowych warunkach. Tunel na szczęście był też dość krótki, toteż już po chwili sadowili powracającą do równowagi panią McCluskey na dolnej pryczy piętrowego łóżka, którego górny poziom zajmował mały Jim. Rachela McCluskey, nauczycielka języka angielskiego w jednym z liceów w dawnej polskiej dzielnicy, jako osoba ciesząca się największym szacunkiem wśród mieszkańców miała ten przywilej, że zamieszkiwała maleńki pokoik – dawny składzik towarów różnych – sama jedna. To znaczy tak było do chwili, gdy dokooptował do niej mały Jim Ocean. A okoliczności tego były takie, że gdy po długim namyśle postanowiono wreszcie odnowić tunel wschodni, łączący Zielony Młyn z salą koncertową Aragonia na Lawrence Avenue, wysłani w ten rejon pracownicy, w tym

Tom Ocean, ojciec Jima, zostali zasypani podczas niewystępujących od lat wstrząsów wtórnych. Nie mogli doprawdy wybrać sobie gorszej pory. Wstrząsy wtórne, których częstotliwość i siła słabły z biegiem czasu, potrafiły zaskoczyć i zebrać żniwo, i to w chwili, gdy ten i ów bliski był dziękowania Bogu, losowi lub naturze za odrobinę spokoju. Wielki Żółty Gigant, jak go nazywano, obudził się z trwającego według obliczeń sejsmologów sześćset tysięcy lat snu, krótko po tym, jak słońce spadło z firmamentu. Ów upadek potrząsnął olbrzymem w jego leżu, w wyniku czego ziemia zadrżała aż po najdalszy kraniec kontynentu, a w niebo wzbił się obłok pyłu i gazów tak wielki, że jeszcze dziś, dwadzieścia lat później, spowijał glob. Nad stanami Wyoming, Montana, Idaho i Utah, trafionymi podwójnym ciosem, z góry i z dołu, zapadła trwająca sześć lat nuklearna zima. Czy ktokolwiek zdołał się ukryć w schronach pod ziemią i przeżyć? Taką możliwość powszechnie odrzucano jako mało prawdopodobną i nauczono się żyć z myślą, że rejon zachodni jest teraz wymiecioną z wszelkiego życia pustynią.

Pokoik pani McCluskey był – jak to określała – rozmiarów znaczka pocztowego. I rzeczywiście: wystarczyło w nim zrobić pięć kroków, by stanąć twarzą w twarz z przeciwległą ścianą; w poprzek wystarczało trzy i pół kroku. Stała tam mała szafka z szufladkami, na niej, na białej szydełkowej serwetce, znajdował się wazonik z niebieskiej emalii. I właśnie ta serwetka – jasna pajęczyna na burym tle – i ten błękitny wazonik, a także książki na przymocowanych do ścian półkach, dywanik i fotelik przy niskim stoliku… Wszystko to stanowiło uroczy obrazek, najprzyjemniejszy i najmilszy w całym Zielonym Młynie – obrazek, który śnił się starszym mieszkańcom marzącym o dawnym życiu, o zapamiętanych Czasach Przed, podczas gdy młodzi śnili już tylko cudze wspomnienia.

BJ rozsiadł się w foteliku, Charlie stanął przy wejściu, opierając się o ścianę, i patrzył z góry na siwą panią McCluskey, która westchnęła ciężko i rzekła:

– Chłopcy, pora, byśmy pochylili się w końcu nad sprawą, dla której was do siebie wezwałam.

– Wschodni tunel – powiedział Charlie, który choć lata chłopięce miał już dawno za sobą, przyjął słowa gospodyni z lekkim uśmiechem w kąciku ust.

– A raczej wyjście z niego. Ktoś będzie musiał się tam przejść i sprawdzić, czy właz nie został zniszczony. Nie jesteśmy w stanie tego ustalić po tej stronie tunelu, mając przed sobą Bóg wie ile jardów gruzu. Nie wiadomo więc, czy ten tunel nada się jeszcze do czegokolwiek, czy raczej rozsądniej będzie po prostu go odciąć, a wejście zlikwidować. To ostatnie byłoby niepomierną stratą, gdyż pozostałyby nam już tylko dwa wyjścia: nasze tutaj, w Zielonym Młynie, oraz wyjście południowe w Rivierze, które na szczęście udało nam się odgruzować.

– Słyszałem kiedyś – zaczął wolno Charlie – jak pan Sapoznick, próbując wyłudzić dodatkową porcję słoniny przy obiedzie, użył terminu „luka w systemie”. Była to cała tyrada wygłoszona w typowym dlań stylu, który mnie osobiście nie przeszkadza, bawi raczej. Argumentował, że żyjemy tu w systemie równego podziału dóbr, który jego zdaniem jest ułomny w tym sensie, że jednostki wybitne, skarbnice mądrości i wiedzy, cudem ocalałe z apokalipsy, nie są objęte ochroną ani specjalnymi względami, wynikającymi z wyżej wymienionych powodów. Luka objawiła mu się, gdy stał w kolejce po swoją jakże nędzną porcję świniny, podczas gdy on sam, ostatni być może żyjący mędrzec, powinien być obsłużony poza kolejnością mięsem najwyższej jakości i w ilościach proporcjonalnych do statusu i rangi. W systemie równopodziału dóbr osobniki wybitne, będące nośnikami i przekaźnikami wiedzy i doświadczenia pokoleń, mrą jak muchy. Jeśli zaś zginą ostatni mędrcy, wraz z nimi przepadnie mądrość pokoleń, a ludzkość pogrąży się w regresie, pozbawiona możliwości rozwoju w oparciu o wiedzę i doświadczenie tych, o których nie miała należytego starania. – Charlie wziął głęboki oddech i na zakończenie dodał: – Tak to chyba szło. Wiecie, jak trudno czasem nadążyć za jego logiką.

– Rany, zapamiętałeś to wszystko? – BJ zrobił wielkie oczy.

– Ja twierdzę, że stary kompletnie się z logiką rozminął – rzekła pani McCluskey. – A poza tym kto tu mrze jak muchy? Od lat nie było takiego przypadku, a przynajmniej nie u nas w Zielonym Młynie. Charlesie Josephie Youngu, do czego zmierzasz, mój drogi, bo nie nadążam za twoją logiką.

– Sęk w tym, że i ja znalazłem lukę w systemie. Tą luką są wyjścia na powierzchnię. Zawsze uważałem, że nie potrzebujemy ich aż tylu. Zauważcie, ile wysiłku kosztuje nas utrzymanie ich w przyzwoitym stanie. Likwidując tunel Aragonia, uszczelnimy system i pozbędziemy się Sapoznickowej luki, która go osłabia.

– Czyli mam odwołać ludzi, tak? – pani McCluskey mierzyła go jak zwykle bystrym i czujnym spojrzeniem zwężonych w szparki oczu.

– Uważam, że to najrozsądniejsza z opcji.

– A co z wyjściem w Aragonii?

– Któryś z nas – Charlie spojrzał na BJ-a – tak czy siak będzie musiał tam się pofatygować i zbadać, jak to wygląda z tamtej strony. W najgorszym razie trzeba będzie zasypać i zamaskować właz.

Zawsze pierwszy do tego rodzaju przedsięwzięć BJ zerwał się z fotela, gotowy natychmiast wyruszać, a jego zielone oczy, których kolor odziedziczył w genetycznym spadku po irlandzkiej matce, błyszczały żądzą przygody. Czy zdawał sobie sprawę z zagrożenia tam, na górze, i postanowił je zignorować, czy wychodził mu naprzeciw we właściwym młodości przekonaniu, że i tym razem je pokona – tego nie wiedział nikt. Pani McCluskey zwierzyła się kiedyś Charliemu, iż nie spodziewa się, żeby BJ dożył dwudziestych urodzin, że zginie rozszarpany tam, w górnych rejonach, przez stado szczurowiewiórów albo jeszcze coś gorszego. BJ, nieświadom tej straszliwej przepowiedni, wysypał właśnie swoje trzy kostki, które nosił w woreczku zawieszonym na szyi jak talizman.

– Zagramy, Charlie? O to, który wychodzi…

– Ja już rzucałem, pamiętasz?

– Tak, ale nie pamiętam, co ci wypadło.

– To była trzynastka – podpowiedziała pani McCluskey.

– Moja kolej, bracie – rzekł BJ i z wprawą rzucił kostki po skrawku nieprzysłoniętej dywanikiem podłogi, a te pokoziołkowały i odbiły się od ściany.

– Trójka, trójka i… jedynka. – Unosząc brew w rozbawieniu, pani McCluskey popatrzyła na rzednącą minę BJ-a. – To się nazywa mieć szczęście. Zostajesz w domu, farciarzu.

– Siódemka? – Charlie uśmiechnął się kącikiem ust. – To się nazywa mieć pecha.

Charlie stał teraz na rogu Lawrence Avenue i Broadway Street i patrzył, jak pojedynczy złocisty promień przebija obłok pyłu wulkanicznego i ześlizguje się w dół szczeliną wśród chmur. Rozbłysk światła odbity w szkle wydobył na moment ukryte za kurtyną brudnego powietrza sylwetki wieżowców. Potężne niegdyś i dumne, sterczały teraz w oddali niewyraźne i rozmazane jak niedokończony szkic i dźgały niebo szpikulcami pokruszonego betonu, szkła i stali. Odnajdywał je wzrokiem i dorysowywał w myślach brakujące elementy tak, jak je zapamiętał, jak je jeszcze pamiętał.

Miał świadomość, że na obszarze wielu mil prawdopodobnie jest jedynym przedstawicielem rodzaju ludzkiego, który obserwuje ten rzadki moment, gdy hulające nad ruinami słynne chicagowskie wiatry rozwiewają na krótką chwilę szarobury całun otulający miasto, by w prześwitach, jak w wytartych starych dżinsach, mógł błysnąć blady błękit nieba lub mogła zamigotać samotna gwiazda.

Tam, w górnych partiach nieba, dokąd w dniu apokalipsy wyniesiona została ciężka od popiołów dusza miasta i złączone z nią w jeden splot dusze mieszkańców, wszystko trwało po staremu, nieruchome i niezmienne, a na dole, w wiecznym półcieniu, nieubłaganej metamorfozie uległa cała

reszta.

Nieliczni ocaleńcy, dotychczas wyśmiewani za dawanie wiary różnego rodzaju teoriom spiskowym, zachowali czujność i odczytując prawidłowo znaki czasów, zaczęli się szykować na taki czy inny koniec świata. A gdy ten wreszcie nadszedł, zaopatrzeni we wszystko, co niezbędne do przetrwania, zeszli do podziemi. Oprócz miejsc tak oczywistych jak schrony przeciwatomowe czy stacje metra mieli też do zagospodarowania system przejść dla pieszych rozciągający się poniżej poziomu ulic w centrum i łączący budynki administracyjne, centra handlowe i stacje metra. Trasy te, zwane pedwayami i oznakowane symbolem żółtego kompasu, zaczęto budować na początku dwudziestego wieku w celu odciążenia ruchu ulicznego w rozwijającym się w zawrotnym tempie mieście. Teraz, pod ruinami drapaczy chmur, kwitło w nich życie, a ludzie swobodnie przemieszczali się nimi aż po najdalsze podziemne stacje wyznaczające nieprzekraczalną granicę.

Prócz pedwayów istniała także sieć tajemnych pomieszczeń i tuneli, o których mało kto słyszał. Były to rozsiane po całym mieście, zbudowane na początku ery prohibicji sekretne kryjówki bimbrowników, mafiosów, szulerów, prostytutek i przekupnych polityków, którzy ukryci w czeluściach ziemi przed czujnym wzrokiem stróżów prawa, w spokoju mogli oddawać się nielegalnym interesom i rozrywkom. Niedostępne dla niewtajemniczonych podziemia tanich jadłodajni i luksusowych hoteli żyły własnym życiem; w labiryntach tuneli nielegalna whiskey płynęła wartką rzeką, wesołe panienki rozdawały choroby weneryczne jak karmelki, a miejscowy policjant z tutejszym gangsterem bawił się w kotka i myszkę. Dopiero gdy przeminęła era legendarnych mafiosów, miasto zawstydziło się swojej przeszłości, spowijając podziemne lupanary, kasyna i bimbrownie w kokon milczenia. W Zielonym Młynie, jednym z najsłynniejszych niegdyś chicagowskich klubów jazzowych, tuż za barem, pod stopami niczego nieświadomych bywalców, miłośników poezji i dobrej muzyki,

znajdował się zainstalowany w podłodze właz – tajemne wrota do świata zakazanych uciech, którymi niejeden raz przed policyjnym nalotem umykał właściciel przybytku, sam Święty we własnej osobie, by wymknąć się wyjściem w tym czy innym budynku kilka przecznic dalej. Za czasów swej sławy i chwały przez prawowiernych i świętoszkowatych nazywany był łotrem i mordercą. Sto lat później przed jego fotografiami palono kadzidła i drogocenne świece, wielbiąc go i wysławiając za dar życia, dar podziemnego miasta, gdzie zza grobu, w imieniu zgładzonych przez niego, dokonywało się wyrównanie rachunków.

Charlie wynurzył się z wyjścia ulokowanego za barem Zielonego Młyna, stwierdzając z ulgą, że podczas wstrząsów właz nie został niczym przywalony. Kombinezon i maska chroniły go przed promieniowaniem i pyłem, ale i tak zakręciło mu się w głowie, gdy wydostawszy się na zewnątrz, stanął wreszcie pod gołym niebem. Opuszczenie klaustrofobicznej ciasnoty, nagłe znalezienie się poza kłębiącą się gromadą ludzką, skazaną na przymusową egzystencję na małym skrawku przestrzeni, oszołomiło go i wywołało w nim uczucie euforii. Niezmierzone połacie nieba roztaczały się hen, nieskończenie wysoko. Uniósł rękę i bardzo się zdziwił, że dłoń nie napotyka na żaden opór. Rozbawiło go własne zdumienie. O, jakże pragnął poczuć na skórze wiatr. Zedrzeć kombinezon i maskę, odrzucić je precz, wydostać się z więzienia, na które godził się dobrowolnie, o ile tylko dzięki temu było mu wolno wędrować pośród ruin i zgliszczy w upragnionej samotności. Silniejsza niż zwykle pokusa wypełzła spod serca i wbiła się weń ostrzem lodu.

– Jeszcze nie teraz – powiedział na głos, gdyż czuł, że tak trzeba. – Nie dziś.

Sala koncertowa Aragonia znajdowała się blisko, właściwie tuż za rogiem, kawałeczek na wschód Lawrence Avenue w kierunku jeziora Michigan. Minąwszy autobus szkolny, z którego niemal zupełnie złuszczyła się żółta farba, Charlie stanął przed ruinami budowli, którą niedawne trzęsienie

ziemi zredukowało do popękanego murku wysokości około trzech stóp. Rzut oka pozwolił ocenić, że z tej strony problem „luki w systemie” rozwiązał się sam, gdyż resztki schodów prowadzących do lóż na piętrze zawaliły się, grzebiąc korytarzyk wiodący do wąskich stopni zakończonych kolejnymi drzwiczkami, za którymi, już w piwnicy, mieścił się właz do tunelu. Charlie nie był w stanie stwierdzić, na ile piwnica jest zasypana, dlatego zdecydował, że porozmawia z panią McCluskey i ostatecznie przekona ją do odcięcia wschodniego tunelu.

Właśnie postanowił, że w drodze powrotnej rozejrzy się za przydatnymi przedmiotami, które nadadzą się do wykorzystania w Zielonym Młynie, gdy kawałek gruzu potoczył się do jego stóp. Podążywszy wzrokiem w kierunku, z którego jak przypuszczał, odłamek się przyturlał, napotkał wlepioną w siebie parę oczu. Na wysokim na jakieś siedem stóp stosie śmieci, cegieł i pokruszonego tynku siedziało stworzenie wielkości kota, ni to szczur, ni to wiewiórka, najprawdopodobniej zmutowana kombinacja jednego i drugiego, i gapiło się na niego nieruchomym spojrzeniem ciemnych, obrzeżonych na czerwono ślepi. Było prawie całkowicie pozbawione futra, włącznie z długim, grubym ogonem. Charlie wielokrotnie napotykał szczurowiewióry i zależnie od okoliczności likwidował je strzałem z glocka albo odciągał ich uwagę „świńskimi cukierkami” i czym prędzej przed nimi zmykał. Najbezpieczniej było oczywiście przemknąć cichaczem obok, lawirując pośród zrujnowanych budowli i rdzewiejących aut, lecz tym razem zabradziażył i pozwolił monstrum podejść zbyt blisko. Stwór nie zaatakował go jeszcze być może tylko dlatego, że w życiu nie widział człowieka, jednakże jego towarzysz, który wyłonił się spomiędzy kół zardzewiałego dżipa, od razu poznał, z kim ma do czynienia, nastroszył wąsiska, wyszczerzył żółte zęby i zasyczał. Charlie, już z glockiem w ręce, przymierzał się do strzału, gdy oba osobniki jak na komendę odwróciły łby i zaczęły strzyc uszami i węszyć. Po czym, drapiąc pazurami i wzbijając obłok pyłu, pomknęły w stronę zrujnowanego

wiaduktu linii czerwonej. Za nimi, zza pleców Charliego, wystrzelił trzeci, dotąd pozostający w ukryciu szczurowiewiór. Brak uwagi mógł Charliego słono kosztować, lecz zamiast dziękować losowi, popędzić do domu, który notabene znajdował się w tym samym kierunku, w którym pobiegły szczurowiewióry, postanowił zbadać, co też przyciągnęło uwagę stworów. Z glockiem w pogotowiu ruszył wolno ich śladem. Wkrótce zobaczył, że są tam wszystkie trzy pod wygiętą ku ziemi i trawioną przez rdzę stalową podporą wiaduktu. Właśnie wykonywały manewr okrążający, polując na coś małego i białego, co tuliło się do podpory w jednej trzeciej jej wysokości.

Przyczajony za rogiem budynku Charlie doszedł do wniosku, że warto przyjrzeć się tej nowej nieznanej istocie, zanim szczurowiewióry rozerwą ją na strzępy i nasyciwszy głód, oddalą się do swych kryjówek. Białe stworzenie najwyraźniej opadło zupełnie z sił, gdyż zaczęło się osuwać z filara na ziemię. Wtedy właśnie dostrzegł, niedowierzając własnym oczom, szczegóły anatomii białej istoty tak niezwykłe, że nieomal wypuścił pistolet ze zdrętwiałych palców. Stworzenie miało zestaw na pierwszy rzut oka zupełnie normalnych kończyn, ale i twarz, nos, usta. I oczy. Wielkie i okrągłe z przerażenia. Oczy ludzkiego dziecka. Drżącymi rękami, modląc się w duchu, by monstra zechciały poczekać z atakiem jeszcze chwilę, wyciągnął z torby „świńskiego cukierka”, czyli kamień owinięty w gnijący kawał świńskiej skóry, i cisnął go w stronę parkometru po drugiej stronie ulicy. Dwa szczurowiewióry, zaalarmowane dźwiękiem i skuszone wspaniałą wonią, pognały przed siebie, pozostawiając na miejscu niedoszłej uczty trzeciego kompana, który, najwidoczniej starszy i bardziej doświadczony, nie dał się wywieść w pole tak łatwo. Właśnie szykował się do skoku, gdy niecelny pocisk trafił w ziemię tuż koło jego prawej tylnej łapy i przerwał mu akcję. Rozzłoszczony stwór obrócił się w stronę, z której padł strzał, a wtedy drugi pocisk oderwał mu łeb. Jeszcze drgał i przebierał w powietrzu łapami, gdy Charlie, pędząc pod wiadukt, omal nie

wdepnął w jego ścierwo.

Ani na moment nie zapominając o pozostałych dwóch stworach, uklęknął i pochylił się nad dziwną istotą. Oględzin dokonał z dystansu, czuł bowiem do niej awersję. Była ubrana w coś, co przypominało dwuczęściową piżamę, niegdyś zapewne białą, teraz przybrudzoną i w strzępach. Dziwna istota miała zamknięte oczy, siniak na czole, podrapane ramiona, a przez warstwę brudu na twarzy przebijała niezwykła bladość skóry. Nienaturalnie duża głowa zdawała się zupełnie łysa. Tylko tyle zdążył zarejestrować, gdyż uznał, że najwyższa pora zabierać się stąd. Złapał więc stworzenie i zarzucił je sobie na ramię, po czym puścił się biegiem w stronę, z której przyszedł.

Terrick O'Neil gapił się z rozdziawioną buzią, gdy Charlie składał ostrożnie blade znalezisko u stóp schodów. Charlie musiał mu przypomnieć o jego obowiązkach, czyli o zablokowaniu i zabezpieczeniu włazu, podczas gdy sam zdawał glocka, ściągał maskę i kombinezon i odkładał je do szafki wraz z torbą z „cukierkami". Następnie podniósł stworzenie i ruszył prosto do kwatery pani McCluskey. Za nim podążyli wszyscy ci, których mijał, w przeczuciu, że oto dzieje się coś niezwykłego. Zaalarmowana już przez kogoś pani McCluskey wyszła mu na spotkanie, ale zatrzymała się w pewnej odległości, jakby podzielając jego obawę przed nieznaną istotą. W spojrzeniu jej zmrużonych oczu dostrzegł pytanie, na które na razie nie miał żadnej sensownej odpowiedzi. W końcu pani McCluskey kiwnęła głową i odsunąwszy zasłonę zawieszoną u wejścia, wskazała na dolną pryczę.

– Dawaj to tu – powiedziała.

Pośród zgromadzonych przetoczył się pomruk niezadowolenia. Charlie czuł, że niektórzy patrzą na niego z niechęcią i wyrzutem, jakby ściągał na ich małą społeczność nowe zagrożenie. Pani McCluskey, spostrzegłszy poruszenie wśród ludzi, rzekła uspokajająco:

– Już dobrze, moi drodzy, nie ma się czego bać. Widzieliście sami, jakie

to małe, na pewno damy sobie z Charliem radę, gdyby nagle postanowiło nas tu wszystkich pożreć. A teraz rozejdźcie się – dodała stanowczo i zasłoniła za sobą wejście.

Wygrzebała z szuflady dodatkowe świece, zapaliła je i ustawiła bliżej łóżka, potem przysiadła na brzeżku i wpatrując się w nieznaną istotę, zwróciła się do Charliego:

– Skąd mam wiedzieć, czy mogę ją dotykać gołymi rękami? Może nas zarazi jakimś cholerstwem? Pomyślałeś o tym?

– Nie wiem… Ja… – zastanawiał się, jak ma ująć w słowa to, co chce jej powiedzieć. – W pierwszej chwili uznałem, że to jakaś nowa mutacja, ale potem… – zaciął się znowu. Pochyliwszy się nad łóżkiem, po raz pierwszy z bliska spojrzał na maleńką twarzyczkę. I wreszcie znalazł odpowiedź na niezadana pytanie. – Moim zdaniem to nie jest mutant. Moim zdaniem to człowiek.

Spodziewał się, że każe mu się wynosić wraz z tym jego Bóg wie czym, że wyzwie go od wariatów i szaleńców. Jednakże milczała, pomnażając jego niepewność i zagubienie.

W końcu sięgnęła do wiaderka z czystą, filtrowaną wodą i ujęła kawałek tkaniny, który służył jej za ręcznik.

– Człowiek – powiedziała wolno, zwilżając szmatkę w wodzie. – Taki, co to wędruje sobie po powierzchni jakby nigdy nic, w piżamie i na bosaka, nic sobie nie robiąc z promieniowania. – Mokrą szmatką wytarła stworzeniu twarz, szyję i dłonie. – A może tam, na powierzchni, nie ma już żadnego promieniowania, może się wchłonęło albo rozwiał je wiatr, hmmm? Charlie, jak myślisz? Może niepotrzebnie dusimy się pod ziemią, bo tam, na górze, można już od nowa tworzyć zręby cywilizacji? – Uniosła wątły blady tułów, by zsunąć bluzę od piżamy. – Zorganizujemy armię i wybijemy to całe plugastwo. W tym nie mamy sobie równych. Co? Panie Young? – Rzuciła mu nieprzychylne spojrzenie, tuląc do piersi łysą główkę.

Wtedy to zauważył: plamę brudu u podstawy karku przypominającą

owada. Przysunął bliżej świecę i potarł skórę opuszką palca. Plama nie dała się zetrzeć, bo to wcale nie był brud, lecz wytatuowany owad o wielkich oczach i rozłożonych skrzydłach.

– Co, u diabła… – Wytężył wzrok. – Co to?

– To? – Pani McCluskey obróciła drobne ciałko, by także się przyjrzeć. – Wygląda jak mucha.

Ułożyła istotę na posłaniu i przykrywając ją kocem, dostrzegła, jak para bladych oczu wpatruje się w przestrzeń ponad jej głową. Zaskoczona, cofnęła ręce i wyprostowała się.

– Hej, maleństwo, jak się spało? – spytała łagodnie.

Istota zajęczała w odpowiedzi i wyciągnąwszy w górę rączki, poczęła badać nimi powietrze, jakby w poszukiwaniu czegoś. Pani McCluskey nagle wszystko zrozumiała, ujęła małe dłonie i położyła je sobie na twarzy. Paluszki rozpoczęły spacer po pomarszczonej skórze, a oni siedzieli w bezruchu i czekali niepewni, co dalej.

– No, mały – odezwał się Charlie – kawał twardziela z ciebie, żeby tak samemu ganiać ze szczurami. Nie bałeś się?

Blada rączka, kierując się w stronę, z której dobiegał głos, odnalazła jego twarz.

– Wiemy przynajmniej, że nie jest głucha – powiedziała pani McCluskey.

– To dziewczynka? – zdumiał się.

– Dziewczynka, a przynajmniej na taką wygląda. W dodatku ślepa i niema… Charlie – popatrzyła na niego poważnie – co tu się dzieje?

Wzruszył ramionami.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem. Znalazłem ją pośrodku niczego, w miejscu, gdzie nie miała prawa przeżyć bez odzieży ochronnej. Tymczasem żyje, a na jej skórze nie widać najmniejszego śladu oparzeń popromiennych. Skąd się tam wzięła? I dlaczego…

Zasłona rozsunęła się z impetem i do środka wkroczył, niepomny na bóle w krzyżach, o których przy każdej okazji przypominał wszystkim wkoło,

pan Sapoznick z pretensją wypisaną na twarzy.

– A cóż to się wyprawia? – zaczął z wyrzutem. – Dlaczego nie zostałem powiadomiony o pojawieniu się tak niezwykłego gościa? Droga Rachelo, obawiam się, że owo pominięcie może położyć się cieniem na naszej przyjaźni. Zechciej wobec tego uwiadomić mnie, gdyż moje dociekania gubią się w tajemnicy, którą rozpostarliście przede mną, przez co ból w krzyżach wzmógł się jeszcze i dokucza mi niezmiernie. – To rzekłszy, opadł na fotel, który mu podsunął Charlie, i jął mierzyć wzrokiem dziecko leżące na pryczy. – No i cóż? – spytał, wskazując je gestem.

– Nie wiem. To przerasta mój rozum – odpowiedziała szczerze pani McCluskey.

– *Impossibilium nulla obligatio est.* Oto, jaki los spotyka tych, którzy umysłem ułomnym próbują dociec prawdy: utykają w pół drogi.

– Wypraszam sobie – burknęła urażona.

– Zaprawdę, porzućcie nieprzydatną skłonność do popadania w zwątpienie z powodu błahostek, nie czas to i nie pora na chwiejność i niezdecydowanie, powiadam. Pokażcie mi dziecię.

Oglądał je długo i uważnie, pozwalając, by rączyny badały jego twarz i plątały siwe brodzisko.

– Jak masz na imię, maleństwo?

Wtedy dziewczynka odszukała jego wykrzywioną przez reumatyzm dłoń i zaczęła rysować coś w jej zagłębieniu.

– Oj, łaskocze – zachichotał, a potem czekał cierpliwie, aż skończy swój malunek czy cokolwiek to było. – Czy tak masz na imię? – Kiwnęła głową. – Ładnie.

– Co ładnie? Jakie imię? Co to ma znaczyć, Walterze? – niecierpliwiła się pani McCluskey, zaglądając mu przez ramię.

Zwrócił ku niej twarz, która straciła swój zwykły wyraz zmarszczonego kobolda, rozpogodzona delikatnym blaskiem.

– Oto światło poznania spoczęło na mnie, bogom greckich filozofów

niech będą dzięki. Wiedzcie, że dziecięciu na imię Anuszka. Wyjawiła mi to, kreśląc litery alfabetu na mej skórze, a sztuka pisania, rzecz to oczywista, jest zdolnością nabytą, nie wrodzoną. Tak więc…

– Gdzie, jak i od kogo mała ową zdolność nabyła? – spytała pani McCluskey, chcąc ukrócić krasomówcze zapędy starca. – Jeszcze jedna zagadka do kolekcji. – Westchnęła i oparłszy się o ścianę, uniosła głowę i wpatrzyła się w sufit. – Tam, w górnych rejonach, zagadka goni zagadkę i tajemnicą pogania. To nie na nasze ułomne umysły, nie sądzisz, Walterze?

– Jednakowoż mój umysł, wobec zawiłości sytuacji, która działa nań w podobny sposób jak purpurowe sukno na rozochoconego buhaja, nie zamierza poddać się zwątpieniu i rezygnacji. Pragnę równie mocno jak wy zaspokoić swą ciekawość, która… jeśli nienapojona u źródła prawdy… będzie mnie dręczyć, wiem to, złymi snami i migreną.

– Skoro poznaliśmy sposób, w jaki się z nią komunikować – odezwał się Charlie, także nieco już znużony monologowaniem staruszka – zapytajmy ją o coś, nie wiem, o rodziców?

– I to jest myśl – zapalił się staruszek i pochyliwszy się nad Anuszką, ujął jej rączkę. – Powiedz, maleńka, gdzie masz tatę i mamę?

– *Mama Anna* – tłumaczył, bardzo przejęty rolą pośrednika, nie spuszczając wzroku z małych paluszków, które wędrowały po wewnętrznej stronie jego dłoni.

– Wiesz, gdzie ona teraz jest?

– *Nie ma.*

– Kogo nie ma? Anny?

– *Tak.*

– Wiesz, gdzie może być?

– *Nie.*

– Szukałaś jej? Wtedy, gdy cię znalazłem? – zapytał Charlie.

– *Anna nie przyszła.*

– Nie przyszła? Gdzie? Do domu?

– *Tak.*

– A gdzie jest ten dom?

Anuszka pokręciła niespokojnie głową, najwidoczniej nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Dobrze, zostawmy to, za bardzo ją to męczy – powiedziała pani McCluskey.

– A co z tatuażem? – nie poddawał się Charlie.

– Anuszko – pan Sapoznick pochylił się nad dzieckiem – czy wiesz, co to za obrazek, który masz na karku? Ten, co wygląda jak mucha…

– *Mucha lata.*

– Tak, ale co ona oznacza? Dlaczego masz ją narysowaną na skórze?

– *Mucha lata.*

– Dajmy jej już spokój, więcej z niej nie wydobędziemy – stwierdziła pani McCluskey. – Podsumujmy, co już wiemy. Pierwsze, co się rzuca w oczy, to, że jest kompletnie niewrażliwa na promieniowanie albo niewrażliwa tylko do pewnego stopnia, gdyż skutki ekspozycji mogą się ujawnić dopiero za jakiś czas. Poza tym musiała wyjść na powierzchnię w bliskiej odległości od miejsca, gdzie ją znalazłeś – spojrzała na Charliego, który kiwnął głową na znak, że się z nią zgadza – inaczej skończyłaby jako żer dla potworów znacznie wcześniej. Podejrzewam, że gdzieś tu, w naszej okolicy, istnieje podziemny kompleks, z którym Zielony Młyn nigdy nie miał połączenia.

– Albo który nigdy nie został odkryty – wtrącił Charlie. – Pozostaje czekać, aż kolejne trzęsienie odsłoni wejście do niego.

– Gdyby mnie ktoś spytał o zdanie – odezwał się znowu pan Sapoznick – to rzekłbym, że zostaje nam jedna opcja, której bogowie nas nie pozbawili, niech będą im dzięki. Charlie, musisz zabrać Anuszkę na południe.

– Na stację Macy’s – powiedział cicho. – Do stolicy. To będzie długa podróż.

– Przecież już raz tam byłeś, pamiętasz?

– Żebym tylko pamiętał – mruknął, dotykając blizny w tym kąciku ust, którym nie był w stanie się uśmiechnąć.

– Charlie, synu mój, zabierz ją tam. Zabierz ją do Cór Seta.

– Żeby odcięły mi głowę? Dziękuję.

– Ależ nie zrobią tego. Nie z kobietą w ramionach, choćby była niedorosła. Córy Seta żądają odciętej głowy męskiej jedynie od tych kobiet, które zamierzają osiąść wśród nich na stałe. Mężczyzn trzymają od swej siedziby na odległość strzału z pistoletu. Twój umysł, chłopcze, za bardzo przesiąkł zabobonami i przesądami, odrzuć je więc, by nie osłabiały twych nóg w podróży. A wyruszyć musisz, jest to konieczność zapisana w gwiazdach, gdyż skoro ta oto Muszka jako jedyna… o ile nam wiadomo… spośród rodzaju ludzkiego posiadła zdolność oddychania zatrutym powietrzem, to czyż nie zaryzykujesz głową i życiem, by użyczyła jej i tobie?

– Nie pozwolę, by ktokolwiek zrobił jej krzywdę… – Czuł, jak pokusa przypomina o sobie, drążąc w jego sercu jak robak.

– Nie skrzywdzą jej, powtarzam. Jest wszak jedną z nich.

Popatrzył panu Sapoznickowi w oczy, zamglone ponad zmierzwioną brodą, i postanowił zaufać temu, co w nich zobaczył. Jeśli coś pójdzie nie tak, winą podzieli się z nim na pół.

Spojrzenie starca było jeszcze bardziej mgliste, gdy nazajutrz rano, szykując się do drogi, spotkał go u stóp schodów. Staruszek nietypowo dla siebie plątał się i jąkał, wciskając nieśmiało Charliemu w garść zwitek papieru, który wcześniej drżącą dłonią tulił do piersi.

– Charlie, chłopcze… hmm, hmm… No wiesz… Jak by to…

– Śmiało, panie Walterze, o co chodzi?

– Widzisz, jest taka rzecz… ekhem… No bo widzisz… – Gdy na zwiędłych policzkach wykwitł rumieniec, Charlie pomyślał, że ma przywidzenia. – Charlie, mój złoty, gdybyś przypadkiem zawędrował w okolice Centrum Daleya na Washington Street, gdzie siedzą

rzemieślnicy… wśród nich swój stragan ma szwaczka. Na imię jej Jadwiga. Szukaj dziewczęcia słowiańskiej urody, o płowych włosach i oczach jak bławatki…

– Czy to pana córka?

– Och, nie! Mnie i mojej Mary nigdy nie było dane… Nieważne. Jeśli ją spotkasz, daj jej ten list i przypomnij, jak trzydzieści lat temu pielęgnowała moją biedną Mary i jaka była czuła i delikatna… czuła i delikatna… – powtórzył i urwał, zamglonym wzrokiem przebiegając czas, by odnaleźć ukryty w nim obraz tamtej dziewczyny, na wieczność młodej i pełnej powabu.

Charlie opuścił go pogrążonego w myślach i wziął z rąk pani McCluskey stary poniemiecki plecak, w którym siedziała już Anuszka z nogami wystającymi z jego dna, gdzie właśnie w tym celu zostały wycięte dwie dziury. Pani McCluskey żegnała się z Anuszką ze łzami w oczach, głaszcząc ją po policzku i życząc bezpiecznej podróży, a mały Jim siedział na schodach i ryczał wniebogłosy.

Niech bogowie pana Sapoznicka mają nas w opiece, pomyślał Charlie i postawił stopę na pierwszym stopniu schodów.

Na stacji tranzytowej na Lake Street gasły pomału światła, ostatni spóźnialscy oraz ekipy remontowe, pracujące na tym odcinku przy naprawach zniszczeń po ostatnim trzęsieniu, śpieszyli się do swych domów. Deonte Barkley ziewnął szeroko i kałasznikow, którego trzymał na kolanach, prawie zsunął się na ziemię. Do końca zmiany pozostało mu niewiele ponad godzinę, o ile olbrzymi zielony zegar uliczny, ściągnięty tu ze State Street, wskazywał czas prawidłowo, a zdarzało się, że się śpieszył. Deonte myślał o tym, jakich sztuczek użyje tym razem, by zmusić swego siedmioletniego syna Deontego Juniora, by poszedł z nim na występ cyrkowców przy Centrum Daleya.

Martwił się, że mały przesiaduje w ich małej klitce, którą dzielili z rodziną Williamsów, bawiąc się swoim gałgankowym pajacykiem

w samotności i milczeniu. Nie wymówił słowa od dnia, gdy zmarła Sondra, jego matka. Sondra była wątłej konstrukcji psychicznej, a w chwilach szczególnie dla niej trudnych siadała na ziemi i kiwając się w przód i tył, płacząc, słała pocałunki w kierunku południowym, gdzie jej bracia i siostry, odcięci od życiodajnej siły płynącej tunelami, wegetowali w strasznych warunkach. Ponoć – jak opowiadali naziemni wędrowcy, ci, którzy mieli odwagę, aby zapuszczać się tak daleko, i szczęście, aby z tych wędrówek powrócić – Afroamerykanie wiedli tam egzystencję w małych skupiskach, w kanałach i podziemiach centrów handlowych. Odseparowani od reszty ocalonych, wykształcili swój własny język, którego nikt nie potrafił zrozumieć, oraz silną wiarę i poczucie wspólnoty, scalające ich i dające im nadzieję na przetrwanie.

Choć tęsknota zabiła jego żonę, wciąż miał jeszcze małego synka, dlatego postanowił, że zdusi nostalgię za pobratymcami, nawet gdyby miało go to kosztować znacznie więcej. Deonte sądził, że mały potrzebuje czasu, lecz ile czasu trzeba dziecku, które znalazło rodzoną matkę w kałuży krwi z przeciętych nadgarstków? Nie potrafił – ani sztuczkami, ani podstępem – przebić się przez pokłady bólu, przerażenia i samotności, w jakich chłopiec się pogrążył, jednakże nie zamierzał się poddawać i postanowił, że dziś spróbuje zachęcić Juniora obietnicą puszkowanej fasoli, którą sprzedawano na straganach nieopodal Centrum Daleya. Stwierdziwszy, że jego zmiennik Pedro Gomez znowu się spóźnia, Deonte uznał, że czas rozprostować kości i przejść się trochę po torach. Właśnie zeskakiwał z podestu, gdy w żółtawym półmroku tunelu dostrzegł czyjąś sylwetkę. Wymacał kolbę karabinu. Tunele linii czerwonej były czyste i bezpieczne; to raczej ci, którzy nimi napływali, sprawiali czasem kłopoty. Mężczyzna, który wyszedł z tunelu, mógł należeć do tej kategorii, dlatego Deonte przybrał groźny wyraz twarzy i wyeksponował kałasznikowa, tak na wszelki wypadek.

– Coś za jeden i czego tu szukasz?

– Nazywam się Charlie Young i idę do Cór Seta.

– Głowa ci niemiła? – spytał z lekkim niedowierzaniem Deonte.

– Miła – odpowiedział przybysz i nie podejmując tematu, zdjął ostrożnie to, co niósł na plecach. – Mam iść wzdłuż tych torów, tak? Do stacji tranzytowej na Jackson Street?

– Jakbyś zgadł. – Deonte podrapał się po brodzie, spostrzegłszy, że to, co przybysz trzymał w plecaku i co wziął za dziwaczne zwierzę, jest dzieckiem. – Twoje?

– Moje – odrzekł przybysz, po czym wspiął się na rampę, postawił plecak na ziemi obok jednego z filarów i usiadł, opierając się o beton plecami. – Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy tu chwilę posiedzieli, co?

– Nie mam. Śpi? – Wskazał dziecko, którego twarzyczka ginęła pod czapką naciągniętą aż na oczy.

– Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz?

– Pogorszyło jej się – odpowiedział niechętnie Charlie. – Po tym jak zeszliśmy do tunelu na Lawrence i Western. Po tym jak… – Zaciął się, zamyślił. Z torby, którą miał przewieszoną przez ramię, wyciągnął manierkę i upił z niej łyk, a potem resztką wody zmoczył szmatkę i przetarł nią twarz dziecka, zwilżając mu usta. – Gdzie tu znajdę wodę?

– Masz, bierz. – Deonte podał mu swoją manierkę, z której przybysz przelał do swojej około połowy zawartości. – Weź wszystko – dorzucił. – Z daleka wędrujesz, kolego… – Liczył, że uda mu się skłonić mężczyznę do opowieści. – Jak wam się wiedzie, tam, na północy?

– Po staremu – odpowiedział tamten i wstał. – Na nas pora. Dzięki za…

– Drobiazg. – Odrobinę zawiedziony Deonte obserwował, jak nieznajomy podnosi plecak z ziemi i zakłada go sobie ostrożnie na plecy. – Powodzenia.

Stał i patrzył, jak oboje znikają za zakrętem tunelu.

Przed nim, w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów, stała solidna barykada blokująca całkowicie tunel. Umocowane na niej pochodnie

dawały mało światła, tak więc Charlie, któremu zależało, by czcicielki Seta z miejsca uznały go za mało groźnego, uniósł nieco wyżej w ramionach swą kartę przetargową. Anuszka ocknęła się i zamruczała coś w swoim niemym języku.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął.

Anuszka narysowała mu coś na piersi, w drugiej rączce ściskając sakiewkę z kośćmi do gry, podarunek na drogę od BJ-a.

– Nie wiem, może Anna rzeczywiście tam jest – odpowiedział.

Błysnęły reflektory, snop światła oślepił go. Uniósł Anuszkę wysoko, jakby w geście ofiarowania.

– Nazywam się Charlie, a to jest Anuszka. To dziewczynka, bardzo chora. Weźcie ją. Pomóżcie…

Zza zmrużonych powiek dostrzegł materializujące się w powodzi światła sylwetki.

W końcu jasność przygasła, dzięki czemu zaczął rozróżniać postacie, które tymczasem zdążyły otoczyć go kręgiem. Było ich pięć, każda w innym wieku, każda z taką czy inną bronią wycelowaną prosto w jego twarz. Najstarsza, o piersiach obnażonych i zwisających jak bukłaki, ustawiła się po lewej i mierzyła do niego z colta. Najmłodsza przydawała sobie wieku i powagi ciężkim makijażem. Wszystkie miały włosy ufarbowane na rozmaite odcienie tęczy, równie kolorową odzież oraz tatuaże, pośród których przeważały motywy roślinne. Jedna z nich, o żółtych włosach, z kałasznikowem w pogotowiu, podeszła bliżej, wprawnym ruchem poderwała lufę karabinu w górę i oparłszy go sobie o biodro, zajrzała Anuszce w twarz.

– Co jej jest? – spytała dźwięcznym głosem, gładząc palcami policzek dziecka.

– Nie wiem. Słuchaj… – zaczął, ale nie dały mu skończyć, gdyż ta młoda skoczyła ku niemu ze zwinnością kota i wyrwała mu Anuszkę, a któraś za jego plecami zdzieliła go kolbą, powalając na kolana.

Krzyczał coś, ale żadna nie obejrzała się za siebie. Zniknęły za barykadą. Wrota się zatrzasnęły i światło zgasło.

Wracał na stację przy Jackson Street wiele razy, krzycząc i waląc pięściami w blachę wrót. Nie otworzyły się nigdy. Gdy pewnego dnia na bazarze przy Randolph Street spostrzegł między straganami tę młodą, pognał do niej przez tłum. Nie wyglądała na zaskoczoną. I nie dała mu żadnej szansy. Dłonią uzbrojoną w kawał metalu zdzieliła go z miejsca w twarz, a kiedy padł, poprawiła kopniakami. Następnie pochyliła się nad nim i zdyszana wysyczała:

– Ona nie żyje, rozumiesz? – I wyciągnąwszy coś z kieszeni, cisnęła tym o ziemię, prosto w rozbryzg krwi.

Kości potoczyły się i zniknęły pod stopami gapiów.

– Chcę to jeszcze raz zobaczyć – powiedział.

– Co? – zapytał Deonte, pomagając mu usiąść na łóżku.

– Niebo nad Chicago.

– Myślisz, że dasz radę?

– Teraz już tak.

Zabrali ze sobą Juniora, który postanowił wyjść ze swego wewnętrznego świata, poruszony cudzym nieszczęściem, i poszli w kierunku stacji Macy’s, gdzie schodami w górę, za grubą kratą, znajdowało się wyjście na powierzchnię. Deonte pomógł Charliemu włożyć kombinezon, który udało się odnaleźć, a Junior podał mu maskę. Nocne niebo nad miastem przesłonięte było grubą chmurą popiołu. Czekał, aż rozwieje ją wiatr i w prześwicie, jak w wytartych dżinsach, błyśnie gwiazda.

Krzysztof Gniady

Największy wróg ludzkości

Wyróżnienie w IV edycji konkursu
na najlepsze opowiadanie fanowskie
w Uniwersum Metro 2033

Zaparł się na przednich łapach i pociągnął obłe cielsko po asfalcie. Twarde niczym stal łuski zazgrzytały, żłobiąc wąskie bruzdy na powierzchni jezdni.

Znalazł się tuż przy skraju zapadliska. Czułki na jego głowie zawibrowały z podniecenia. Jeszcze przed chwilą nieruchome, zaczęły ekstatyczny taniec, chyląc się na wszystkie strony.

Bez chwili przerwy naparł na krawędź zagłębienia i już zsuwał się w kierunku dna. Tam się zatrzymał, lecz jego czułki nie ustawały w ruchu. Tylko te dłuższe były bardziej stateczne. Oplatały głazy, zagarniały pył. Tak jakby czule. Natomiast krótsze sprawiały wrażenie ostrożnych i szalonych równocześnie. Zbliżały się do powierzchni, muskały ją lekko, by od razu odskoczyć jak oparzone i kontynuować swój wibrujący taniec.

Wreszcie wydał głośny pomruk. Wyraźnie czuł coś pod powierzchnią osypiska. Bardzo słabe, ale jednak oznaki ludzkiego życia.

Wyciągnął łapy, które wydawały się kościste, pozbawione siły. Lecz szpony bez trudu wbiły się w grunt, by zamaszystym ruchem odgarnąć kupę gruzu. Pracował coraz szybciej.

Bez ustanku. Jak maszyna.

Ściana runęła. Wzbiła w powietrze obłok kurzu, rozdzierając ciszę zalegającą pod ziemią.

Przez chwilę słychać było harmider w tunelu. A potem błysnęły snopy

światła, poprzedzające dziesięciu żołnierzy z latarkami na karabinach, którzy przecisnęli się przez otwór i natychmiast rozsypali tyralierą po pogrążonej w ciemności stacji.

Nadia nie czekała na zakończenie zwiadu. Weszła zaraz za nimi. Stanęła przy wylocie tunelu i poświeciła naokoło. Tuż obok, na betonowej ścianie, była wymalowana sprejem nazwa: „Stacja Bródno”. Poniżej ktoś dopisał koślawymi literami: „Brudno jak ch…”.

Odchyliła głowę, zanosząc się głębokim, szczerym śmiechem. Przyczyną tej wesołości nie był jednak wulgarny napis na murze, lecz radość z dotarcia do celu. Tyle miesięcy, tyle trudu, kłótni, problemów, kłód rzucanych pod nogi… A teraz okazało się, że miała rację.

Żołnierze wrócili po mniej więcej półgodzinie. Jeden z nich jeszcze coś sprawdzał na liczniku Geigera, ale dowódca już dawał znać, że wszystko w porządku. Ściągnął maskę, odsłaniając kamienną kwadratową twarz.

– Są dwa dziwne tunele. Rozmieścimy przed nimi posterunki – powiedział. – Do jutra wyznaczymy też miejsce na kwaterę.

Jeszcze raz poświeciła latarką w stronę nazwy wypisanej na murze.

– I co? Kto mówił, że nie ma tej stacji? A teraz będziesz rozstawiał posterunki na stacji widmo.

W odpowiedzi beznamiętnie wzruszył ramionami i odszedł do swoich ludzi.

Tymczasem z tunelu wyłonił się siwowłosy, lecz wciąż krzepki mężczyzna z karabinem na ramieniu. Ze swoimi dwoma metrami wzrostu wyraźnie górował nad drobną Nadią.

– Wchodzimy, szefowo?

– Wchodzimy, Olek. Dawajcie światło.

Robotnicy sprawnie przytaszczyli reflektory, które po uruchomieniu agregatów zalały wnętrze rzęsistym światłem. Dwaj inżynierowie wchodzący w skład ekipy natychmiast zabrali się do oceny stanu technicznego stacji.

Tymczasem Nadia przechadzała się tam i z powrotem, pogrążona w rozważaniach. Bródno różniło się od innych przystanków drugiej linii. Tamte były kolorowe jak sen Picassa, a ta nieukończona. Ściany straszyły surowym betonem. Ale to nie miało znaczenia. Stacja była duża. W myślach już planowała rozmieszczenie hodowli insektów i osiedli dla robotników. Z góry wybrała miejsce, gdzie robaki będą mielone, a następnie przerabiane na bogate w białko kostki pasztetu. Potrzebne było również miejsce przy torach na przeładunek. Jak tylko odgruzują tunel prowadzący od Kondratowicza, zaczną kursować drezyny.

A! – pomyślała. Jeszcze miejsce na agregaty!

Musiała poprzestawiać w głowie wyimaginowane terraria.

Kolejne dni okazały się bardzo pracowite. Ponieważ stacja nie groziła zawaleniem, przystąpiono do najpilniejszych prac – odgruzowania tunelu i uprzątnięcia peronu.

Wieść o odkryciu szybko się rozniosła. Ściągnięcie robotników z przeludnionych stacji centralnych nie stanowiło żadnego problemu. Chętnych było nawet więcej, niż trzeba. Nadia wiele czasu spędziła nad rachunkami. Ogrom inwestycji przerósł jej oczekiwania, a budżet trzeszczał w szwach. Obawiała się, że Kompania może nie udźwignąć samodzielnie tego przedsięwzięcia. Wysłała do męża kilka listów z wyliczeniami, lecz jak dotąd nie otrzymała odpowiedzi.

Nie obyło się również bez konfliktów.

Zaalarmowana przez Olka, przybiegła do jednego z posterunków rozstawionych przez wojsko. Pierwsze spojrzenie wystarczyło, żeby domyślić się, w czym rzecz. Jej robotnicy rysowali na posadzce rozmieszczenie poszczególnych instalacji. Tymczasem pozycja budowana przez żołnierzy wyraźnie się rozrosła, zachodząc na wykreślone już linie.

Aleksander w towarzystwie jednego inżyniera głośno dyskutował z dowódcą.

– Przecież się umawialiśmy! Wyznaczyliśmy wam miejsce, któreście

zaakceptowali! – perorował Olek. – Tak było? – zwrócił się do inżyniera, który potwierdził skinieniem głowy. – To jakim prawem zagarniacie prawie drugie tyle…

– Spokojnie, spokojnie! – zawołała, podchodząc do nich. – Kapitanie Gronowski, co się stało, że potrzebujecie więcej miejsca?

– Musimy zbadać ten tunel techniczny – odparł. – Okazał się dłuższy, niż myśleliśmy, zatem potrzebujemy więcej miejsca na sprzęt.

– A te dodatkowe umocnienia od strony peronu!? – wydarł się Olek. – Po kiego grzyba…

Dowódca wpadł mu w słowo, odpowiadając beznamiętnie:

– Musimy być gotowi na każdą ewentualność.

Nadia szybko przekalkulowała straty, które mogło przynieść zmniejszenie powierzchni użytkowej. Potem jeszcze raz poprzesuwała w myślach rozmieszczenie instalacji. Uznała, że jest to do przełknięcia, jeśli ceną mają być dobre kontakty z władzą.

– Dobra, przesuniemy się. Róbcie swoje.

Odciągnęła inżyniera na bok, żeby omówić z nim nowe ustawienie stanowisk.

– Nie podoba mi się to – burknął Olek, doganiając ich. – Nie ufam tym skurczybykom.

– Przesadzasz. Ale na wszelki wypadek postawcie trochę ciężkich rzeczy na granicy posterunku. Nie stać nas, żeby rozłożyli się na kolejnych częściach peronu.

Z organami państwowymi musiała mieć jak najlepszy kontakt. Z drugiej strony bardzo ciekawiło ją badanie tuneli odchodzących od stacji. Dlatego zaprosiła Gronowskiego na kolację, którą urządziła dla najważniejszych współpracowników.

Nie było to żadne eleganckie przyjęcie. Przyszła na nie w koszuli i zakurzonych ogrodniczkach. Podała pulpeciki ze szczura i firmowy pasztet. Jedyną ekstrawagancją był samogon. Nie chciała wiedzieć, z czego

go zrobiono, lecz smakował dużo lepiej niż zwykła grzybowa siwucha.

Kapitan przyszedł z adiutantem. Usiedli przy ognisku. Pili i jedli dużo, mówili mało.

Po pewnym czasie uznała, że są wystarczająco nietrzeźwi, żeby wkręcić ich w rozmowę. Usiadła obok, pytając:

– I jak się panom podoba nasza nowa stacja?

Dowódca zabulgotał coś cicho. Trudno było stwierdzić, czy to odpowiedź, czy nieartykułowany dźwięk. Adiutant okazał się rozmowniejszy.

– Podoba się. Jest tutaj więcej przestrzeni niż gdzie indziej – powiedział. – Pewnie napłynie tu sporo kolonistów, choć nie wszystkim będzie to w smak…

Kątem oka dojrzała, że kapitan uciszył podwładnego wilczym grymasem. A właśnie ostatnie zdanie bardzo ją zainteresowało.

– Mówi pan, panie oficerze, o tych z Rządowej Kompanii Kolonizacyjnej? Zdecydowanie może im to nie być w smak. Jednej stacji nie potrafią zapełnić. A tymczasem my? Którą już zasiedlamy? – Zrobiła teatralną pauzę, jakby liczyła. – Ta już będzie trzecia.

Odpowiedziało jej głuche milczenie. Domyślając się, że w tej sprawie wiele więcej nie osiągnie, zaczęła dopytywać o badanie tuneli. Z krótkiej wymiany zdań dowiedziała się, że nic nie wiadomo. Jeszcze jakiś czas dolewała im samogonu, próbując rozpytywać, lecz wciąż przypominało to konwersację z tresowanym szczurem. W końcu skapitulowała – przynajmniej na ten dzień.

– Muszę porozmawiać jeszcze z innymi gośćmi. Mam tylko jedną prośbę, kapitanie. Wysłałam gońca z listami na Wileniak, ale od paru dni nie daje znaków życia. Możecie się dowiedzieć, czy nic mu nie jest?

Skinął głową, uznała więc, że przyjął to zadanie. Nie chciała jednak czekać na wynik interwencji, dlatego jeszcze tego samego wieczoru wysłała kolejnego gońca z listami do męża. Ostrzegła, że sukcesy ich Kompanii mogą być nie w smak konkurencji, i poradziła, aby uważał na ich działania

w Radzie.

Następne dni były jeszcze bardziej pracowite. Uruchomiono oświetlenie i wśród bladego blasku dokończono odgruzowywanie tunelu. Tory okazały się mało zniszczone. Wystarczyło ledwie kilka poprawek, by stacja mogła przyjmować towarowe drezyny. Nadia natychmiast wysłała na Dworzec Wileński zamówienie na materiały potrzebne do dalszych prac.

W kolejnych dniach tempo jednak przyhamowało. Dostawy wciąż nie nadeszły. Ludziom się trochę nudziło, więc pomyślała, że mogą pomóc w eksploracji bocznych tuneli.

– Nie – to była cała odpowiedź kapitana Gronowskiego.

– Nie ufam im – powtarzał jak katarynka Olek. – Na pewno kręcą jakieś swoje lody na boku.

– Jak zawsze – przytaknęła. – Lecz niekoniecznie musi to być działanie na naszą szkodę.

– Czy zrobili coś w sprawie zaginionych kurierów? Nic. Od wielu dni cisza. Pytałaś, czy chociaż pamiętają o tej sprawie?

– Codziennie.

– I codziennie nic. Lepiej ja się wybiorę. Dojdę przynajmniej do Kondratowicza albo Zacisza. Dowiem się, co w trawie piszczy, szybciej niż te łamagi.

– Idź – odparła po krótkim zastanowieniu. – Bo inaczej będziesz mi tu bez przerwy smęcił. Ale wracaj szybko i dowiedz się przy okazji, co z dostawami. Nie mogę dłużej płacić ludziom za zbijanie bąków.

Olek zniknął w tunelach. Mimo że drażniło ją jego ciągłe narzekanie, szybko odkryła, że bez sprawdzonego towarzysza zrobiło się jej jakby smutniej. Ale już dwa dni później nastrój się jej poprawił, bo na stację wjechała wreszcie towarowa drezyna.

Nadię zawiadomił jeden z robotników. Wybiegła, jak stała, aby natychmiast zlustrować z dawna wyczekiwaną dostawę. Szła przez peron, upinając włosy, gdy usłyszała kłótnię. Sądząc po głosach, to jej główny

inżynier dyskutował z żołnierzami.

– Znowu? – westchnęła, przewracając oczami.

Tym razem sprawa wyglądała poważniej. Przy peronie stała drezyna z dwoma wagonami oznaczonymi logo Kompanii Wschodniowarszawskiej. Obok zaś żołnierze utworzyli kordon, nie dopuszczając robotników do rozładunku.

Przepchnęła się przez zebrany tłum i podeszła do adiutanta, który wydawał się dowodzić tym bajzlem. Była już poważnie zirytowana, ale starała się mówić spokojnie.

– Dzień dobry, panie oficerze. Co się stało? Czemu uniemożliwiacie nam pracę?

Wyglądał na speszonego jej widokiem, lecz szybko odzyskał rezon i powiedział:

– To transport wojskowy. Cywile nie mają dostępu.

– Wojskowy? Zaszła chyba jakaś pomyłka. Czy widzi pan to logo na wagonach?

– Zapewniam, że to transport wojskowy.

– Jak to: wojskowy? Tam są materiały budowlane. Namioty, ubrania robocze, narzędzia. Zdejmijmy plandekę, to się pan przekona.

Próbowała go wyminąć, lecz powstrzymał ją najdelikatniej, jak się dało.

– Dość tego cyrku! – rzuciła poważnie rozeźlona. – Gdzie pański dowódca?

– U siebie.

Emanując taką złością, że nikt nie wszedłby jej w drogę, przecięła stację i skierowała się do głównego biura wojskowych, prowizorycznie skleconego ze starej przyczepy. Warknęła na wartowników, którzy nawet nie próbowali jej zatrzymać, i energicznie weszła do środka.

Kapitan siedział przy biurku zasłanym tonami dokumentów. Zabawne, że cała ta papierologia przetrwała nawet zagładę atomową. Nadii jednak nie było do śmiechu.

– Co tu się dzieje?! Czemu ci imbecyle, pańscy żołnierze, nie pozwalają moim robotnikom rozładować dostawy?!

Nie przejął się jej wrzaskiem. Dokończył zdania i dopiero wtedy na nią spojrzał.

– To nie jest pani dostawa, tylko transport wojskowy. Cywilom nie wolno go tknąć.

– Transport wojskowy? Czy was pogięło?! Chodźmy razem, to panu pokażę, jaki to wojskowy transport!

– Nie. Nie jestem głupi ani ślepy. Wiem, co robię.

– Co tu się odpierdziela!? Złożę na pana skargę do Rady! Może oni będą potrafili przemówić panu do rozsądku!

– Droga wolna – odparł, wzruszając ramionami. Następnie zaczął przekładać papiery, aby dać sygnał, że rozmowa skończona.

Patrzyła na niego z rosnącą furią. Mimo że była niemal oślepiona wściekłością, udało jej się wyłapać treść jednego z dokumentów.

„Twoja kochająca Nadia”.

Poczuła się, jakby oberwała w tył głowy. Fragment listu pojawił się tylko na chwilę, by zaraz zniknąć wśród papierzysk. Jakże jednak mogłaby go nie poznać? W końcu to było jej pismo!

– Czy coś jeszcze?

– Nie, nie – wyszeptała cicho, po czym opuściła biuro.

Idąc przez stację, zataczała się jak pijana. O ile wcześniej nikt nie chciał jej wchodzić w drogę, teraz wszyscy jak na złość zbliżali się do niej, aby zapytać, czy dobrze się czuje.

Nie, nie czuła się dobrze. Mieszania furii i oszołomienia uderzała jej co rusz do głowy, dając efekt odrealnienia. Co się właściwie stało? Czy rzeczywiście widziała ten fragment listu, czy to tylko jej wyobraźnia? Próbowała odpowiedzieć sobie na te pytania, lecz nie mogła skupić myśli.

Wreszcie doczłapała do swojej kwatery. Kiedyś było to zapewne pomieszczenie ochrony, ale obecnie pełniło funkcję biura i mieszkania.

Chwyciła za klamkę i już chciała naprzeć całym ciałem na zacinające się drzwi, gdy zorientowała się, że nie przylegają szczelnie do futryny. Co oznaczało, że nie zamknęła ich na zamek. Zapomniała? Nie. W środku trzymała zbyt wiele ważnych rzeczy. Pamiętała, wyraźnie pamiętała, że zanim pobiegła na peron, pośpiesznie, lecz dokładnie przekręciła kluczyk.

Ktoś się włamał? Nie ma innej możliwości. Ale po co?…

Tego dnia wydarzyło się już tyle dziwnych rzeczy, że nie chciała spekulować.

Powinna kogoś zawołać na wszelki wypadek i wejść do środka w asyście, lecz była już zmęczona. Nie miała siły nawet myśleć. Chciała po prostu przekroczyć próg i znaleźć odpowiedź. Najlepiej podaną na tacy.

Chwyciła klamkę i naparła na drzwi.

A jeśli wewnątrz na mnie czekają? – pomyślała.

Nagle coś go powstrzymało. Zaprzestał rozgarniania ziemi. Czułki zamarły jakby w zakłopotaniu, lecz po chwili znów zaczęły badać grunt. Tym razem dłużej i dokładniej.

Wpadła do środka i zapaliła światło.

– Zamknij drzwi.

– Nie wstyd ci włamywać się do mojego mieszkania?

Olek siedział w kącie pomieszczenia z nogami na biurku i bronią pod ręką.

– Musiałem się tu dostać dyskretnie. Próbowali mnie zatrzymać…

– Kto? Wojsko?

Skinął głową.

– Twój mąż został aresztowany – dodał.

Serce jej zamarło. Poczuła przy tym wszechogarniające zimno.

Szybko się jednak otrząsnęła. Zaczęła łączyć ten fakt z innymi zdarzeniami dnia. Wciąż coś jej nie pasowało.

– O co poszło?

Wzruszył ramionami.

– Różne plotki słyszałem. Ale wygląda na to, że zbytnio się wzbogacił i stał się zbyt wpływowy. Rada postanowiła się z nim rozprawić.

– Muszę wracać na Wileniak – zadecydowała bez zwłoki.

– Nie wiem, czy zdołasz cokolwiek zdziałać. A poza tym nie będzie to takie łatwe…

Uniosła pytająco brew.

– Przygotuj się jak do drogi, weź plecak i chodź ze mną.

Posłuchała i zaczęła się szykować, a Olek w tym czasie wstał, chowając pistolet pod ubranie.

Po kilku minutach wyszli razem i skierowali się do tunelu prowadzącego w stronę pozostałych stacji. Na punkcie kontrolnym początkowo wszystko przebiegało normalnie. Podali wartownikowi dokumenty, a on zaczął je uważnie przeglądać.

– Czy mogę spytać, w jakim celu opuszczają państwo stację?

– Musimy wyjaśnić sprawę opóźnionych dostaw – odparła.

– Można w tym celu kogoś wysłać.

– Niektórych rzeczy trzeba dopilnować osobiście.

– Przepraszam, muszę porozmawiać z dowódcą warty.

Żołnierz zniknął za posterunkiem, ale widzieli, że dwaj inni pilnują, aby nie zniknęli w tunelu.

– Teraz sobie trochę poczekamy – szepnął Olek. – Albo szykują jakąś bajeczkę, albo naradzają się, czy przekazać złą wiadomość.

Okazało się, że nie musieli czekać długo. Oficer, który do nich wyszedł, miał wyższą rangę, niż się spodziewali. Był to sam kapitan Gronowski.

– Chce pani opuścić stację?

– Owszem – powiedziała, starając się zachować spokój mimo nawracających wspomnień o ich ostatniej rozmowie.

– To nie będzie konieczne. Dostałem sygnał, że transport, na który czekacie, jest już w drodze.

– Po pańskich zapewnieniach o rychłym odnalezieniu moich zaginionych kurierów wolę jednak sama wszystkiego dopilnować – odparła z jadowitym uśmiechem. – Puści nas pan?

Widziała, jak mruży oczy. Powie prawdę czy będzie dalej kluczył?

– Niestety, to niemożliwe.

– Dlaczego?

Ewidentnie się męczył. Był typowym żołdakiem – rzeczowym i prostolinijnym. Pewnie kazali mu kłamać, a on czuł się z tym tak, jakby zakazali mu picia.

– Przeciw pani mężowi toczy się śledztwo – wyrzucił z siebie wreszcie. – Aby uniknąć ryzyka mataczenia, musi pani chwilowo pozostać na tej stacji.

Udała zaskoczenie.

– Jak to? Co mu się zarzuca?

Nastała chwila ciszy. Zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu chyba machnął w myślach ręką.

– Próbę zamachu stanu.

– Co?! – wykrztusiła, tym razem autentycznie zaskoczona. – To jakiś absurd! Że niby co chciał zrobić?! Uzbroić legion straceńców i podbić całe metro?!

Gronowski wzruszył ramionami, co zirytowało ją jeszcze bardziej.

– Jeśli mój mąż planował zamach, to chyba powinnam wystąpić w sądzie jako świadek? Jak mam to zrobić, jeśli nie dotrę na Wileniak? A może ja też jestem podejrzana? Trzy stacje! Tyle skolonizowałam, zagospodarowałam. Przysporzyłam mieszkańcom miejsca do życia, zapewniłam pracę, zabezpieczyłam żywnościowo całe praskie metro! To chyba wystarczająco wiele, żeby rozstrzelać mnie za zdradę stanu?!

Znów wzruszył ramionami. Zupełnie jakby jej nie słuchał.

– Może mi pan łaskawie odpowie?

– Nie ja jestem sędzią – wychrypiał. A potem w jego zazwyczaj mętnych oczach pojawił się niespodziewany błysk. – Ale zważywszy na pani

pochodzenie, zastosowałbym takie same środki ostrożności.

– Co to ma znaczyć?!

– Przez takich jak pani musimy siedzieć w tych przeklętych podziemiach.

Minęła dłuższa chwila, zanim pojęła, o co mu chodzi.

– Jestem Białorusinką, a nie Rosjanką!

– Jeden czort.

Ta rozmowa prowadziła donikąd. Nadia warknęła coś, obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem w stronę biura. Po drodze zerknęła dyskretnie przez ramię, żeby zobaczyć, jak żołnierze naradzają się, wskazując w jej kierunku. Wtedy podjęła decyzję. Wszystko było w tej chwili lepsze niż bezczynne siedzenie na stacji.

Przygotowania nie trwały długo. Olek zorganizował kilku zaufanych ludzi, starych pracowników Kompanii. Pozbył się również szpicla, który zaczął chodzić za Nadią.

Nazajutrz kucała między filarem a kilkoma skrzyniami znajdującymi się w pobliżu wejścia do tunelu. Uważnie wszystko obserwowała, czekając, aż jej towarzysze rozpoczną dywersję.

Wtem zgasło światło. Cała stacja pogrążyła się w ciemnościach, a z centrum dolatywał coraz większy harmider.

U wyjścia tunelu pokazało się zaraz kilka snopów światła. Wartownicy wyszli, żeby sprawdzić, co się dzieje.

To mogła być jej jedyna szansa. Boczną ścieżką do posterunku, biegiem w tunel, a potem… potem się zobaczy. Nadia podniosła się i bezszelestnie ruszyła przed siebie, zaciskając dłoń na pistolecie, który dostała od Olka.

Lecz gdy była ledwie kilka kroków od tunelu, jakiś cień odkleił się od ściany i zaświecił jej w twarz.

– Proszę wrócić do siebie.

Poznała głos Gronowskiego.

– Co pan tu robi?

– Nie jestem taki głupi, za jakiego mnie pani uważa.

Obejrzała się. Potrzebowała trochę czasu.

– Świetnie. Więc może mi pan wreszcie szczerze powie, za co aresztowano mojego męża.

– Nie jestem taki głupi – powtórzył dobitnie. – Żyłem przed Zagładą. Widziałem chciwość wielkich koncernów, ich nienasycenie. Nigdy nie było im dość, wiecznie chciały więcej. W swym ślepym pędzie straciły wszelkie hamulce. Łamały kolejne granice, byle powiększyć o parę groszy swoje i tak już miliardowe zyski. Aż w końcu w którymś zarządzie padł pomysł, że mała wojenka odbije się korzystnie na bilansie firmy… To oni doprowadzili nas do dzisiejszego stanu. Nie możemy pozwolić, aby ta plaga rozprzestrzeniła się w metrze, bo doprowadzimy do kolejnej katastrofy.

Była zaskoczona nie tylko niespodziewanym słowotokiem, lecz także retoryką, która kojarzyła się raczej z komunizującym nastolatkiem niż z twardogłowym żołdakiem.

– Z tego, co pamiętam, to nie wielkie koncerny naciskały guziki atomowe…

Znów zobaczyła w jego oczach ten dziwny błysk. Zarzewie szaleństwa wewnątrz lodowca.

– Ale ktoś je dostarczył.

– Bo ktoś je zamówił. I jeśli znów mnie pamięć nie myli, zamawiającymi byli politycy i wojskowi podobni do pana, ludzie, którzy dla własnych celów judzili jednych przeciw drugim, wzmagając we wszystkich poczucie zagrożenia. Bawili się granatem i dziwili jak dzieci, gdy ten w końcu wybuchł im w rękach.

– Pani jest członkiem korporacji, więc nie spodziewam się…

Odwróciła głowę w momencie, gdy ciemność za jej plecami rozświetlił ogień. Płomienie błyskawicznie zalały wagony stojące przy peronie, rozjaśniając całą stację.

Olek się nie cacka, pomyślała.

Zacisnęła dłoń na rękojeści broni i już chciała skoczyć do przodu, gdy

kątem oka zarejestrowała bladą jak ściana twarz oficera.

– Ty idiotko – powiedział grobowym głosem. – W wagonach jest amunicja i materiały wybuchowe.

Zdążyła jeszcze usłyszeć rozdzierający huk, poczuć gwałtowne uderzenie w plecy. A później odpłynęła w ciemność.

Nie. Pod tym zapadliskiem nie było już ludzkiego życia. Nawet jeśli wcześniej je wyczuwał, to teraz wygasły ostatnie jego płomyki.

Nie miał już czego szukać w tym miejscu. Wbił szpony w ścianę niecki i zaczął podciągać cielsko, wyruszając na poszukiwanie nowego żerowiska.

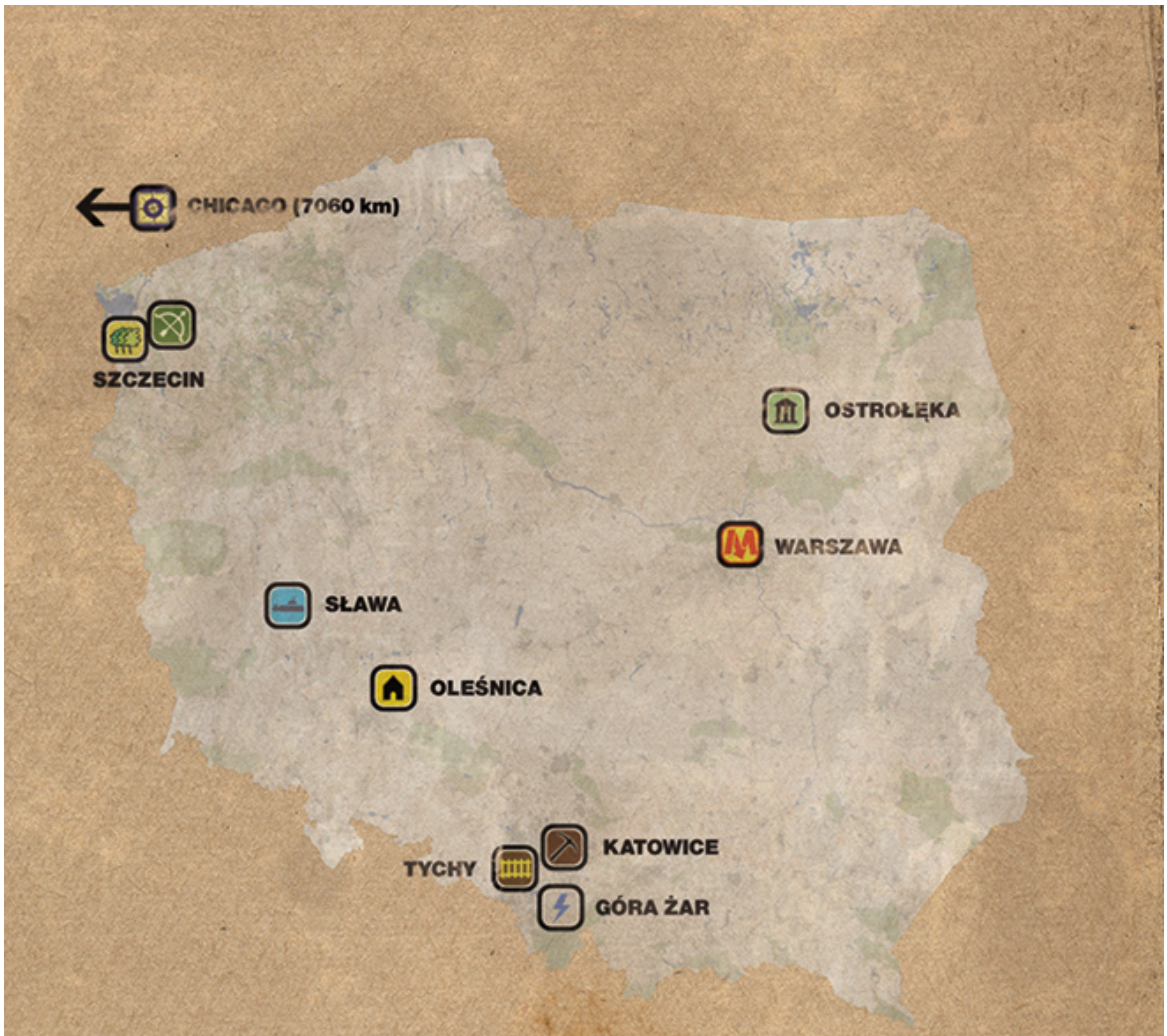

LEK NA CAŁE ZŁO // OLEŚNICA
NIM WSZYSTKO ZNÓW PÓJDZIE
W PIERONY // KATOWICE
KTÓRYŚ BYŁ MI BESTIĄ // SZCZECIN
ŁAWICA // SŁAWA
DOBRY SAMARYTANIN // OSTROŁĘKA
LEKCJA ODWAGI // GÓRA ŻAR

KIEDY SŁOŃCE ZNÓW BYŁO BOGIEM // SZCZECIN
FALA NOŚNA // TYCHY
KRÓTKI RYS CZŁOWIEKA
WSPÓŁCZESNEGO // WARSZAWA
KAPITAN // WARSZAWA
MUSZKA ANUSZKA // CHICAGO
NAJWIĘKSZY WRÓG LUDZKOŚCI // WARSZAWA

SIEĆ BUNKRÓW
SIEĆ KOPALŃ „DÓŁ”
REPUBLIKA JASNYCH BŁONI
ŁODZIE PODWODNE
MAUZOLEUM

ELEKTROWNIA PORĄBKA-ŻAR
PLEMIONA
OSIEDLE „B”
WARSZAWSKIE METRO
PODZIEMIA CHICAGO

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Lek na całe zło
Nim wszystko znów pójdzie w pierony
Któryś był mi bestią
Ławica
Dobry Samarytanin
Lekcja odwagi
Fala nośna
Krótki rys człowieka współczesnego
Kapitan
Muszka Anuszka
Największy wróg ludzkości